# MYŚL WSPÓŁCZESNA

CZASOPISMO NAUKOWE

5



ŁÓDŹ PAŹDZIERNIK 1946

# MYŚL WSPÓŁCZESNA

CZASOPISMO NAUKOWE




ŁÓDŹ PAŹDZIERNIK 1946

ZAKŁADY
GRAFICZNE
„KSIĄŻKA”
ŁÓDŹ

**Natalia Gąsiorowska**

# Na przełomie: od imperializmu do społecznego systemu gospodarczego

W końcu XIX, głównie w XX stuleciu, system kapitalistycznego gospodarowania wchodził w stadium rozkładu; w samym jego mechanizmie automatycznie działającym tkwiły przyczyny, które stopniowo wywoływały hamowanie rozwoju tego systemu; w danym stadium kapitalizmu występowały zjawiska natury gospodarczej i społecznej stojące w sprzeczności z samą jego istotą.

Ustrój kapitalistyczny przedstawia pewien etap w całokształcie rozwoju gospodarczego, występuje jako zjawisko historyczne w określonych warunkach, w określonej epoce, głównie w XIX w., na określonym terenie, przede wszystkim w Europie Zachodniej, poza tym w Stanach Zjednoczonych, w Japonii. Mechanizm produkcji kapitalistycznej nastawiony jest na zysk od kapitału; celem gospodarowania jest nie produkcja dla zaspokajania zapotrzebowania społecznego, zwiększanie ilości produktów, produkcyjność, lecz ustawiczne powiększanie kapitału, rentowność; produkcja stanowi środek dla osiągania zysku. Gospodarstwo kapitalistyczne opiera się na prywatnej własności środków produkcji i oddzieleniu ich od pracy. Wolna konkurencja wśród przedsiębiorców reguluje produkcję. Automatyczne działanie na rynku towarowym podaży i popytu wraz z ruchem cen ma prowadzić do osiągnięcia równowagi gospodarczej, czyli uzgodnienia wytwórczości z zapotrzebowaniem: zwiększona podaż produktów wpływa na rynku bezpośrednio na obniżenie cen, zwiększony popyt na ich podniesienie; wysokie ceny powodują w dłuższym okresie czasu wzrost produkcji, która opada przy niskich cenach.

Przedsiębiorca ma na celu reprodukcję kapitału, to znaczy zwrot włożonego kapitału wraz z zyskiem; zwrot kapitału stałego, czyli kosztów aparatu wytwórczego, maszyn oraz zmiennego, czyli płac robotniczych. Przedsiębiorca przeznacza zysk na własną konsumcję oraz częściowo zaoszczędza go na inwestycje; powiększa kapitał stały, wprowadzony do przedsię-

biorstwa, w celu odnowienia, doskonalenia aparatu wytwórczego, dzięki czemu zwiększa wydajność robotnika przez racjonalizację jego pracy. Zwiększenie kapitału stałego zmierza do gromadzenia, kumulacji kapitału, podnosi strukturę organiczną przedsiębiorstwa, prowadzi do tzw. reprodukcji rozszerzonej. Coraz wyższy stosunek kapitału stałego do zmiennego, czyli wartości maszyn do wartości płac roboczych, sprawia, że stopa zysku się zmniejsza.

Kapitalizm rozwijał się w tempie niesłychanie szybkim; wzrastała jego akumulacja, stale przyśpieszana, bez żadnych ograniczeń. Koncentracji kapitału sprzyjały banki, które ściągały kapitały rozproszone w społeczeństwie, biernie spoczywające i rozprowadzały je w celu zasilenia przemysłu. Banki przeobrażały kapitalizm przemysłowy w finansowy, przekazywały dyspozycję gospodarczą bankierom. W walce konkurencyjnej słabsze przedsiębiorstwa padały, utrzymywały się wielkie. Przyczyniały się do tego kryzysy w czasie których bankrutowały drobne zakłady, a pozostające kapitały za pośrednictwem banków zasilały duże zakłady. Kumulowały one kapitał, wzmacniając swój aparat wytwórczy; podnosiły produkcję zwiększając wydajność pracy, zmniejszając liczbę zatrudnionych w produkcji robotników. Wzmagające się bezrobocie zmniejszało jednocześnie siłę nabywczą społeczeństwa, kurczyła się pojemność rynku na towary. Tymczasem podnosząca się produkcja wymagała szerszych możliwości, co prowadziło do poszukiwania nowych rynków, do walk konkurencyjnych międzynarodowych, przede wszystkim do wojen kolonialnych.

Na takim gruncie powstawał imperializm, ostatnie stadium kapitalizmu. Kapitalizm przemysłowy prowadził do wzrostu kultury powszechnej, do postępu technicznego, bogactwa, potęgi państwa, dobrobytu społeczeństwa. Imperializm, kapitalizm w stanie zwyrodnienia, łamiąc dotychczasowe zasady wolnej konkurencji, nieograniczonych zysków poszczególnych przedsiębiorców, wolnej gry rynkowej, zmierzał do regulowania produkcji w imię interesu coraz mniej licznych właścicieli skoncentrowanego kapitału a wbrew interesom całego pozostałego społeczeństwa.

> „Imperializm jest to kapitalizm w tym stadium rozwoju, kiedy ukształtowało się panowanie monopolu i kapitału finansowego, kiedy nabrał wybitnego znaczenia wywóz kapitału, rozpoczął się podział świata przez międzynarodowe trusty i zakończony został podział całego terytorium kuli ziemskiej przez największe kraje kapitalistyczne".
>
> (Lenin)

Imperializm jest najwyższą formą kapitalizmu, gdy niewielka warstwa kapitalistów, reprezentujących kapitał bankowy i przemysłowy, wywiera decydujący wpływ na życie gospodarcze, na politykę państw. Odbywa się walka potężnych światowych zrzeszeń przedsiębiorców. Zaostrzają się przeciwieństwa między pracą i kapitałem; wzmaga się ucisk i wyzyskiwanie kolonii. Po jednej stronie barykady społecznej wzrasta nagromadzone bogactwo, po drugiej nędza i głód. Imperializm wprowadza świat w ślepy zaułek sprzeczności gospodarczych. Jednocześnie imperializm przez koncentrację kapitału, dyspozycji gospodarczej i społecznej stwarza

warunki, które ułatwiają przejście od systemu kapitalistycznego do gospodarstwa społecznego, do ustroju socjalistycznego.

W stosunkach wewnętrznych imperializm zmierzał do tworzenia monopoli, związków przedsiębiorców, którzy dążyli do podniesienia zysków nie przez zwiększanie produkcji, lecz przez podwyższanie cen drogą zmniejszania podaży, ograniczania produkcji. Kartele, trusty hamowały produkcję, tamowały rozwój techniki, redukowały liczbę przedsiębiorstw, określały wysokość ich wytworów zgodnie z interesami skoncentrowanego kapitału, nie zaś mas konsumentów. Bogactwa narodowe kurczyły się, produkcja wzrastała w tempie stosunkowo wolniejszym niż ludność, hamowana była wymiana międzynarodowa. Poszczególny spożywca był gorzej obsłużony, obniżał się przeciętny poziom życia, występowało ogólne zubożenie. Wzrastające bezrobocie prowadziło do nędzy, głodu. Wzmagał się chaos gospodarczy, zaostrzała walka klasowa, antagonizmy społeczne.

W stosunkach międzynarodowych występowała wzmożona konkurencja w zabiegach o rynki. Wzmagały się zbrojenia, które miały wzmocnić produkcję krajową, a zarazem dostarczyć środków do wojen. Antagonizmy międzynarodowe bywały zażegnywane na drodze dyplomacji; w razie gdy ta zawiodła, prowadziły do nieuniknionych starć orężnych. Rozwijał się więc militaryzm; zatargi wynikające z nacjonalizmu, rasizmu, nabierały przewagi nad światową wymianą towarów i kultury. Kryzysy gospodarcze i wojny to były jakby wentyle, dzięki którym rozładowywała się nadprodukcja, ale nie wprowadzało to uzdrowienia systemu ekonomicznego. Gdy brakło obcych rynków dla towarów, odbywała się wędrówka kapitałów z krajów w nie bogatych, do kolonii lub krajów niezasobnych w kapitał; tam zakładano przedsiębiorstwa podcinając w ten sposób korzenie przemysłu własnego kraju, nie dostarczając dochodu własnemu państwu, pracy — społeczeństwu.

Kryzysy gospodarcze stawały się coraz częstsze i ostrzejsze, trwały coraz dłużej i obejmowały coraz większą liczbę krajów, niemal cały świat. Wojny były coraz bardziej nieuniknione i groźne, przeobrażały się z rozgrywek między poszczególnymi narodami w starcia ogólnoeuropejskie, wreszcie w światowe. W wojnie 1914—18 zmierzył się stary, częściowo już bierny kapitalizm Anglii z młodszym, ekspansywnym niemieckim. Anglia wyszła z wojny osłabiona, Niemcy — zdruzgotane; zwyciężyły Stany Zjednoczone, kraj o olbrzymich możliwościach gospodarczych w zakresie surowców, kapitału, siły roboczej oraz Japonia, budująca swój młody kapitalizm na wyzysku własnego robotnika i dumpingowych, poniżej kosztów produkcji, cenach w eksporcie zagranicznym.

W dwudziestoletnim okresie międzywojennym rozwój imperializmu postępował po drodze przedwojennego kapitalizmu, w tempie przyśpieszonym, przy wzmożonej kumulacji kapitałów, mechanizacji przemysłu, monopolizacji przedsiębiorstw, przy wzroście antagonizmu między kapitalistami i proletariatem. Próby skierowania gospodarstwa na tory totalizmu, nazizmu pozostawiały kierownictwo życia gospodarczego i społecznego państwu, w imię tych samych, panujących przed wojną, zasad: rentowności kapitału, jak największych zysków. Nie zmieniły istoty gospodarstwa kapitalistycznego reformy Roosevelta, zmierzające do podniesienia

poziomu produkcji, zwiększenia dochodu społecznego i sprawiedliwszego jego podziału. Podobnie inne próby skierowane ku temu samemu celowi, nie dały rezultatów pozytywnych. Wybuchł największy w dziejach kryzys, o charakterze niemal światowym, trwający od 1929 aż do 1932 roku.

Zdawało się, że załamuje się gospodarstwo imperialistyczne. Ale odporność kapitalizmu okazała się jeszcze zbyt silna. Tylko rywalizacja międzynarodowa, agresywność państw wielkokapitalistycznych wzrastała, częściowo wyładowywała się w wojnach: w Hiszpanii, w Chinach. Aż wreszcie wybuchła wojna światowa. Niemcy i Japonia zostały zdruzgotane. Uratował się kapitalizm Stanów Zjednoczonych. Stary kapitalizm Anglii się załamywał, rządy objęła Partia Pracy. System kapitalistyczny został wszędzie zahamowany w rozwoju, zachodziły zasadnicze zmiany powszechnie, już nie o charakterze koniunkturalnym, lecz strukturalnym. Rezultaty, do jakich doprowadził rozwój w gospodarstwie światowym, skłaniały do poddawania rewizji zasad i zadań dotychczasowej polityki liberalistycznej.

* * *

Wojna światowa była wojną ludową. Zwycięstwo na frontach nie byłoby możliwe do osiągnięcia, gdyby ogół społeczeństwa w każdym zaatakowanym kraju nie zjednoczył się w opozycji przeciw najazdowi, w nieustępliwej walce z okupantem. Wojna nowoczesna wyzyskiwała w pełni mechanizm nowoczesnego przemysłu i transportu, będących rezultatem najwyższego wysiłku wynalazczości naukowej, organizacji planowej, masowej wytwórczości. Zrozumienie charakteru wojny wywołało w krajach demokratycznych przekonanie, że pokój, kończący zwycięską wojnę ludową, musi być również ludowym, że zasady budowy powstającego nowego porządku gospodarczego i społecznego muszą pozostawać w ścisłym związku z interesami szerokich mas ludowych, całego społeczeństwa.

Już w czasie poprzedniej wielkiej wojny europejskiej na Konferencji Międzynarodowej Związków Zawodowych w r. 1916 żądano w rezolucjach, aby w traktacie pokojowym kończącym wojnę, obok politycznej i ekonomicznej niezależności narodów zostało zapewnione klasom pracującym wszystkich krajów minimum gwarancji treści moralnej i materialnej, dotyczących prawa koalicji, emigracji, ubezpieczeń społecznych, godzin pracy, higieny i ochrony pracy, tak aby robotnicy zostali zabezpieczeni od wszelkiej agresji międzynarodowego kapitału. Po zakończeniu wojny Pierwsza Międzynarodowa Konferencja Pracy w Waszyngtonie w r. 1919 na pierwszej sesji postawiła sprawę obrony przed bezrobociem, 8-godzinnego dnia pracy, ochrony pracy kobiet i dzieci. Organizacje robotnicze, związki zawodowe zyskały wielką siłę. W różnych państwach formowano rządy socjalistyczne. Na porządku dziennym stawała sprawa kontroli, planowania gospodarczego, w celu uporządkowania gospodarstwa, zabezpieczenia interesów społecznych, podniesienia standardu robotniczego, a przede wszystkim zapewnienia robotnikowi pełnego zatrudnienia i ubezpieczenia społecznego. A jednak po wojnie nie podołano wielkiemu zadaniu w walce

ze zniżką płac i z brakiem pracy. W okresie dwudziestoletnim międzywojennym panowało stałe, masowe bezrobocie i spadek cen.

W obecnych czasach powojennych powszechnie stawiane są podobne zadania, jak po wojnie poprzedniej. Zrozumiano jednak, że dla osiągnięcia celu konieczna jest współpraca wszystkich ludów na polu ekonomicznym, odbudowa gospodarcza na nowych zasadach, bez powrotu do liberalistycznych podstaw kapitalizmu, do monopolistycznych organizacji imperializmu. W społeczeństwach demokratycznych rządy wprowadzają zasady planowania gospodarczego i stosowania kontroli społecznej, ustawicznej, ciągłej, nie improwizowanej. Występują nowe zagadnienia: nie — czy działalność gospodarcza ma być kierowana, czy wolna, lecz — kto ma nią kierować i rozciągać nad nią kontrolę: kto planuje? Dla jakich celów? Jak uchronić interesy publiczne przed wyzyskiem uprzywilejowanych mniejszości?

Na plan pierwszy planowania powojennego występują sprawy gospodarcze i społeczne, rozpatrywane na gruncie poszczególnych państw, ale rozstrzygane w porozumieniu międzynarodowym. Wojna wykazała, że nacjonalizm gospodarczy nie jest zdolny do rozwiązania problemów ekonomicznych dzisiejszego świata; ekonomiczna wzajemna zależność narodów jest tak wielka, że akcja narodowa, zmierzająca do podniesienia gospodarstwa, musi być skoordynowana z planem międzynarodowym. To prowadzi do regulowania pracy, produkcji, wymiany w skali światowej.

Główne cele planowania w dziedzinie społecznej po „wojnie ludowej“, cele „pokoju ludowego“ stanowią: podniesienie standardu życiowego robotnika, pełne jego zatrudnienie, ubezpieczenie społeczne. Pełne zatrudnienie obejmuje nie tylko całkowite użycie pracy, lecz także wszelkich czynników produkcji. Dziełu zapewnienia pełnego zatrudnienia, rozumianego w tak szerokim zakresie, nie podoła wolna konkurencja; niezbędna tu jest interwencja państwa. Cały świat pracy pamięta grozę przedwojennego bezrobocia i z trwogą patrzy w przyszłość: czy znajdzie się dla wszystkich praca? Tragedią pokolenia z epoki imperializmu było, że tylko w czasie przygotowań i działań wojennych bezrobocie ulegało likwidacji.

W krajach kapitalistycznych pełne zatrudnienie w ścisłym znaczeniu nie jest możliwe do osiągnięcia w warunkach pokojowych. Utrzymuje się przede wszystkim w różnych dziedzinach praca sezonowa. W latach nawet największego natężenia gospodarczego, najwyższej koniunktury trwałe bezrobocie nie było usuwane. W r. 1929 w Anglii milion robotników pozostawał bez pracy, w Niemczech — dwa, w Stanach Zjednoczonych — trzy miliony, w krajach posiadających odpowiednią statystykę — ogółem około dziesięciu milionów, które wzrosły w r. 1932, w momencie największej depresji gospodarczej, do 30 milionów.

Po wojnie, pomimo wysokiego natężenia działalności gospodarczej, bezrobocie nie zostało usunięte, pełne zatrudnienie nie zostało osiągnięte we wszystkich gałęziach produkcji w tym samym czasie. Dlatego w okresie przejściowym od produkcji wojennej do pokojowej okazało się niezbędne szerokie stosowanie ubezpieczenia społecznego na wypadek bezrobocia, a także choroby, inwalidztwa. To ubezpieczenie ma być przeprowadzane jednak nie w duchu dawnych praw o ubogich, które zabijały inicjatywę,

pracowitość, zabiegliwość jednostek i całych grup bezrobotnych, demoralizowały je przez nieróbstwo i beznadziejny pesymizm, lecz ma być wykonywane na zasadzie udzielania czasowej pomocy w celu przetrwania, pokonania przez bezrobotnych trudności przejściowych i przygotowania się do pracy w nowych warunkach, przy nowych metodach pracy, wynikających z osiągnięć wojennych i powojennych na polu nauki i jej zastosowań w dziedzinie techniki.

Sprawy podniesienia standardu życiowego robotników, pełnego ich zatrudnienia, ubezpieczeń społecznych to są zagadnienia, które w praktycznej działalności współczesnych państw demokratycznych są rozpatrywane z większą niż kiedykolwiek uwagą i rozwiązywane z większą starannością przez rządy narodowe, we współdziałaniu międzynarodowym. Uznana została powszechnie za niezbędną międzynarodowa organizacja pracy. Podniesienie standardu robotników i pełne ich zatrudnienie stają się pierwszym celem międzynarodowego działania. Dla osiągnięcia tego celu Organizacja Narodów Zjednoczonych zdąża do koordynacji polityki narodowej we wszystkich państwach, poprzez instytucje międzynarodowe, zmierzające ku odbudowaniu i ustaleniu produkcji rolniczej i przemysłowej, zapewnieniu odpowiedniego wyżywienia, warunków zdrowotnych itp. podstaw dobrobytu powszechnego.

Zagadnienia, które należy rozwiązać w skali światowej, rozległe i pozostające we wzajemnej zależności: pełne zatrudnienie, ubezpieczenie społeczne, muszą być oparte na wzmocnionej produkcyjności, na odpowiednich inwestycjach, urządzeniach technicznych. Imperialistyczna polityka kolonialna uległa zmianom, nastąpiło bowiem osłabienie penetracji krajów, głównie północno-zachodnich, z Anglią na czele, które ciążyły nad koloniami w XIX w. W XX w. kolonie zyskiwały własne możliwości rozwoju, dlatego dążyły do autonomii, do uniezależnienia się gospodarczego i politycznego. Po kryzysie 1929—32 wystąpił prąd powrotny, odpływ ludzi i kapitałów z kolonii. A jednocześnie rozwój komunikacji nawiązywał niezbędny ścisły kontakt między narodami; zbyt silne były wzajemne wpływy, aby możliwa stała się izolacja. Zarówno narodowa jak międzynarodowa organizacja musiała jednak ulec modernizacji. Konieczną przede wszystkim okazała się kontrola cen i surowców, aby powszechne zatrudnienie mogło być poddane planowi zgodnie z zachowaniem równowagi międzynarodowej. Koordynacja międzynarodowa rozciągała się głównie na cztery wielkie dziedziny polityki ekonomicznej narodów: środki żywności i surowców, pieniądz, handel i inwestycje. Ponieważ działalność gospodarcza zmierzająca ku zapewnieniu dobrobytu powszechnego jest uzależniona od pokoju, od usunięcia lęku przed powracającą wojną agresywną, współpraca międzynarodowa stawała się również podstawą dla trwałego pokoju.

* * *

Teoria liberalizmu ekonomicznego została zachwiana, gdy w związku z całokształtem warunków życia publicznego, z konieczności, na porządku dziennym stanęła słabiej lub mocniej reprezentowana zasada planu gospo-

darczego, ustalonego z góry przez państwo, które było świadome dokonywania zmian w ustroju ekonomicznym, budowało gospodarstwo tzw. kierowane, związane, planowe. Przed wojną doktryna gospodarstwa planowanego, przystosowana do podstawowych warunków ustroju kapitalistycznego, znajdowała wyraz w zasadzie ingerencji gospodarczej rządów demokratycznych, dochodzącej aż do etatyzmu, albo w gwałtownej formie totalizmu społeczno-gospodarczego, opartego na totalizmie politycznym. Polityka gospodarcza i społeczna powojenna tym mocniej wstrząsnęła podstawami liberalizmu.

Klasyczna doktryna kapitalizmu została od dawna podminowana przez teorie socjalistów. Badając mechanizm kapitalizmu dostrzegli oni źródło zysku kapitalistów w „wartości dodatkowej" („nadwartości"), powstającej z pracy robotników „dodatkowej", nie opłaconej. W procesie wzrastającej automatycznej akumulacji kapitału i jednocześnie zmniejszającej się stopy zysku socjaliści widzieli przyczynę panującej anarchii gospodarczej i nieuniknionego ostatecznego rozkładu systemu gospodarczego imperialistycznego, któremu przeciwstawili planowane przez rząd socjalistyczny gospodarstwo społeczne.

W życiu ekonomicznym aktualna stawała się sprawa gospodarstwa planowego-społecznego, którego celem miało być wzmocnienie produkcji, zapewnienie wszystkim konsumentom możliwie wysokiej stopy życiowej, przy sprawiedliwym podziale dochodu społecznego. Gospodarowanie miało dbać o najpełniejsze wyzyskanie bogactw natury, miało zobowiązać do pracy wszystkich i dać prawo do pracy wszystkim obywatelom, czyli usunąć nie chcących pracować i zlikwidować stan przymusowego bezrobocia. W zakresie narzędzi pracy polityka ekonomiczna miała zmierzać do jak najmocniejszego popierania techniki, aby zwiększyć zasoby produkcji i oszczędzać siły ludzkie, a więc do stworzenia wielkiego aparatu wytwórczego i całkowitego jego wyzyskania. Cele te można było osiągnąć, plan gospodarczy zbudować, jedynie na drodze zniesienia własności prywatnej w zakresie środków produkcji, ich uspołecznienia oraz przez usunięcie wolnej konkurencji, zastąpienie jej przez solidarne gromadzenie bogactw dla zapewnienia dobrobytu ludzkości.

Na drodze teorii, wynikającej z wyjaśnienia wewnętrznego mechanizmu systemu kapitalistycznego, można było dojść do pewnych dyrektyw w planowaniu gospodarczym. Planowe społeczne gospodarstwo obecnie nie jest jednak tylko zagadnieniem teoretycznym, lecz zostało zrealizowane w życiu, mianowicie, zastosowane w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich na założeniach rewolucji 1917 roku. Podobnie jak rewolucja angielska XVII w., jak rewolucja francuska XVIII w. zerwały z systemem feudalizmu i wprowadziły mieszczaństwo w życie publiczne, jako jego kierownika, w początku XX stulecia rewolucja październikowa w Rosji zerwała z systemem kapitalistycznym i przeszła do budowania ustroju socjalistycznego przekazując dyspozycję gospodarczą z rąk kapitalistów w ręce ludzi pracy.

Po wojnie światowej w całej prawie Europie, częściowo także na innych kontynentach, stopniowo, w walce bezkrwawej ale nieustępliwej, ze starym porządkiem powstaje nowa rzeczywistość, w której szerokie war-

stwy społeczne próbują realizować nowe postulaty wynikające z planowego gospodarowania a przeciwstawiające się zasadniczo tendencjom gospodarstwa kapitalistycznego. Celem gospodarowania staje się nie rentowność, lecz produkcyjność. W zakresie dochodu społecznego plan gospodarczy zmierza ku możliwie najintensywniejszemu wyzyskiwaniu sił przyrody, techniki, pracy ludzkiej, czego rezultatem staje się odpowiedni wzrost produkcji. W zakresie podziału dochodu społecznego dobra stają się własnością powszechną. Uspołecznieniu podlegają warsztaty pracy; ziemia przechodzi z rąk rentierów w ręce ludzi pracy, użytkowana indywidualnie lub kolektywnie; zakłady przemysłowe, zwłaszcza wielkie, kluczowe, przejmowane są spod dyspozycji prywatnych przedsiębiorców pod zarząd społeczny; podobnie banki, wymiana, komunikacja. Podnosi się stopa życiowa przeciętnego obywatela, przy stosowaniu jednoczesnym powszechnego obowiązku pracy i likwidowaniu bezrobocia. Zanika pojęcie rynku towarowego w sensie kapitalistycznym; ceny ulegają regulowaniu w zależności od kosztów produkcji i potrzeb konsumcji. Zanika pojęcie rynku pracy; człowiek przestaje być towarem, zależnym od podaży i popytu siły roboczej.

W zakresie pracy gospodarstwo typu imperialistycznego zmierzało ku skracaniu czasu pracy do 3-4 dni w tygodniu, do zmniejszania liczby godzin pracy dziennej, do bezrobocia, jeżeli nie całkowitego, to przynajmniej częściowego. Powszechna była tendencja do obniżenia prekluzyjnego wieku robotnika i zdolności jego do pracy, do zastępowania sił wysokokwalifikowanych przez pracę mniej kwalifikowaną, mężczyzn — przez kobiety i dzieci, jako siłę roboczą tańszą; do obniżania płac roboczych, przy podnoszeniu intensywności pracy, do obciążania robotników różnymi świadczeniami, przede wszystkim podatkami pośrednimi. Te wszystkie sprawy gospodarstwo społeczne stopniowo reguluje w kierunku zapewnienia pracy a zarazem nieprzeciążania ludzi pracą.

Podejmowana jest akcja, zmierzająca ku zapewnieniu opieki nad zdrowiem robotnika, niemarnowaniu jego sił, należytemu odżywianiu, uporządkowaniu dotkliwej dla robotników sprawy mieszkań. Na porządku dziennym staje sprawa zwolnienia kobiety pracującej zawodowo od zajęć domowych, specjalnej opieki nad kobietą w okresie jej ciąży, ochrony dziecka — w postaci zakładania żłobków, ochronek — opieki nad młodzieżą. Stopniowo na pierwszy plan wysuwa się sprawa umożliwienia wszystkim obywatelom kształcenia się i osiągnięcia jednakowego startu życiowego, upowszechnienia oświaty i kultury, szkolnictwa, od przedszkoli aż po wyższe uczelnie włącznie, utrzymanie szkolnictwa podstawowego na najwyższym możliwie poziomie. Zapewnienie zawodowych kwalifikacji do pracy przez odpowiednio zorganizowaną szkołę zawodową miało wpłynąć na podniesienie wydajności pracy, bez zbytniego obciążania nią robotników, odjąć wiele związanego nieuniknienie z nią trudu, rozwinąć tkwiący w niej element twórczy i płynące stąd zadowolenie człowieka żywego, aktywnego, nie — jak dotychczas — pracującej, biernej, bezdusznej maszyny.

Zaniechanie traktowania robotnika jako towaru na rynku pracy, zniesienie systemu pracy najemnej, tym samym klasy proletariackiej, ma prowadzić do stworzenia społeczeństwa jednolitego, społeczeństwa robotniczego, opartego w swej strukturze nie na własności ziemi albo kapitału,

lecz na pracy. Zapewnienie równości warunków życiowych, materialnych i intelektualnych, jednakowego startu życiowego przez odpowiednie przygotowanie do pracy, ma stać się podstawą do równości w życiu społeczno-politycznym i prowadzić w ostatecznym rezultacie do likwidacji klas społecznych. Na takiej podwalinie gospodarczo-społecznej ma oprzeć się realizacja od dawna w teorii głoszonych, fałszowanych jednak w życiu haseł: wolności i równości, istotnych zasad rzetelnej demokracji społecznej.

Natalia Gąsiorowska

**Eugeniusz Warga**

# Anglo-amerykańskie stosunki ekonomiczne*)

Podczas pierwszej i drugiej wojny światowej Anglia i Stany Zjednoczone były sojusznikami. Podczas drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone intensywnie pomagały Anglii. Dostawy Stanów Zjednoczonych dla Anglii na podstawie lend-leasu przekroczyły 15 miliardów dolarów, przy czym ten ogromny dług Anglii został anulowany przez anglo-amerykańską umowę finansową.

Obecnie Stany Zjednoczone udzielają Anglii nowej pożyczki w sumie 4,4 miliarda dolarów, z których 650 milionów dolarów pójdzie na ostateczne pokrycie angielskiego zadłużenia na podstawie lend-leasu. Lecz właśnie pertraktacje w sprawie pożyczki ujawniły głębokie ekonomiczne sprzeczności istniejące między tymi dwoma kapitalistycznymi krajami: Stany Zjednoczone zaproponowały pożyczkę na wielce niedogodnych dla swego partnera warunkach, które zostały przyjęte przez angielski parlament jedynie dlatego, że nie widział on innej drogi do odbudowy ekonomiki Anglii. Czołowe pismo angielskie „Economist“ z 15 grudnia 1945 r. kończy artykuł wstępny o amerykańskiej pożyczce następującymi słowami: „Nędzarze nie mają wyboru. Mogą jednak według starej tradycji przeklinać bogatych“.

Fakt, że Anglia zmuszona jest uciec się do pożyczki zewnętrznej, w dodatku na ciężkich warunkach, świadczy o tym, że druga wojna światowa spowodowała w jej ekonomice ogromne zmiany. Anglia, która na przestrzeni lat udzielała pożyczek innym krajom dyktując im swoje ekonomiczne warunki i często zmuszając do spłacenia długów przy pomocy swojej floty wojennej (jak było np. z południowo-amerykańskimi krajami lub z Egiptem) — teraz sama zmuszona jest przyjąć przedłożone jej warunki pożyczki.

Stosunki między Anglią i Ameryką stanowią poglądową ilustrację działania prawa nierównomiernego ekonomicznego i politycznego rozwoju ka-

*) Tłumaczenie stenogramu publicznego odczytu, wygłoszonego 24 stycznia 1946 r. w Sali Odczytowej w Moskwie.

pitalizmu, jego gwałtownego zaostrzenia i skoków właściwych kapitalizmowi w okresie imperializmu.

Wiadomym jest, że prawie do końca XVIII w. St. Zjednoczone były kolonią Anglii. Jeszcze 100 lat temu St. Zjednoczone były krajem rolniczo-kolonialnym. Ogromna część terytorium tego państwa — cały zachód — nie była jeszcze zaludniona, na południu panowała gospodarka niewolnicza. St. Zjednoczone dostarczały Europie surowca i żywności i kupowały w Anglii towary przemysłowe będąc jej dłużnikiem. Następujące cyfry charakteryzują potęgę ekonomiczną obydwu krajów w r. 1848.

| | Imperium Brytyjskie i Irlandia | St. Zjednoczone |
|---|---|---|
| Ludność (w mil.) | 28 | 22 |
| Wydobycie węgla (w mil. ton.) | 50 | 6 |
| Spław żelaza (w mil. ton) | 2 | 0,6 |
| Zużycie bawełny (w mil. ton) | 0,32 | 0,1 |

Wynika z tego, że w 1848 r. liczba ludności Anglii jeszcze znacznie przewyższała liczbę ludności w St. Zjednoczonych; wydobycie węgla w Anglii było prawie 9 razy większe aniżeli w St. Zjednoczonych, wypławianie stali i zużycie bawełny 3 razy większe.

Na początku XX w., w okresie imperializmu, Ameryka w niektórych dziedzinach zrównała się i częściowo wyprzedziła Anglię. Fakt ten ilustrują następujące cyfry z 1900 roku:

| | Imperium Brytyjskie | St. Zjednoczone |
|---|---|---|
| Ludność (w mil.) | 41 | 76 |
| Wydobycie węgla (w mil. ton) | 225 | 241 |
| Spław żelaza (w mil. ton) | 9 | 14 |
| Zużycie bawełny (w mil. ton) | 1,5 | 0,4 |

W 1900 r. St. Zjednoczone wydobywały więcej węgla i żelaza niż Anglia, lecz Ameryka w dalszym ciągu eksportowała przeważnie surowiec i żywność a kapitał angielski odgrywał jeszcze bardzo znaczną rolę w jej życiu ekonomicznym. W 1910 r. suma kapitałów zagranicznych ulokowanych w St. Zjednoczonych wynosiła 6 miliardów dolarów, przy czym 3 miliardy z tej sumy należały do Anglii. Lecz w tym czasie Stany Zjednoczone same już eksportowały kapitał do europejskich i południowo-amerykańskich krajów w sumie mniej więcej od 1 do 1,5 miliarda dolarów.

Przed drugą wojną światową — 1938 r. — Ameryka z małymi wyjątkami wyprzedziła Anglię prawie we wszystkich dziedzinach. Świadczą o tym następujące dane:

| | Imperium Brytyjskie | St. Zjednoczone |
|---|---|---|
| Ludność (w mil. — bez Irlandii) | 46 | 130 |
| Wydobycie węgla (w mil. ton) | 232 | 352 |
| Spław stali (w mil. ton) | 10,5 | 29 |
| Produkcja elektroenergii (w mil. KWh) | 31 | 116 |

W 1938 r. ludności w St. Zjednoczonych było już 3 razy więcej niż w Anglii, wydobycie węgla zwiększyło się o 50%, produkcja stali i, co najważniejsze, produkcja elektroenergii była trzykrotnie większa niż w Anglii.

Anglia tylko w niektórych gałęziach przewyższała St. Zjednoczone. Do tych gałęzi należała przede wszystkim flota handlowa, międzynarodowe operacje finansowe, lokaty kapitału za granicą. St. Zjednoczone, które przedtem wywoziły przeważnie produkty rolnicze, jak bawełnę, tytoń, mięso, pszenicę, zaczęły także wywozić towary przemysłowe. W 1937 r. eksport towarów przemysłowych St. Zjednoczonych wynosił 49% całego ich eksportu. Oczywiście, że przy porównaniu gospodarczej potęgi St. Zjednoczonych z potęgą gospodarczą Anglii należy wziąć pod uwagę, że Anglia rozporządza do pewnego stopnia ekonomicznymi rezerwami dominiów i kolonii Imperium Brytyjskiego. Gdzie więc należy szukać przyczyn tego faktu, że St. Zjednoczone potrafiły tak prędko wyprzedzić Anglię. Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy znaleźć konkretne przyczyny wyjaśniające, dlaczego St. Zjednoczone tak szybko rozwijały się pod względem ekonomicznym i dlaczego Anglia w drugiej połowie XIX w. stosunkowo pozostawała w tyle.

Pierwsza przyczyna polegała na specyfice historycznego rozwoju St. Zjednoczonych, wskutek którego z wyjątkiem południa — nie istniała tam nigdzie wielka własność feudalna. Gospodarka rolna St. Zjednoczonych, jak wskazywał Lenin, rozwijała się sposobem amerykańskim, to znaczy, że chłop stawał się kapitalistycznym farmerem. Tłumaczy się to tym, że w St. Zjednoczonych było bardzo dużo wolnej ziemi. Na obszernym terytorium nie było prywatnej własności ziemskiej, część ziemi państwo rozdawało prawie za darmo.

Lenin analizując warunki amerykańskiej gospodarki rolnej na początku XIX w. pisał, że „Zachód to jednolity obszar... darmo rozdanej, niezajętej przez nikogo ziemi", że tam „faktycznie nie istnieje jeszcze własność ziemska".

Jasne, że wywarło to olbrzymi wpływ na ekonomiczny rozwój St. Zjednoczonych, uwarunkowało stosunkowo wysoki poziom płacy roboczej oraz rozszerzenie rynku wewnętrznego.

Drugą przyczyną szybkiego rozwoju St. Zjednoczonych było istnienie w tym kraju wielkich rezerw naturalnych. Niektórzy uważają, że w rozwoju ekonomicznym czynniki naturalne nie odgrywają żadnej roli. Ten punkt widzenia, będący zrozumiałą reakcją przeciwko nauce burżuazyjnej, która usiłuje wytłumaczyć wszystko tylko czynnikami naturalnymi nie jest jednak słuszny. Czynniki naturalne odgrywały i odgrywają niepośledną rolę w rozwoju ekonomicznym. Ogromne zapasy węgla, rudy żelaznej, ropy naftowej, doskonałe warunki klimatyczne St. Zjednoczonych pozwalają na zużywanie mniejszej ilości czasu roboczego dla wydobywania surowca. Dlatego też przy pozostałych podobnych warunkach koszty produkcji wielu towarów w St. Zjednoczonych są niższe aniżeli w niektórych innych krajach. Podnosi to zdolność konkurencyjną St. Zjednoczonych na rynku światowym w porównaniu z tymi krajami, które posiadają skąpe rezerwy naturalne i zmuszone są importować ropę naftową, węgiel itd.

Istnienie w St. Zjednoczonych wielkich ilości wolnej ziemi sprawiło, że na przestrzeni wielu dziesiątek lat robotnicy amerykańscy przenosili się ze wschodu na zachód, gdzie otrzymywali ziemię prawie darmo. Dlatego też na terenach o rozwiniętym przemyśle prawie stale dawał się odczuwać brak siły roboczej nie bacząc na to, że imigracja do Ameryki aż do pierwszej wojny światowej była bardzo intensywna. W ciągu 10 lat, od 1881 do 1890 roku, do Ameryki przybyło 5 milionów imigrantów, a między 1891 i 1910 r., w okresie najburzliwszej imigracji, prawie 9 milionów.

Część przesiedleńców rokrocznie wyjeżdżała z powrotem, lecz większość pozostawała. W owym czasie (50 — 60 lat temu) na porzucenie ojczyzny i przedsięwzięcie dalekiej podróży przez Ocean Atlantycki mogli zdecydować się tylko młodzi, zdrowi ludzie, pewni tego, że pokonają wszystkie trudności, że znajdą w Ameryce pracę i zaczną nowe życie. Tak więc jakość siły roboczej w St. Zjednoczonych stale się polepszała na skutek dopływu zdrowych, młodych przesiedleńców z Europy.

Kraje, które wstąpiły później na arenę kapitalistycznego rozwoju i które nie są obciążone starą techniką, przy zastosowaniu najnowszych udoskonaleń technicznych mają możność dognania i wyprzedzenia krajów starego kapitalizmu. W St. Zjednoczonych możliwość tę potęgowały specyficzne warunki. W okresie przedimperialistycznym ciągły brak siły roboczej w St. Zjednoczonych sprawiał, że technika rozwijała się tam szybciej niż w innych krajach kapitalistycznych. Brak siły roboczej i stosunkowo wysoka płaca robocza, stanowią dla kapitalistów bodziec do zastosowania bardziej skomplikowanych i doskonalszych maszyn. Natomiast tam, gdzie istnieje nadmiar taniej siły roboczej, takiego bodźca nie ma. Okoliczności te powiększyły wewnętrzny rynek St. Zjednoczonych, zarówno dla towarów podstawowych, jakimi są środki produkcji, jak i dla towarów spożycia.

Istnienie wolnej ziemi i brak siły roboczej nie oznacza bynajmniej, że wielki kapitał nie eksploatował farmerów i robotników. Obliczenia wskazują, że nadwartość w przemyśle przetwórczym St. Zjednoczonych wynosiła w 1899 r. — 128%, w 1919 r. — 122%, i w 1929 r. — 158% to znaczy, że zawsze przekraczała 100%. Wielki kapitał znalazł także drogi okólne dla eksploatacji farmerów. Pod tym względem czołową rolę odegrały koleje żelazne, które ustanowiły dla farmerów bardzo wysokie taryfy. W ciekawej powieści Norrisa przedstawiono walkę farmerów z kolejami, które w St. Zjednoczonych należą do prywatnych przedsiębiorców. W powieści przytoczony jest następujący fakt. Pewien farmer na zachodzie z dużym powodzeniem zaczął uprawiać chmiel, który był nową kulturą. Produkt ten trzeba było transportować na daleki rynek. Kolej natomiast rokrocznie powiększała taryfę. Farmer zwrócił się do zarządu kolei z pytaniem: „Według jakiej zasady ustalacie taryfy“. Odpowiedź brzmiała: „Bierzemy tyle, na ile pozwala wasz „business“.

Wszystkie czynniki zapewniające burzliwe tempo rozwoju amerykańskiej ekonomiki znajdowały się na usługach wielkiego kapitału.

Po pierwszej wojnie światowej właśnie w St. Zjednoczonych, posiadających ogromne rezerwy, ze szczególną siłą ujawniły się sprzeczności ogólnego kryzysu kapitalizmu — brak możliwości inwestowania kapitałów

i chroniczne bezrobocie. Niesłychane rozmiary bezrobocia spowodowały zakaz imigracji do Ameryki.

Ekonomika Anglii rozwijała się w zupełnie innych historycznych warunkach niż ekonomika St. Zjednoczonych. Anglia pierwsza weszła na drogę przemysłowej rewolucji, wcześniej od innych krajów dokonała rewolucji burżuazyjnej. Dało jej to dużą przewagę nad innymi krajami europejskimi. Rozkwit Anglii w XIX w. opierał się na jej bogatych zapasach węgla i na szybkim rozwoju przemysłu włókienniczego, na jej silnej flocie handlowej i obszernym imperium kolonialnym. Lecz te podstawy ekonomiczne w miarę rozwoju światowego kapitalizmu traciły swoje znaczenie. Przemysł włókienniczy jest gałęzią, z której bierze początek rozwój kapitalizmu w każdym kraju. Znaczenie węgla obniżało się wraz ze wzrostem produkcji energii elektrycznej, ze wzrostem roli ropy naftowej. Znaczenie floty handlowej zmniejszyło się na skutek tego, że w epoce imperializmu nastąpiło wyeliminowanie wolnego handlu. Kraje kapitalistyczne zamykały rynek dla zagranicznych towarów przez stosowanie taryf celnych, kontyngentów itd.

Dlatego też ekonomika Anglii w okresie imperializmu rozwijała się znacznie wolniej niż ekonomika St. Zjednoczonych i stosunki między tymi krajami stopniowo, lecz dość szybko zmieniały się na korzyść St. Zjednoczonych. Proces ten wzmógł się gwałtownie podczas drugiej wojny światowej.

***

Stosunki ekonomiczne między St. Zjednoczonymi a Anglią w bardzo dużym stopniu określają się zmianami, które zaszły w tych krajach w okresie drugiej wojny światowej.

St. Zjednoczone i Anglia znalazły się na skutek wojny w różnej sytuacji ekonomicznej. Posiadają jednak wspólną cechę — dążenie do rozszerzenia swojego eksportu, chociaż dążenie to w każdym z tych krajów ma inne podstawy.

W ciągu tego czasu Anglia straciła około ¼ swojego narodowego bogactwa. Według danych oficjalnych jej bogactwa narodowe zmniejszyły się od roku 1941 do 1944 o 4 miliardy funtów szterlingów. Przy tym z sumy tej wyłączone są straty, które Anglia poniosła na skutek bombardowania i działań nieprzyjacielskich łodzi podwodnych, a także straty poniesione w 1945 r. Ogólnie bogactwa narodowe Anglii podczas wojny zmniejszyły się o 7,5 miliarda funtów szterlingów. Straciła ona prawie połowę swoich zagranicznych inwestycji (około 2 miliardów funtów szterlingów z ogólnej sumy 4 miliardów funtów szterlingów).

Anglia stała się dłużnikiem swoich własnych kolonii, a przede wszystkim Indii, a także swoich dominiów i innych krajów. Długi Anglii przekraczają obecnie jej kapitały ulokowane za granicą. Anglia, będąc zawsze krajem-wierzycielem, stała się po wojnie krajem-dłużnikiem. Nowa amerykańska pożyczka, jeżeli tylko całkowicie będzie zrealizowana, wynosi 1,25 miliarda funtów szterlingów, tj. więcej niż połowę angielskich zagranicznych inwestycji. Przeobrażenie się Anglii z wierzyciela w dłużnika oznacza, że

jej bilans stał się w znacznym stopniu pasywnym. Był on pasywny jeszcze przed rozpoczęciem wojny. W 1938 r. uważano, że pasywne saldo płatniczego bilansu wynosiło około 50 milj. funtów szterlingów, to znaczy, że kapitał zagraniczny Anglii zmniejszył się w 1938 r. o 50 milj. funt. szterl. Obecnie zaś, ze względu na to że Anglia podczas wojny straciła większą część swoich zagranicznych inwestycji i innych dochodów, jej bilans płatniczy będzie mocno pasywny.

Tygodnik angielski „Economist" (1. IX. 1945 r.) w następujący sposób ocenia tzw. „niewidzialny eksport" Anglii (składający się z dochodów, jakie przynosi żegluga, lokata kapitałów za granicą itd.) Przed i po wojnie (w mil. funt. szterl.):

| | 1937 r. | 1938 r. | po wojnie |
|---|---|---|---|
| dochody z zagranicznych inwestycji | 210 | 200 | 100 |
| „ z żeglugi | 130 | 100 | 75 |
| „ z operac i bankowych | 40 | 35 | 25 |
| „ z innych źródeł | 10 | — | 20 |
| | 390 | 335 | 220 |

Do wybuchu wojny Anglia opłacała eksportem swoich towarów tylko połowę swego importu, druga jego połowa była pokrywana przez „niewidzialny eksport".

Handel zagraniczny w Anglii (w mil. funt. szterl.):

| | 1933 r. | 1936 r. | 1938 r. |
|---|---|---|---|
| import | 626 | 787 | 858 |
| eksport | 368 | 441 | 471 |

Zmniejszenie się „niewidzialnego eksportu" z 390 mil. funt. szterl. do 220 mil. po wojnie oznacza, że Anglia musi wywozić o 170 mil. funt. szterl. więcej towarów niż przed wojną, aby móc wywozić taką samą ilość surowca i żywności jak przed wojną (procenty i amortyzacja nowej amerykańskiej pożyczki będą wymagały dodatkowych 34 milionów funtów szterlingów rocznie).

Anglia według obliczeń musi po wojnie powiększyć o 50% swój eksport w porównaniu z przedwojennym, w rzeczywistości eksport będzie musiał być jeszcze większy, gdyż wywóz większej ilości towarów wymaga sprowadzenia dodatkowego surowca dla ich wyprodukowania (bawełny, wełny, metali kolorowych itd.).

Gazeta „Manchester Guardian" z 22 lutego 1945 r. obliczyła, że po wojnie Anglia musi wywozić o 100% więcej niż przed wojną. Obliczenia te są oczywiście przesadzone, gdyż podczas wojny Anglia znacznie rozszerzyła swoją produkcję rolną. W kraju tym uprawia się teraz o wiele więcej pszenicy, kartofli itp. Dlatego też wwóz żywności będzie mniejszy niż przed wojną.

W zupełnie innej sytuacji znalazła się po wojnie Ameryka. Po 1914—1918 roku druga wojna światowa była jedynym okresem, kiedy St. Zjednoczone potrafiły całkowicie wykorzystać stały kapitał i siłę roboczą. Nie bacząc na to, że przeszło 10 milionów ludzi było powołanych do armii, liczba pracujących nie zmniejszyła się. Istnienie olbrzymiej armii bezrobotnych (w 1938 r. zarejestrowanych było 7,5 mil. bezrobotnych, faktycznie zaś było ich około 9 mil.) przy niekompletnie obsadzonym aparacie przemysłowym pozwoliło St. Zjednoczonym podczas drugiej wojny światowej przeszło dwukrotnie zwiększyć swoją produkcję przemysłową. W szczególności wzmogła się produkcja maszyn i narzędzi pracy. Tak więc, w 1943 — 1944 r. wytwarzanie środków produkcji (włączając także produkcję zbrojeniową) wzrosło 3,5 raza w porównaniu z wytwórczością przedwojenną. Rozszerzenie się stałego kapitału zawsze jest związane z udoskonaleniem środków produkcji; nowe maszyny są zazwyczaj bardziej wydajne aniżeli stare, dlatego też w St. Zjednoczonych podczas wojny powiększyła się bardzo wydajność pracy: wzrosła ona w przybliżeniu o 20%.

Wykaz produkcji przemysłowej w St. Zjednoczonych (1935 — 1939 = 100)

| Lata | Prod. przemysł | Produkcja środków prod. (wyłączając uzbrojenie) |
|---|---|---|
| 1941 | 162 | 201 |
| 1942 | 199 | 279 |
| 1943 | 239 | 360 |
| 1944 | 238 | 353 |

Wzrost wydajności pracy i całkowite zatrudnienie siły roboczej spowodowały znaczne powiększenie się dochodu narodowego St. Zjednoczonych podczas wojny.

Dochód narodowy St. Zjednoczonych (w miliardach dolarów)

| 1941 r. | 1942 r. | 1943 r. | 1944 r. |
|---|---|---|---|
| 97 | 122 | 149 | 161 |

Na skutek wzrostu produkcji podczas wojny prywatna konsumcja w St. Zjednoczonych była ograniczona tylko w nieznacznym stopniu, z wyjątkiem poszczególnych przedmiotów, specjalnie ważnych dla produkcji wojennej. Równocześnie narodowe bogactwa St. Zjednoczonych nie zmniejszyły się w odróżnieniu od Anglii i innych krajów, które brały udział w wojnie (oprócz Kanady), ponieważ na terytorium St. Zjednoczonych nie było działań wojennych.

Oczywiście, że znaczna część wybudowanych podczas wojny fabryk okaże się zbyteczna, na skutek czego mocno obniży się ich wartość. Podczas wojny St. Zjednoczone stworzyły olbrzymią flotę handlową — około 45 mil. tonażu. Duża część tej floty jest obecnie St. Zjednoczonym zupełnie niepotrzebna. Okręty o minimum 20 mil. tonażu będą widocznie „zakonserwowane". Fabryki aluminium mogą być wykorzystane prawdopo-

dobnie tylko w 50%, a fabryki samolotów w 3 — 5% zdolności produkcyjnej.

Sytuacja ekonomiczna St. Zjednoczonych po wojnie różni się jaskrawo od sytuacji ekonomicznej Anglii. St. Zjednoczone cierpią z jednej strony na skutek rozrostu bogactw w czasie wojny oraz nadmiaru sił wytwórczych, z drugiej zaś strony na skutek zwężenia się wewnętrznego rynku, co zmusza amerykańskich kapitalistów do szukania zewnętrznych rynków i do rozszerzenia eksportu. Anglia natomiast koniecznie musi sprowadzać niezbędny surowiec i żywność, i dlatego też w celu pokrycia importu dąży ona za wszelką cenę do forsowania wywozu swoich towarów.

Różnica sytuacyj, w jakich znajdują się St. Zjednoczone i Anglia, jest zasadniczym momentem określającym ich wzajemne stosunki ekonomiczne.

***

Obecnie zachodzi stopniowy powrót ekonomiki St. Zjednoczonych do stanu przedwojennego. Przede wszystkim rozpoczęła się znaczna redukcja produkcji przemysłowej. W październiku 1945 r. produkcja przemysłowa (przyjmując 1939 r. za 100) określała się liczbą 151 w stosunku do 216 w 1944 r. i 219 w 1943 r.

Rynek wewnętrzny, będąc jeszcze dostatecznie obszernym, nie jest jednak w stanie pochłonąć wszystkich towarów, jakie mógłby wyprodukować ogromny aparat przemysłowy St. Zjednoczonych.

Co prawda z okresu wojny pozostał wielki „odłożony“ popyt na takie towary, których podczas wojny nie wyrabiano. Są to przede wszystkim auta, domowe przyrządy elektryczne, meble, domy mieszkalne. „Odłożony“ popyt znalazł swój wyraz w nagromadzeniu wielkich sum pieniężnych w postaci depozytów w kasach oszczędnościowych, bankach itd. Sumę tych wolnych środków pieniężnych — depozytów, krótkoterminowych wartościowych papierów państwowych — ocenia się różnie — od 500 do 100 miliardów dolarów. Obecnie, po zakończeniu wojny „odłożony“ popyt pozwoli na pewien czas rozszerzyć wewnętrzny rynek dla wspomnianych towarów. Lecz bardzo trudną pozostaje sprawa towarów o pierwszorzędnym znaczeniu, jakimi są środki produkcji, gdyż kapitał stały St. Zjednoczonych znacznie wzrósł podczas wojny: nowych fabryk wybudowano na sumę równającą się w przybliżeniu $^1/_3$ wartości fabryk istniejących przed wojną; maszyn (biorąc pod uwagę wartość) wyrabiano w ciągu każdego roku wojny 7 razy więcej niż w jakimkolwiek roku przed wojną, nawet w okresie ożywienia gospodarczego.

Pogarsza się również sytuacja na rynku towarów pierwszej potrzeby. Zmniejszenie rozmiarów produkcji przemysłowej w związku ze znikaniem wymagań okresu wojennego doprowadziło do dużego obniżenia płacy roboczej: odpadły nadliczbowe godziny pracy, które były opłacane o wiele drożej niż godziny zwykłe,obniżyły się akordowe stawki, kapitaliści ustalili robotnikom niższe kategorie itd. Atak kapitału na stopę życiową klasy robotniczej spotyka się z czynnym sprzeciwem ze strony robotników, którzy rozwinęli obecnie szeroką akcję strajkową. W Stanach

Zjednoczonych po zakończeniu wojny znów istnieje masowe bezrobocie. Już pod koniec 1945 roku według oficjalnych danych w Stanach Zjednoczonych było 3,5 miliona bezrobotnych, pomimo tego że demobilizacja dość powoli posuwa się naprzód (pod koniec 1945 roku w armii i flocie Stanów Zjednoczonych znajdowało się jeszcze 7 milionów ludzi).

Wszystkie prawie obliczenia instytucyj naukowych i poszczególnych organów państwowych sprowadzają się do tego, że jeśli w 1946 roku poziom produkcji obniży się do poziomu 1940 roku, to liczba bezrobotnych dojdzie do 15 — 20 milionów. Możliwe, że cyfra ta jest trochę przesadzona, ponieważ stała liczba amerykańskiej armii będzie prawdopodobnie znacznie większa niż przed wojną. Poza tym część kobiet, wciągniętych podczas wojny do produkcji, powróci z powrotem do gospodarstwa domowego. W każdym razie można liczyć, że przy obniżeniu się produkcji do poziomu 1940 roku bezrobocie w Stanach Zjednoczonych ogarnie 10—15 milionów ludzi. Nieobciążony kapitał stały dosięgnie znacznych rozmiarów.

Kurczenie się rynku wewnętrznego zmusza kapitał amerykański do szukania rynków zagranicznych, do specjalnych starań w sprawie powiększenia wywozu amerykańskich towarów. Jak wiadomo, przed wojną eksport Stanów Zjednoczonych, choć sam przez się bardzo znaczny, był jednak niewielki w porównaniu z konsumcją wewnętrzną. Według obliczeń amerykańskich w 1925 roku Stany Zjednoczone wywoziły 10% całej swojej produkcji, w 1933 roku — 6,5%, w 1935 roku — 6,8%, przy czym do dnia dzisiejszego w eksporcie Stanów Zjednoczonych produkty rolne dominują nad towarami przemysłowymi. Tak np. amerykański eksport bawełny w 1937 roku przewyższył wartość eksportu automobilów i wyrobów stalowych.

Nie ulega wątpliwości, że zdolność nabywcza krajów kapitalistycznych w 1945 roku jest niepomiernie niższa niż przed wojną. Dzieje się to na skutek zniszczenia, jakiego dokonali niemieccy i japońscy imperialiści w krajach kontynentalnych Europy i Dalekiego Wschodu. Zapotrzebowanie na towary to zupełnie co innego niż zdolność ich nabywania. Aby móc importować towary zagraniczne trzeba posiadać własny eksport lub dostateczny zapas złota. Jeśli jakiś kraj nie może niczego sprzedawać na zewnętrznym rynku i nie posiada zapasów złota, to nie może czynić zakupów za granicą. W takiej sytuacji właśnie znajduje się obecnie większość krajów kontynentu europejskiego i Dalekiego Wschodu: potrzebne im są wszelkiego rodzaju towary, lecz nie posiadają środków i możliwości zapłacenia za te towary. Niektóre kraje, jak Francja, Belgia, Holandia posiadały na początku wojny zapas złota za granicą, który obecnie wykorzystują dla zakupu niezbędnych towarów w Stanach Zjednoczonych. Lecz kraje centralnej i wschodniej Europy a także Chiny takich rezerw nie posiadają i są przez to niewypłacalne.

Przed wojną Niemcy i Japonia były głównymi konkurentami Anglii i Stanów Zjednoczonych na światowym rynku. W związku z tym powstaje pytanie czy fakt, że kraje te odpadły z liczby eksporterów, nie otwiera szerszych perspektyw dla eksportu Stanów Zjednoczonych i Anglii? Niezupełnie tak przedstawia się ta sprawa. Należy pamiętać, że Niemcy i Ja-

ponia nie tylko sprzedawały towary na rynku światowym, lecz czyniły olbrzymie zakupy amerykańskich i angielskich towarów. Tak np. w 1937 roku Stany Zjednoczone sprzedały Niemcom towarów za 126 milionów dolarów, a od Niemców zakupiły towarów za 92 miliony. W tym samym roku Stany Zjednoczone sprzedały Japonii towarów za 259 milionów dolarów, a kupiły od Japonii na sumę 204 miliony. A więc zanik japońskiego i niemieckiego eksportu zwęża także odpowiednio możliwości tych krajów jako nabywców amerykańskich i angielskich towarów.

Oczywiście, że wiele gałęzi angielskiego i amerykańskiego przemysłu wygrywa na tym, że teraz odpadło współzawodnictwo Niemców i Japonii na rynku światowym. Do wybuchu wojny Niemcy eksportowały około 5 milionów ton stali, wyrobów stalowych, co stanowiło około $^1/_3$ eksportu światowego. Jasne, że dla amerykańskiego i angielskiego ciężkiego przemysłu korzystny jest fakt, że Niemcy nie są więcej eksporterem stali i wyrobów stalowych na rynku światowym. Japonia była głównym konkurentem Anglii na włókienniczych rynkach Azji i Afryki wypierając ją stopniowo z tych rynków. Obecnie angielski przemysł włókienniczy pozbył się na pewien czas swego konkurenta. Biorąc jednak ogólnie fakt odpadnięcia japońskiego i niemieckiego eksportu nie rozstrzyga dla Anglii i Stanów Zjednoczonych kwestii zewnętrznych rynków.

Takie jest tło, na którym rozgrywa się walka między Anglią i Stanami Zjednoczonymi o opanowanie jak największej części zwężonego po wojnie rynku światowego.

Spróbujmy teraz zbadać pozycje tych dwóch głównych współzawodników na rynku światowym. Stany Zjednoczone posiadają tańszy surowiec niż Anglia, a mianowicie węgiel, ropę naftową, stal; w Stanach Zjednoczonych koszty produkcji towarów są niższe niż w Anglii, pomimo że płaca robocza jest w Stanach Zjednoczonych znacznie wyższa. Tłumaczy się to wysoką wydajnością pracy i udoskonalonymi środkami produkcji w porównaniu z angielskimi. Angielskie komisje, badające w 1944 i 1945 roku stan poszczególnych gałęzi przemysłu w Stanach Zjednoczonych, doszły do wniosku, że koszty produkcji są tam znacznie niższe niż w Anglii. Okoliczność ta ułatwia Stanom Zjednoczonym konkurencję na rynku światowym.

W okresie imperializmu eksport znajduje się w wiekszej swej części w rękach wielkich monopoli. To, że wewnętrzny rynek Stanów Zjednoczonych jest znacznie szerszy niż wewnętrzny rynek Anglii, pozwala amerykańskim monopolom na zastosowanie dumpingu, tzn., na sprzedawanie towarów za granicą taniej niż na rynku wewnętrznym, czasem nawet poniżej kosztów produkcji.

Stany Zjednoczone posiadają wielką przewagę, szczególnie na najbliższe dziesięć lat, pod tym względem, że mogą sprzedawać swoje towary na kredyt i wywozić je w postaci eksportu kapitałów.

Jak mówiliśmy już wyżej, w krajach kontynentalnej Europy i Azji istnieje wielki lecz niewypłacalny popyt na towary. Kraje tę mogą zakupywać dużą ilość towarów, lecz tylko na kredyt. Stany Zjednoczone są w stanie udzielić tym krajom szerokich kredytów dla zakupu amerykańskich towarów. Anglia natomiast, która sama potrzebuje zagranicznych

kredytów, może sprzedawać swoje towary na kredyt tylko w bardzo ograniczonych rozmiarach. Jednak Anglia również posiada przewagę pod niektórymi względami. Przede wszystkim panuje ona nad olbrzymim imperium. W swoich koloniach i dominiach korzysta z taryf ulgowych: przy wwozie swoich towarów do Australii, Indii, Południowej Afryki itd. Anglia płaci niższe cła niż inne kraje. Na towary sprowadzone z tych krajów do Anglii nakłada się także znacznie mniejsze cła niż na towary innych krajów, w tej liczbie i Stanów Zjednoczonych. Eksport Anglii do jej kolonii i dominiów wzrasta bez przerwy i w 1939 roku stanowił 49% całego eksportu angielskiego.

Drugim plusem Anglii jest tzw. blok szterlinga. Dominia i kolonie angielskie a także szereg formalnie niepodległych krajów, jak Irak, Egipt i inne, posługują się wyłącznie funtem szterlingiem jako pieniądzem światowym. Jeśli kraje te sprzedają Ameryce swoje towary, to zobowiązane są otrzymane dolary przekazywać Anglii. Kraje znajdujące się w bloku szterlinga mogą nabywać amerykańskie towary tylko w tym wypadku, jeśli Anglia daje odpowiednią ilość dolarów. Istnienie więc bloku szterlinga jest ważnym czynnikiem w walce konkurencyjnej między Anglią i Stanami Zjednoczonymi.

Trzecią okolicznością sprzyjającą angielskiemu eksportowi — jakkolwiek może się to wydać dziwne jest zadłużenie Anglii wobec swoich kolonii i krajów zawisłych. Anglia jest winna Indiom przeszło milion funtów szterlingów, Egiptowi — około 500 milionów funtów szterlingów. Rząd angielski oświadcza tym krajom, że Anglia teraz nie może zapłacić, lecz w ciągu 10 lat pokryje sumę długu przez coroczną dostawę towarów. Wierzyciele Anglii zmuszeni są przyjmować angielskie towary i pozbawieni są możliwości zakupywania amerykańskich towarów nie posiadając dolarów na ich opłacenie.

Czwarta korzystna okoliczność, która teraz jeszcze nie odgrywa dużej roli, lecz za pięć lat da się mocno odczuć jest następująca: Anglia może i musi sprowadzać żywność i surowiec z innych krajów, podczas gdy Stany Zjednoczone nie mają potrzeby nabywania dużych ilości towarów za granicą, Stany Zjednoczone nie odczuwają braku żywności i surowca, tym bardziej że w latach wojny rozwinęli u siebie produkcję niektórych towarów, jakie sprowadzali przed wojną, a mianowicie produkcję kauczuku, oleju roślinnego, jedwabiu itd. Dlatego też bardzo trudno rozstrzygnąć, w jakiej postaci naturalnej mogą Stany Zjednoczone otrzymywać opłatę za swoje towary.

Jednak w rozwijającej się walce konkurencyjnej zasadnicza przewaga jest po stronie Stanów Zjednoczonych, ponieważ drogą eksportu kapitałów mogą one realizować eksport towarów, co praktykowane jest przez nie w szerokich rozmiarach. Jednym z kanałów takiego eksportu jest Państwowy Bank Eksportu i Importu, którego kapitał stały był w 1945 roku powiększony do sumy 3,5 miliarda dolarów. Bank ten udzielił już wielkich pożyczek Francji, Holandii, Belgii itd., za co wspomniane kraje zaczęły zakupywać w Stanach Zjednoczonych niezbędne im towary: żywność, surowiec, maszyny, lokomotywy, wagony itd. Oprócz tego, jak wiadomo, tworzy się Międzynarodowy Bank z kapitałem 9 miliardów do-

larów, z których 3 miliardy będą należały do kapitału amerykańskiego. Zadaniem tego Banku jest gwarantowanie pożyczek różnym państwom. Będzie to służyć jako drugi kanał dla eksportu kapitału amerykańskiego, a co za tym idzie również dla eksportu towarów Stanów Zjednoczonych na rynek światowy. Poza tym wielkie monopole amerykańskie będą bezpośrednio inwestować kapitał za granicą budując tam swoje przedsiębiorstwa.

Należy wziąć pod uwagę, że eksport towarów za pośrednictwem eksportu kapitału jest tylko chwilowym rozwiązaniem zagadnienia eksportu Stanów Zjednoczonych. Kapitał eksportowany w postaci towarów stopniowo ulega amortyzacji i rokrocznie należy za niego płacić procenty. Jeśli kapitał amerykański lokuje się w budowę fabryk w innych krajach, to zysk płynący z tych przedsiębiorstw otrzymają Stany Zjednoczone. Powstaje pytanie: w jakiej postaci naturalnej, w jakich towarach mogą Stany Zjednoczone zrekompensować sobie nie tylko koszty bieżącego eksportu, lecz otrzymywać także procenty i zyski z inwestycji zagranicznych? Trudności pogłębiają się jeszcze dlatego, że istniejące w Stanach Zjednoczonych wysokie taryfy celne bardzo utrudniają import. Każdy kapitalista amerykański stara się nie dopuścić do tego, aby na rynku wewnętrznym z jego towarami konkurowały jeszcze towary obce. Taka sytuacja, kiedy Stany Zjednoczone wywożą ogromną ilość towarów i mają aktywny bilans handlowy i płatniczy, nie może trwać bez końca. Kraj, który chce wywozić towary, musi zapewnić sobie zwrot kosztów eksportu w postaci wwozu towarów z innych krajów.

Oczywiście, że Stany Zjednoczone mogłyby otrzymywać złoto w zamian za swoje towary, lecz tylko trzy kraje ze wszystkich krajów kapitalistycznych — Południowo-Afrykański Związek, Australia i Kanada — wydobywają ilość złota wystarczającą dla zakupu amerykańskich towarów. Poszczególne zachodnio-europejskie kraje, jak Francja, Belgia, Holandia posiadają resztki przedwojennych zapasów złota. Lecz zapasy te już teraz topnieją w związku z zakupem niezbędnych towarów.

Ogólna wartość złota wydobywanego każdego roku w całym świecie kapitalistycznym nie przekracza miliarda dolarów rocznie. Jeśliby nawet cała ta suma bez reszty szła na zakup amerykańskich towarów, to i w tym wypadku nie rowiązałoby to kwestii opłaty tych towarów.

Jak widzimy więc, w ekonomicznej polityce Stanów Zjednoczonych istnieje wewnętrzna, głęboka sprzeczność.

***

Kwestia współzawodnictwa w dziedzinie eksportu na rynku światowym była zasadniczym przedmiotem pertraktacji, jakie odbyły się jesienią 1945 roku w sprawie udzielenia Anglii amerykańskiej pożyczki. Na początku Anglia zażądała udzielenia bezprocentowej pożyczki, motywując to znacznie większymi ofiarami, jakie w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi poniosła ona w tej wojnie. Anglicy powoływali się na to, że w ich kraju na stu mieszkańców przypada jeden zabity, w Stanach Zjednoczo-

nych natomiast jeden na 500 mieszkańców. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych zgodzili się na te argumenty, ale oświadczyli, że Kongres nie zaakceptowałby udzielenia Anglii bezprocentowej pożyczki.

W pertraktacjach tych Anglia groziła Ameryce, przede wszystkim tym, że nie będzie ratyfikować umowy o stworzeniu funduszu walutowego i międzynarodowego banku. Odmowa zaś Anglii przyłączenia się do funduszu walutowego oznaczałaby, że może ona obniżyć kurs angielskiego funta szterlinga i tym samym wzmocnić swoją zdolność konkurencyjną na rynku światowym (umowa w Bretton Woods, jak wiadomo, zabrania jakiemukolwiek krajowi samowolnego obniżania kursu swojej waluty więcej niż o 10% w stosunku do złota).

Po wtóre Anglia groziła, że zarówno ona jak i wszystkie kraje bloku szterlinga nie będą zakupywać amerykańskich towarów. Należy przy tym mieć na uwadze, że Stany Zjednoczone wielką część swoich towarów sprzedawały krajom należącym do Imperium Brytyjskiego. Do Anglii szło 16% amerykańskiego eksportu, a wraz z eksportem do innych części Imperium Brytyjskiego (z wyjątkiem Kanady i Irlandii) — 25%. Kanadę należy wyłączyć dlatego, że jest ona szczególnie blisko związaną ze Stanami Zjednoczonymi. Gdybyśmy jednak włączyli Kanadę, to na kraje Brytyjskiego Imperium przypadnie 41% przedwojennnego amerykańskiego eksportu. W dodatku Anglia sprowadzała ze Stanów Zjednoczonych daleko więcej towarów aniżeli sama wywoziła do Stanów Zjednoczonych. Np. w 1936 roku Anglia zakupiła w Stanach Zjednoczonych towarów za 87 milionów funtów szterlingów, a sprzedała Stanom Zjednoczonym tylko na sumę 28 milionów funtów szterlingów.

Anglia zakupuje w Stanach Zjednoczonych przeważnie takie towary, jakie może również nabyć w innych krajach, w tej liczbie i w krajach własnego Imperium: bawełnę, tytoń, pszenicę, kukurydzę oraz inne produkty rolne i surowce. Z tego wynika, że groźba bojkotu amerykańskich towarów ze strony Anglii jest dość poważna.

Oprócz tego angielski eksport do Stanów Zjednoczonych był zawsze mniejszy niż do dominiów. Np. w 1936 roku Stany Zjednoczone posiadające 130 mil. ludności zakupiły w Anglii towarów na sumę 28 mil. funtów szterlingów, a Australia — mająca 7 mil. ludności — zakupiła w Anglii towarów za 32 mil. funtów szterlingów, Południowa Afryka z dziesięciomillionową ludnością — za 37 mil. funtów szterlingów; kraje niewielkie pod względem swego zaludnienia zakupiły więcej towarów aniżeli Stany Zjednoczone.

Stany Zjednoczone postawiły przed Anglią bardzo poważne ekonomiczne żądania jako warunki dla udzielenia pożyczki. Nalegały one, aby zniesione zostały ulgowe taryfy, blok szterlinga i zażądały, aby część amerykańskiej pożyczki poszła na pokrycie długów Anglii wobec innych krajów. Sens tych żądań jest jasny; Stany Zjednoczone chciały zlikwidować te przywileje, jakie posiada Anglia na rynku światowym.

W końcu oba kraje poszły na kompromis: Anglia obiecała zmniejszyć ulgowe taryfy w rok po zawarciu umowy, znieść blok szterlinga, oddać w dolarach pewną (bardzo niewielką) część pożyczki Indiom i innym krajom, co pozwoli im zwiększyć zakupy amerykańskich towarów. Stany

Zjednoczone z kolei dały, zresztą dość mglistą, obietnicę obniżenia taryf celnych. Umowa zawiera punkt, zgodnie z którym Anglia nie będzie płacić procentów od pożyczki wtedy, gdy nie pozwoli jej na to płatniczy bilans roczny. W takim wypadku Anglia spłaci tylko przypadającą na dany rok zasadniczą sumę długu.

Wątpliwe jest jednak, czy Anglia w ogóle będzie płaciła procenty i spłacała zasadniczą sumę długów. Nie będzie ona miała takiego bilansu płatniczego, który by jej na to pozwolił.

Oto te olbrzymie zmiany, jakie na skutek wojny zaszły w ekonomicznej sytuacji Stanów Zjednoczonych i Anglii, a także, ta ogromna przewaga Stanów Zjednoczonych nad Anglią, która pod względem finansowym stała się zależna od Stanów Zjednoczonych. Anglia, która udzielała innym krajom pożyczek i dyktowała im swoje ekonomiczne warunki, obecnie sama zmuszona jest pójść na pewne ekonomiczne ustępstwa dla uzyskania pożyczki od Stanów Zjednoczonych.

***

Wojna wywołała zmiany nie tylko w ekonomicznej sytuacji Anglii i Stanów Zjednoczonych, lecz także w sytuacji politycznej i w stanie uzbrojenia tych krajów. Do wybuchu pierwszej wojny światowej Anglia trzymała się tej zasady, że musi ona posiadać flotę tak silną jak razem wzięte floty dwóch innych największych krajów. Już w 1920 — 21 roku Anglia zmuszona była pogodzić się z faktem, że Stany Zjednoczone się z nią zrównały. Po drugiej wojnie światowej flota wojenna Stanów Zjednoczonych równa jest wszystkim flotom świata kapitalistycznego, razem wziętym. Oprócz tego Stany Zjednoczone otrzymały podczas drugiej wojny światowej morskie bazy wojenne w angielskich koloniach w Ameryce, oraz bardzo wiele morskich i powietrznych baz wojskowych na Oceanie Spokojnym, nie tylko w byłych posiadłościach japońskich, lecz także francuskich (Nowa Kaledonia), australijskich (wyspy Admiralskie) itp. Przewaga Anglii pod względem morskich baz wojskowych znacznie się zmniejszyła Stany Zjednoczone mają też dużą przewagę w dziedzinie lotnictwa.

Osłabienia Angli spowodowanego przez wojnę nie należy jednak wyolbrzymiać, Anglii udało się nie tylko zachować decydującą część swojego imperium kolonialnego — wszystkie obszary otaczające Ocean Indyjski— lecz także rozszerzyć je. Anglia wzmocniła swoje pozycje w Afryce po wyparciu stamtąd Włoch; Anglia umocniła się na Bliskim Wschodzie kosztem Francji; spotęgowało się jej kolonialne panowanie w Afryce i na obszarach przylegających do Oceanu Indyjskiego.

Stany Zjednoczone usiłowały podczas wojny różnymi sposobami zwiększyć siły odśrodkowe wewnątrz Imperium Brytyjskiego, że wymienimy chociażby plan sojuszu Anglii z Ameryką, plan wspólnego rządzenia wszystkimi koloniami świata, plan wspólnej opieki nad koloniami azjatyckimi itd. Ówczesny premier Churchill odrzucił te pretensje, które wysuwała część amerykańskiej burżuazji. Na rocznym tradycyjnym obiedzie u lorda mera Londynu, 10 listopada 1942 roku, Churchill powiedział: „Pozwólcie

mi oświadczyć wyraźnie, jeśli gdziekolwiek były z tego powodu jakieś niejasności. Zamierzamy zachować to, co do nas należy. Nie po to zostałem premierem króla, by zlikwidować Brytyjskie Imperium"

Anglia bez wątpienia mobilizuje wszystkie swoje ekonomiczne i polityczne siły, aby znaleźć wyjście z ciężkiej sytuacji i zachować swoje imperium kolonialne.

Rozumie się samo przez się, że ostra ekonomiczna walka między Anglią i Stanami Zjednoczonymi o rynki zbytu i źródła surowca (ropa naftowa itd.) prowadzi również do zaostrzenia politycznych stosunków między tymi krajami. Anglo-amerykańska sprzeczność, jak wskazywał tow. Stalin jeszcze w 1928 roku, stała się podstawowym przeciwieństwem wewnątrz świata kapitalistycznego po pierwszej wojnie światowej. Kiedy Niemcy na nowo wysunęły się jako wielkie agresywne wojenne mocarstwo i stały się niebezpieczne nie tylko dla Anglii, lecz i dla Stanów Zjednoczonych, na pierwszy plan wysunęło się przeciwieństwo między agresywnymi i nieagresywnymi krajami, między krajami faszystowskimi i demokratycznymi. Obecnie po klęsce Niemiec hitlerowskich przeciwieństwo anglo-amerykańskie znów staje się decydujące w świecie kapitalistycznym. W 1928 roku Anglia ustępowała Stanom Zjednoczonym tylko pod względem ekonomicznym, zaś w dziedzinie uzbrojenia i polityki zagranicznej siły obydwu krajów były mniej więcej równe. Obecnie zaś w ogromnym stopniu wzrosła nie tylko ekonomiczna, lecz i militarna przewaga Stanów Zjednoczonych. Wzmogły się odśrodkowe tendencje wewnątrz Imperium Brytyjskiego. W rezultacie rozwoju wojennego przemysłu Stanów Zjednoczonych, ich armii i floty, siły Anglii i Stanów Zjednoczonych w wysokim stopniu nie są równe, tym bardziej, że Anglia zależna jest pod względem finansowym od Stanów Zjednoczonych.

**Eugeniusz Warga**

## Aleksander Hertz

# Kto rządzi Ameryką?

### KONSTYTUCJA A. D. 1787

17 września roku 1787 przedstawiciele dwunastu stanów (trzynasty — Rhode Island — nie był wtedy reprezentowany) po długich i gorących debatach uchwalili w Filadelfii akt Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Konstytucja ta stopniowo i nie bez sprzeciwów ratyfikowana przez wszystkie trzynaście pierwotnych stanów, obowiązuje z pewnymi późniejszymi uzupełnieniami (najważniejsze z nich to tzw. Bill of Rights) po dzień dzisiejszy.

W roku 1787 Stany Zjednoczone były krajem bardzo słabo zaludnionym, o strukturze gospodarczej przeważnie rolniczej, o zgoła nieskrystalizowanych stosunkach społecznych. Konstytucja była wtedy próbą bardzo śmiałą: z luźnego zespołu trzynastu państewek typu kolonialnego miała stworzyć jednolity naród, który by zachowując formę federacji osiągnął jednak zupełną spoistość państwową. Jak śmiała to była próba — o tym może świadczyć, że Alexis de Tocqueville w lat blisko sześćdziesiąt po naradach filadelfijskich mocno powątpiewał czy Unia północno-amerykańska potrafi się utrzymać.

A jednak utrzymała się, choć przeszła przez wielkie doświadczenie Wojny Domowej lat 1861 — 1866. Tylko że od roku 1787 zmieniło się w niej bardzo wiele. Terytorium jej rozciągnęło się od Atlantyku aż po Pacyfik i od Kanady aż po zatoki Meksykańską i Kalifornijską. A ludność zajmująca tę kolosalną przestrzeń, urosła do 140 milionów i stworzyła najpotężniejsze na świecie społeczeństwo industrialne o niezmiernie skomplikowanym układzie stosunków społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Ameryka roku 1946 jest bardzo daleka od Ameryki roku 1787. A przecież dokument, opracowany przed 160 laty przez „Ojców Konstytucji", nadal reguluje życie narodu amerykańskiego.

Społeczeństwo amerykańskie jest do tej Konstytucji ogromnie przywiązane, jest z niej dumne, widzi w niej najważniejszy symbol jedności narodu i jego wielkości. I przypisuje jej zalety, jakich nie mają posiadać konstytucje innych narodów. Główną zaś z tych zalet ma być elastyczność Konstytucji. W Ameryce stale się słyszy, że dzięki tej właściwości Konstytucja mogła przetrwać aż do naszych czasów, że ramy ustroju Stanów Zjednoczonych łatwo dają się przystosować do przemian, jakie niesie historia.

Nie brak jednak w Ameryce i głosów krytycznych, kwestionujących „elastyczność“ Konstytucji i podnoszących, że przestaje ona czynić zadość potrzebom czasów dzisiejszych. I głosy te w sytuacji, jaka wytworzyła się po śmierci prezydenta Roosevelta, znajdują uzasadnienie dla swej krytyki.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych czynność rządzenia opiera na równowadze trzech, w jakiejś mierze od siebie zależnych i wzajemnie kontrolujących się organów władzy: prezydent Kongresu i Sądu najwyższego. Warunkiem sprawnego funkcjonowania amerykańskiego aparatu państwowego jest, by między tymi trzema organami wytworzyło się jakieś modus vivendi, w którym każdy z nich, zachowując swą odrębność i swoistość swych kompetencji potrafiłby współdziałać z pozostałymi.

W praktyce osiągnięcie takiego modus vivendi zależy od okoliczności przez Konstytucję nie uwzględnionych. Nie mogła ich zresztą uwzględnić Albowiem decydują tu cechy osobowości prezydenta, jego stosunki polityczne, decyduje skład Kongresu i Sądu Najwyższego, decydują najrozmaitsze momenty związane z życiem narodu w danym okresie jego historii. I w dziejach narodu amerykańskiego takie modus vivendi nie często było osiągane. Niekiedy następowało ono, gdy słaby prezydent podporządkował się woli Kongresu czy jakichś czynników społecznych, mających przemożny wpływ na cały aparat państwowy, i — wbrew intencjom Konstytucji — stawał się ich narzędziem. Jako jaskrawy przykład może tu posłużyć prezydentura McKinleya czy w czasach późniejszych — Hardinga. Niekiedy mocny prezydent umiał po walce narzucić swą wolę Kongresowi, Sądowi Najwyższemu i różnym siłom zakulisowym. Tak było za drugiej i trzeciej kadencji Franklina D. Roosevelta. Ale też często bywało, że modus vivendi nie było osiągane. Czasy Teodora Roosevelta, Woodrow Wilsona, pierwsza kadencja Franklina Roosevelta — oto przykłady szczególnie dramatycznych tarć, zachodzących między Prezydentem a pozostałymi organami władzy.

Taki przez Konstytucję nieprzewidziany brak modus vivendi oznaczał, że naród amerykański stawał wobec poważnego kryzysu. W miarę jak komplikowało się życie Stanów Zjednoczonych, w miarę jak różnicowało się społeczeństwo, kryzysy takie były coraz częstsze i groźniejsze. Najgroźniej zaś przedstawiały się one, gdy kluczowe stanowisko w całym systemie rządzenia Ameryką — prezydentura, było powierzane ludziom miernym, nie rozumiejącym zagadnień chwili i niezdolnym do ich rozwiązywania. Dzięki zaś specyficznym warunkom amerykańskiego życia politycznego (znów nie przewidzianym przez Konstytucję) godność prezydenta

była bardzo rzadko powierzana ludziom na miarę Jefersona, Lincolna czy obu Rooseveltów, ale bardzo często — ludziom na miarę Trumana.

I po tych bardzo ogólnikowych uwagach możemy przejść do próby przedstawienia niezmiernie pogmatwanego obrazu rządów dzisiejszej Ameryki.

## II.

## PREZYDENT

Prezydent Stanów Zjednoczonych otrzymuje swą władzę drogą wybrania go w głosowaniu powszechnym obywateli. W praktyce decyduje tu większość bardzo niewielka. Przewaga zaledwie dwóch milionów głosów przesądziła w r. 1944 zwycięstwo Roosevelta nad Deweyem. Skomplikowany system obliczania wyników (według ilości „elektorów" w poszczególnych stanach) sprawiał, że prezydentami zostawali ludzie, którzy w głosowaniu powszechnym mieli mniejszość głosów. I nawet bardzo popularny Prezydent dochodzi do władzy mając przeciw sobie bardzo potężną opozycję.

Opozycja ta w momencie, gdy jej porażka została stwierdzona, niezwłocznie uznaje lojalnie prawomocność wyboru zwycięskiego kandydata. Niemniej jednak jest ona opozycją i nie przestaje nią być przez cały ciąg kadencji wybranego prezydenta. W takiej sytuacji ten ostatni swą siłę polityczną musi czerpać z oparcia, jakie mu daje jego własne stronnictwo. Zwycięstwo prezydenta w wyborach jest przede wszystkim zwycięstwem partii, która postawiła jego kandydaturę i ją przeforsowała. Jednym z najważniejszych, choć w Konstytucji nie przewidzianych atrybutów prezydenta Stanów Zjednoczonych, jest to, że jest on *faktycznym przywódcą* jednej z dwóch wielkich partii politycznych, na jakie rozpada się naród amrykański.

Prezydent ma tu trudne i odpowiedzialne zadanie. Amerykańska partia polityczna bardzo niewiele ma wspólnego z jej europejskimi odpowiednikami. Jest to wielka gromada ludzi, wyznających wszelkie odcienie filozofii politycznych, złączonych przede wszystkim faktem udziału w sprawowaniu władzy czy też walką o tę władzę. Momenty jakiejś wspólnej ideologii mają tu bardzo nieistotne znaczenie. Decyduje technika gry politycznej, decyduje udział (choćby w skromnym zakresie) w wielkim aparacie rządzenia stu czterdziestomilionową gromadą obywateli Unii.

Osoba Prezydenta jest jedną z najważniejszych więzi łączących członków partii od Oregonu aż po Florydę. Prezydent amerykański, który chce odpowiedzieć wymaganiom swego potężnego stanowiska, musi być rzeczywistym symbolem jedności swej partii, musi być, nade wszystko, jej faktycznym przywódcą. A to znów oznacza, że musi być mistrzem sztuki kierowania takim zespołem ludzkim. Franklin Delano Roosevelt był takim przywódcą i takim mistrzem. Zdawał on sobie doskonale sprawę z właściwości stronnictwa demokratycznego, z braku w nim więzi ideologicznych, z tradycyjnej korupcji, jaka się w jego szeregach zagnieździła, z różno-

rodności klasowych i regionalnych, jakie w nim istnieją. Swą postępową polityką wewnętrzną umiał Roosevelt zdobyć dla demokratów poparcie ruchu robotniczego. Swą polityką zagraniczną zjednywał sobie sympatie reakcyjnych demokratów południowych nienawidzących New Dealu ale równocześnie wrogich izolacjonizmowi. Mistrz strategii wewnętrznopartyjnej, niezrównany ekwilibrysta, zmarły Prezydent potrafił ze swego stronnictwa uczynić potężny instrument władzy, umiał osiągnąć rzecz niezwykłą — jakieś modus vivendi między różnymi grupami w samej partii demokratycznej.

Na konwencji demokratycznej w Chicago w r. 1944 było rzeczą z góry przesądzoną, że Roosevelt po raz czwarty będzie kandydatem swej partii. Kwestią było, kto obok niego ma się ubiegać o godność wiceprezydenta. A stanowisko to jest bardzo ważne z tego względu, że wiceprezydent w razie śmierci prezydenta eo ipso zostaje jego następcą. Latem roku 1944 nikt nie przypuszczał, że dni życia wielkiego Prezydenta są już policzone. Zdawano sobie jednak sprawę z jego kolosalnego przemęczenia i brano pod uwagę możliwość, że nie dożyje on do końca swego czterolecia. Wybór osoby wiceprezydenta był więc sprawą bardzo doniosłą.

Dotychczasowy wiceprezydent Henry A. Wallace miał za sobą mocne poparcie całego liberalnego (w Europie powiedziano by — „postępowego", nawet „radykalnego") skrzydła partii demokratycznej. Ale Wallace miał śmiertelnego wroga w konserwatywnym skrzydle parti, kierowanym przez delegatów z Południa. Walka zapowiadała się niezmiernie dramatycznie. Nie było to na rękę Rooseveltowi, który koniecznie chciał utrzymać jedność w stronnictwie demokratycznym. Gotów był więc poświęcić Wallace'a pod warunkiem wysunięcia kandydata, który by był do przyjęcia dla obu skrzydeł partii. Za taką kompromisową postać został uznany Senator Harry S. Truman.

Truman reprezentował w Senacie stan Missouri. W kołach liberalnych cieszył się on dobrą opinią. Stale głosował za postępowymi wnioskami a przeciwko reakcyjnym. Jako przewodniczący komisji do badania nadużyć w przemyśle wojennym zdobył sobie sławę człowieka uczciwego i pracowitego. Wiedziano, że jest ślepo oddany Rooseveltowi.

Z drugiej strony i południowcy nie mieli zastrzeżeń przeciwko Trumanowi. Ten łagodny, skromny prowincjał był przyjemny w obcowaniu, nie miał w sobie nic z bojowości Wallace'a, nikogo nie drażnił, umiał sobie zdobywać przyjaciół. W Senacie miał ich wielu wśród konserwatywnych południowych senatorów. A poza tym Missouri to już prawie Południe — to też południowców usposabiało przychylnie do Trumana.

Ceniono w nim i to, że jest człowiekiem miernym. Delegaci z Nowej Anglii, z Zachodu, z Południa i ze Środkowego Zachodu mieli tradycyjnie amerykańskie umiłowanie ludzi przeciętnych. Podziwiali Roosevelta, ale byli znużeni jego indywidualnością. Wojna się kończyła, po niej miał przyjść pokój i życie „normalne", tak drogie milionom Amerykanów.

W listopadzie roku 1944 naród amerykański powierzył Trumanowi godność wiceprezydenta Unii. Swe zwycięstwo zawdzięczał on „kompromisowi" chicagowskiemu i zwycięstwu Roosevelta w wyborach. Ci, którzy

głosowali na Roosevelta, automatycznie głosowali i na Trumana wiedząc tyle tylko, że Roosevelt bardzo życzliwie odniósł się do swego przyszłego wiceprezydenta.

Franklin Roosevelt zmarł w czwartym miesiącu swej kadencji. Truman został prezydentem Unii i przywódcą stronnictwa, które już trzynasty raz bez przerwy rządziło Ameryką. Na byłego senatora z Missouri spadły zadania większe od tych, jakie niegdyś stały przed Washingtonem i Jeffersonem, przed Lincolnem i Wilsonem, przed obu Rooseveltami. Miał nie tylko zakończyć wojnę, ale i stać się jednym z głównych budowniczych pokoju światowego, nowego porządku międzynarodowego, miał kierować Ameryką w szczególnie trudnym okresie jej historii.

W tym miejscu zróbmy małą dygresję — w kilku słowach opowiemy o początkach politycznej kariery Trumana. Są one bowiem doskonałą ilustracją tego, jak funkcjonuje polityczny mechanizm najpotężniejszego na świecie społeczeństwa industrialnego. Pierwsze kroki stawiał Truman oczywiście w swym ojczystym Missouri. Jest to stan rolniczo-przemysłowy, leżący na pograniczu Środkowego Zachodu i prymitywnego Południa, jeden z tych stanów, o których można by powiedzieć, że są bardzo prowincjonalne. W Missouri trudno wytworzyć sobie jakiś szerszy pogląd na współczesny świat, jakże skomplikowany i jakże obcy mentalności rubasznych obywateli miast i miasteczek, jakich jest bez liku w dolinach obu potężnych rzek — Missouri i Missisippi. Dla zrobienia kariery politycznej trzeba tu mieć liczne koło bliskich przyjaciół, z którymi grywa się w pokera, jeździ na wycieczki, żartuje i załatwia sprawy lokalnej polityki. Trzeba mieć ponadto poparcie miejscowej „maszyny" partyjnej, w zależności od warunków, demokratycznej lub republikańskiej. Truman miał wielu przyjaciół, a wśród nich był i miejscowy „boss" demokratyczny Pendergast (postać skądinąd bardzo nieciekawa!). Wszystko to razem wprowadziło Trumana najpierw do Legislatywy stanowej a później do Senatu Stanów Zjednoczonych. Z takim politycznym przygotowaniem Truman po śmierć Roosevelta stał się gospodarzem Białego Domu.

Postarajmy się teraz w formie jak najbardziej sumarycznej zestawić dotychczasowe wyniki działalności Prezydenta Harry S. Trumana. Wyroki historii sprawiły, że w działalności tej sprawy zagranicznej polityki Stanów Zjednoczonych muszą zająć miejsce nadzwyczaj ważne.

A trzeba pamiętać, że w tradycjach Białego Domu, a i całego amerykańskiego aparatu państwowego, nie mieści się głębokie zainteresowanie dla problemów polityki zagranicznej. Prezydent Roosevelt był drugim po Jefersonie prezydentem Stanów Zjednoczonych, który nie tylko posiadał rzeczywistą znajomość wielkich problemów światowych, ale i potrafił stworzyć rozległą wizję udziału Ameryki w życiu międzynarodowym. Nie można tego powiedzieć nawet o Monroe, nawet o Lincolnie, nawet o Teodorze Roosevelcie, ba nawet o Wilsonie. A cóż dopiero mówić o masach narodu amerykańskiego? Ameryka dopiero teraz, powoli i bardzo nieśmiało zaczyna się otrząsać z drzemki izolacjonizmu. I niech nikt nie mówi, że izolacjonizm jest do końca zapisaną kartą jej dziejów! Zwłaszcza dziś, gdy trudności, na jakie natrafia amerykańska polityka zagraniczna, wpły-

wają na mocne odrodzenie się na Środkowym Zachodzie starych tęsknot i filozofii izolacjonistycznych. A i poza Środkowym Zachodem lata udziału Ameryki w drugiej wojnie światowej nie pogłębiły zbytnio w masach narodu zainteresowania dla spraw pozaamerykańskich. Przecież w obu izbach Kongresu na palcach jednej ręki można by policzyć ludzi, którzy naprawdę coś wiedzą o krajach po drugiej stronie Atlantyku czy Pacyfiku i o ich problemach. Nie zapominajmy, że dla Wendella Willkie podróż, jaką w czasie wojny odbył po Europie i Azji, była czymś wstrząsająco rewelacyjnym: przekonał się bowiem, że w Europie i Azji są ludzie niezbyt różni od Amerykanów. A Wendell Willkie — jakże typowy Amerykanin z Środkowego Zachodu — z pewnością nie był postacią tuzinkową.

Jeszcze teraz wydarzenia na scenie międzynarodowej odbijają się w świadomości społeczeństwa amerykańskiego niewspółmiernie (jeżeli użyjemy miar europejskich) słabiej niż wszystko to, co odnosi się do spraw wewnętrznych. Oto przykład: senator Claude Pepper, bojowo postępowy przedstawiciel Florydy, bardzo mocno zaatakował politykę Sekretarza Stanu Byrnesa. Pepper w swym stanie ma przeciwko sobie poważną opozycję żywiołów skrajnie konserwatywnych. Na pewno też nie jest ona usposobiona prosowiecko. Ale ani jednym słowem nie zaczepia ona wystąpień Peppera w zakresie polityki zagranicznej. Senator z Florydy jest napastowany za swe stanowisko w sprawie kontroli cen, za współdziałanie ze związkami zawodowymi, za walkę przeciw monopolom wielkich kapitałów itd. Te bowiem są rzeczy naprawdę ważne dla obywateli pięknej Florydy...

Niemniej jednak przeświadczenie, że sprawy międzynarodowe mają jakiś wpływ na sprawy amerykańskie i że trzeba się z nimi liczyć poważnie, zaczyna powoli przenikać do świadomości mas narodu Stanów Zjednoczonych. Czasami wyraża się to w nawrocie do izolacjonizmu, czasami w dążeniu do aktywnego udziału w życiu światowym. Ale jakoś zaczyna się to wyrażać i jakąś rolę zaczyna odgrywać. Chcąc czy nie chcąc naród amerykański musi się tymi sprawami interesować, a w każdym razie musi się nimi interesować jego Prezydent.

Jeżeli pominiemy epizod kariery wojskowej Trumana w czasie pierwszej wojny, to możemy powiedzieć, że wycieczka do Poczdamu była pierwszym w jego życiu wyjazdem z Ameryki. W Poczdamie zamiast swych jowialnych przyjaciół z Missouri czy z Senatu, spotkał Józefa Stalina i Winstona Churchilla. O osobach tych mężów, o ich polityce, o narodach, które oni reprezentowali, miał pojęcie bardzo mętne. Ale też miał grunt przygotowany przez swego Wielkiego Poprzednika. Z Trumanem rozmawiano tu jako z następcą Roosevelta. Wiedział on o tym dobrze i nie wstydził się tego. Na plus Trumanowi trzeba zapisać, że jest naprawdę człowiekiem skromnym, że ma świadomość swej niewiedzy, że — szczególnie w polityce zagranicznej — boi się ciężaru obowiązków, jakie nań spadły. I niewątpliwie jest on szczery, gdy mówi, że i tu, jak w każdej innej dziedzinie, chce się trzymać tej linii, jaką wyznaczył Franklin Delano Roosevelt.

Ale z doświadczeń historii wiemy, że same „testamenty“ nie wystarczają. Potrzebni są ich wykonawcy, którzy z ich wskazań potrafią wyciągnąć odpowiednie wnioski praktyczne. Z testamentem czy bez testamentu Roosevelta Truman czuje się bezradny i bezsilny, gdy wypada mu decydować o amerykańskiej polityce zagranicznej. I dlatego całkowicie zdaje się tu na swych doradców.

Zgodnie z Konstytucją, doradcami Prezydenta są członkowie jego gabinetu (sekretarze — stopień odpowiadający ministrom w innych krajach). Bardzo jednak często Prezydent tworzy sobie zespół najbliższych, osobistych doradców, niekoniecznie składający się z członków jego gabinetu. Roosevelt umiał dobierać sobie współpracowników, zarówno gdy chodziło o jego sekretarzy, jak i osobistości pozagabinetowe. Niewątpliwie w doborze jednych i drugich kierował się on względami oportunizmu i gry politycznej. Był realistą i znał Amerykę, wiedział, że bez kompromisów, bez balansowania i dbania o „równowagę“ niewiele zdziała. W każdym jednak razie umiał skupić przy sobie zespół ludzi (w ciągu lat dwunastu zachodziły tu duże zmiany), którzy reprezentowali wysoką jakość myśli i charakteru. Zmarły Prezydent umiał swych doradców należycie wykorzystywać, liczył się z ich zdaniem, choć nigdy się mu nie podporządowywał.

Światu, do którego należy Truman i jego przyjaciele, obcy jest świat dawnych doradców Roosevelta, ludzi tego kalibru co Wallace, Ickes czy Morgenthau. Nowy Prezydent nad nich przekłada swych ziomków i starych przyjaciół z Missouri, w rodzaju obecnego sekretarza skarbu Snydera. Jeden też za drugim odchodzili z gabinetu Trumana dawni współpracownicy i przyjaciele Roosevelta — przede wszystkim liberałowie. Ickes i Morgenthau są dziś w obrębie Partii Demokratycznej przywódcami opozycji antytrumanowskiej. Do głosu doszli ludzie w rodzaju Snydera, Byrnesa, Allena czy Clarka. W dziedzinie polityki zagranicznej doradcą, ba— nawet mentorem, Prezydenta stał się Arthur H. Vandenberg, republikański senator z Michigan.

Roosevelt, nawet wtedy gdy jego skretarzem Stanu był Cordell Hull, sobie i tylko sobie zastrzegał decyzje w sprawach zasadniczych dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Truman tych spraw nie rozumie i boi się ich. Jest zresztą zbyt zainteresowany zagadnieniami polityki wewnętrznej, by chciał i mógł się angażować w dziedzinach tak mu dalekich i obcych. Jego doświadczenie typowego amerykańskiego polityka nauczyło go reguł strategii balansu i równowagi sił. W najważniejszych dla niego sprawach wewnętrznych ma dość kłopotów z Kongresem. Nie chce ich mieć w sprawach polityki zagranicznej. I dlatego przekazał je Vandenbergowi, osobistości w Senacie bardzo potężnej i to nie tylko wśród republikanów.

Wytworzyła się więc sytuacja fantastyczna. Zagraniczną politykę demokratycznego Prezydenta prowadzi republikanin, i to republikanin, który jeszcze niedawno był czołowym izolacjonistą! Internacjonalizm Vandenberga jest bardzo świeżej daty. Nigdy cienia przyjaźni nie było między Rooseveltem a senatorem z Michigan. Truman zdając się na Vandenberga jest dziwnym zaiste wykonawcą testamentu Wielkiego Prezydenta!

Ale za Vandenbergiem stoją nie tylko reakcyjne kliki Kongresu. Stoją za nim także bardzo potężne, w sprawach amerykańskiej polityki zagranicznej żywo zainteresowane, koła wielkich interesów. Łączą też Vandenberga bardzo bliskie stosunki z tymi grupami wyższych oficerów armii i floty, których głos coraz uważniej zaczyna być słuchany w różnych biurach Departamentu Stanu i w pewnych kołach Kongresu. Ale to już inny aspekt zagadnienia dzisiejszej polityki Stanów Zjednoczonych i tu nim się zajmować nie będziemy.

Nie wierzę w to, aby Truman nie chciał porozumienia ze Związkiem Radzieckim. Jestem głęboko przekonany, że Prezydent Stanów Zjednoczonych pragnie pokoju, harmonijnej współpracy międzynarodowej i „nowego pięknego świata". Jest jednak bezradny, gdy tym bardzo mgławicowym pragnieniom ma nadawać konkretną postać praktycznego działania. Vandenbergi i Byrnesy imponują mu, lubi ich zresztą, dobrze się czuje w ich towarzystwie. Nie orientuje się w tym, że w gruncie rzeczy żaden z nich nie o wiele lepiej od niego orientuje się w trudnych zagadnieniach współczesnego życia międzynarodowego. Ale Vandenberg ma przynajmniej jakąś koncepcje, którą Prezydent rozumie i z braku własnej przyjmuje za swoją. A do tego współpraca z republikańskim senatorem przynajmniej na odcinku polityki zagranicznej uwalnia go od kłopotów z Kongresem. Jak to już nieraz bywało w historii Stanów Zjednoczonych, sprawy zagraniczne zostały przez Trumana podporządkowane racjom strategii na odcinku polityki wewnętrznej. I nic dziwnego, że największy amerykański pisarz polityczny Walter Lippmann z taką pasją i rozpaczą krytykuje tę linię polityczną, jaką na forum międzynarodowym przyjął po śmierci Roosevelta rzad Stanów Zjednoczonych. Dziś jednak do przeszłości należą te czasy, gdy każde zdanie Lippmanna było pilnie czytane i rozważane w Białym Domu, w Departamencie Stanu, ba nawet niekiedy i w Kongresie.

Zdawszy na Vanderberga i Byrnesa troskę o sprawy zagraniczne Truman całkowicie mógł się poświęcić najważniejszemu dla siebie działowi — polityce wewnętrznej. O sprawach tych nie można powiedzieć, by były mu obce. Przeciwnie — zajmował się nimi od tylu lat, często z bardzo dużym powodzeniem. Ale tu właśnie Prezydent idzie od porażki do porażki, tu jest przedmiotem najostrzejszych ataków ze wszystkich stron, tu nie zdołał stworzyć modus vivendi z Kogresem. Amerykańska scena polityczna jest pod znakiem zaostrzającego się konfliktu między Prezydentem i Izbami.

Dla wyjaśnienia tej sytuacji konieczne jest pewne tło ogólniejsze. Od wielu lat Ameryka znajduje się — użyjmy tu popularnego określenia — na skrzyżowaniu swych dróg. Stoi przed nią wielki dylemat: czy pozostanie (bodaj jedynym na świecie) krajem tradycyjnej gospodarki wielkokapitalistycznej z jej systemem wolnej konkurencji i inicjatywy prywatnej, czy też miejsce amerykańskiego free enterprise system zajmie gospodarka planowa, kontrolowana przez państwo, mająca jako swój wyłączny cel zaspokajanie potrzeb mas ludzkich. Umyślnie drugą alternatywę podaję w formie tak ogólnikowej. W Ameryce trudno jest mówić

o socjalizmie takim, jak jest on rozumiany na wschodniej półkuli naszego globu. W każdym razie istotą kryzysu cywilizacji amerykańskiej jest przeciwstawianie się tych dwóch zasadniczych tendencji — tradycyjnej filozofii gospodarczej i nowatorskiego planowania w skali ogólnonarodowej.

Ameryka, kraj fantastycznej techniki, kraj fantastycznie rozwiniętej organizacji przemysłowej, wciąż żyje filozofią gospodarczą początków wieku XIX i to filozofią, której życie na każdym kroku zaprzecza. Superkapitalizm amerykański zawiera w sobie elementy, które w świetle doświadczeń europejskich wyglądają archaicznie i które nawet w Ameryce stały się anachronizmami. Od czasu do czasu jakieś wydarzenie, w rodzaju niedawnego strajku kolejarzy, odsłania zdumionej publiczności prawdę o tym, że stosunki w pewnych działach amerykańskiego aparatu gospodarczego są o wiele bliższe Anglii czasów Dickensa niż Ameryki ery atomowej.

Modernizacja kapitalizmu amerykańskiego była zasadniczym celem New Dealu Franklina Roosevelta. Zmarły Prezydent rozumiał, że nie uratuje się amerykańskiego systemu gospodarczego, jeżeli nie wprowadzi się doń nowych treści, jeżeli nie zwiąże się go z postępową polityką społeczną. Dokoła New Dealu Roosevelt skupił wszystkie liberalne i postępowe siły Ameryki, a przede wszystkim świat zorganizowanej pracy. Wytworzył się sojusz między partią demokratyczną a ruchem robotniczym. Sidney Hillman stał się człowiekiem zaufania Białego Domu. Partia Demokratyczna, jeszcze do niedawna konserwatywna, przetworzyła się w przeważnej części kraju w partię ludową, stającą w obronie interesów małego człowieka. Głosy robotnicze decydowały o wyborczych zwycięstwach Roosevelta. Do Partii Demokratycznej wstąpił lub zbliżył się szereg postępowców spośród republikanów, że wymienię tu tylko wiekiego starca George'a Norrisa czy Ickesa, Henry Wallace'a lub La Guardię. Osłabiło to bardzo liberalne skrzydło Partii Republikańskiej, ale administracji rooseltowskiej dało wiele pierwszorzędnych postaci.

Nie oznaczało to przecież, by wrogowie New Dealu skapitulowali. I nie oznaczało również, by w samej Partii Demokratycznej zniknęły elementy reakcyjne, skrajnie konserwatywne. Stany południowe, ów Solid South, tradycyjna twierdza najgorszej reakcji, nadal były jednolicie demokratyczne. A i poza Południem utrzymały się ośrodki konserwatywne, a obok nich skorumpowane „maszyny" partyjne, jedna z największych plag zarówno demokratów jak i republikanów. Roosevelt nieraz musiał wchodzić w kompromisy i z prawym skrzydłem swej partii, i z owymi „maszynami". Ale wielki majster gry politycznej umiał lawirować, dawał sobie radę z oponentami we własnej partii, zwłaszcza że potrafił stworzyć sobie potężne oparcie w grupach postępowych i w świecie pracy.

Truman zawiódł tu całkowicie i jako Prezydent Stanów Zjednoczonych, i jako szef Partii Demokratycznej. Niewątpliwie sytuacja jego jest wyjątkowo trudna. Nie ma ani uzdolnień Roosevelta, ani jego autorytetu. Koniec wojny ogromnie zaostrzył konflikty społeczne, stworzył nowe i bardzo trudne problemy. Wrogowie New Dealu, których Roosevelt umiał trzy-

mać w szachu, teraz poczuli, że przyszła chwila ich odwetu. Ameryka jest zmęczona i wojną, i wielkością rządów rooseveltowskich. Miliony Amerykanów marzą o szybkim powrocie do tego, co nazywają „czasami normalnymi", i gniewają się, że ten powrót idzie tak opornie. To wszystko stwarza doskonały grunt dla konsolidowania się sił reakcyjnych w całej Ameryce — wśród demokratów i poza nimi.

Stan rzeczy, jaki się wytwarza, przekracza możliwości Trumana. Bez wątpienia zajmuje on w tym wszystkim jakieś stanowisko, ma jakiś program, broni jakiejś filozofii społecznej. Wiemy, że jako Senator był gorącym zwolennikiem New Dealu. A i dziś nie ulega wątpliwości, że nie jest on reakcjonistą, przynajmniej w tym sensie, w jakim termin ten jest rozumiany w Ameryce. Truman jest szczery, gdy nazywa siebie przyjacielem ruchu robotniczego. Zawetował reakcyjny Bill Case'a, skierowany przeciw związkom zawodowym, rozpaczliwie bronił kontroli cen, polityki pełnego zatrudnienia, zwalczał dyskryminacje w stosunku do Murzynów, przeciwstawiał się trustom i monopolom wielkokapitalistycznym. Jest człowiekiem dobrych intencji. Chce, by robotnikom dobrze się działo, by byli zorganizowani, by mieli wolność strajkowania (oczywiście jeżeli zawiodą drogi mediacji), chce, by w kraju panował dobrobyt, by nikomu nie działa się krzywda. W swych wystąpieniach programowych rzeczywiście stara się on iść drogą Roosevelta. Tragedia polega na tym, że nie jest Rooseveltem i że znalazł się wobec sytuacji rzeczywiście nieprawdopodobnie trudnej.

Przede wszystkim ma przeciwko sobie Kongres. Truman, dawny senator, zaprawiony w grach i rozgrywkach amerykańskiego przedstawicielstwa narodowego, fatalnie zdaje egzamin w swych stosunkach z Kongresem. I oto nie doszło do modus vivendi między słabym Prezydentem i Kongresem, który powszechnie jest uważany za jeden z najgorszych w historii Stanów Zjednoczonych.

O Kongresie szczegółowiej pomówimy nieco później. Tu jednak zaznaczymy, że to zbiorowisko zawodowych polityków bardzo się różni od europejskich ciał parlamentarnych. Demokratyczna większość obu izb i ich republikańska mniejszość to istna mozaika wszelkich filozofii politycznych, haseł i programów. Z gruba jednak można ustalić, że wyznawcy filozofii konserwatywnych mają znaczną ilościową przewagę nad wyznawcami filozofii postępowych. W Partii Republikańskiej jest ona bez porównania większa niż w Partii Demokratycznej; w Senacie (w odniesieniu do obu partii) mniejsza niż w Izbie Reprezentantów. Obraz mącą bardzo specyficznie amerykańskie kombinacje, które sprawiają, że postępowcy w pewnych materiach są konserwatystami w innych. Nadto stanowisko w sprawach wewnętrznych nie musi się pokrywać ze stanowiskiem w sprawach zagranicznych; wielu skrajnych izolacjonistów jest obrońcami postępowej polityki społecznej i — odwrotnie — wśród skrajnych konserwatystów nie brakło gorących zwolenników zagranicznej polityki Roosevelta.

Franklin Roosevelt nieraz miewał ciężkie chwile w swych stosunkach z Kongresem, a nawet z jego demokratyczną większością. Posiadał jednak kolosalny autorytet i zupełnie wyjątkową umiejętność manewrowania skomplikowaną machiną amerykańskiego życia politycznego. W Partii

Demokratycznej słuchali się go nie tylko radykałowie, Claude Pepper z Florydy czy James E. Murray z Montany, ale i najczarniejszy z reakcjonistów senator Theodore Bilbo z Mississipi. Zmarły Prezydent osiągnął rzecz nieczęstą w dziejach amerykańskiego życia politycznego: pod jego kierownictwem Partia Demokratyczna stała się zespołem wcale zwartym na ogół (poza pewnymi odchyleniami) występującym jednolicie.

Dziś demokraci są w stanie kompletnego rozbicia. Jeżeli chodzi o Kongres, to tu górę wśród nich wzięły żywioły skrajnie reakcyjne, prowadzone przez blok południowy. Prawie we wszystkich sprawach żywioły te z łatwością znajdują wspólny język z republikanami, gdzie grupa liberałów w rodzaju senatorów Aikena z Vermontu, Morse'a z Oregonu i La Follette'a z Wisconsin stanowi bardzo słabą mniejszość. W ten sposób w obu izbach powstała nowa większość, obejmująca reakcyjne większości obu partii politycznych. Przeciwko tej większości stoi nowa mniejszość, złożona z mniejszości demokratycznej i (bardzo słabej) republikańskiej. Celem większości jest zniszczyć następstwa epoki New Dealu, definitywnie rozprawić się z ruchem robotniczym, powrócić do dawnych dobrych czasów „normalnej" gospodarki amerykańskiej. Jest to osobliwa koalicja, w której na pół feudalni plantatorzy z Południa maszerują w jednym szeregu z kapitalistycznymi rekinami Środkowego Zachodu. Łączy teraz tych dawnych przeciwników jedynie strach przed ruchem robotniczym, przed perspektywą dalszych reform społecznych i ekonomicznych.

Truman wśród członków tej koalicji ma wielu przyjaciół osobistych. I niekiedy — głównie w polityce zagranicznej — im ulega. Ale w żadnym razie filozofii Prezydenta nie można utożsamiać z ideałami bloku konserwatywnego. Nawet najbardziej namiętni krytycy Trumana z obozu liberalnego nie uważają go ani za południowego „Bourbona", ani za wielbiciela doktryn panów Tafta i Hoovera. Prezydent jest też bardzo niezadowolony z sytuacji, jaka wytworzyła się w Kongresie i często daje temu wyraz. Jednakże większość Kongresu jest głucha na zaklęcia Prezydenta i nie szczędzi mu bolesnych upokorzeń. Zalecenia Trumana są lekceważone, popierane przez niego projekty — odrzucane. Prawda, że Prezydent Stanów Zjednoczonych rozporządza silną bronią — prawem veto. Bronią tą posługiwali się nieraz i poprzednicy Trumana, wśród nich i Roosevelt. W tej chwili reakcyjna większość w izbach nie jest na tyle silna, by mogła odrzucać veta Prezydenta. Ale w listopadzie będą nowe wybory i — jak się to przewiduje — mogą one przynieść wzmocnienie się reakcji. I wtedy sytuacja Trumana może się stać naprawdę rozpaczliwa.

Ale Prezydent nie ma autorytetu i wśród liberalnej mniejszości obecnego Kongresu, nie ma go — co ważniejsze — w szerokich masach społecznych, które tak gorąco odpowiedziały na hasła New Dealu. Co gorzej, Truman doprowadził do tego, że siły liberalne — ongiś baza, na której Roosevelt opierał swą politykę — odsunęły się od niego. A było to następstwem zachowania się Trumana w czasie strajku kolejowego.

Zakończenie wojny światowej przyniosło Ameryce fale strajków Można by o tych strajkach napisać całe wielkie studium. Tu jednak nie wdając się w analizę tych spraw powiemy, że jedną z ważnych przyczyn

ruchu strajkowego była nieudolność Kongresu w opanowaniu postępów inflacji. Co więcej, Kongres, wbrew kategorycznym przedstawieniom Trumana, przez likwidację kontroli cen, świadomie idzie po drodze polityki inflacyjnej.

Ustawodawstwo amerykańskie daje prezydentowi dużo możliwości w zakresie akcji mediacyjnej w wielkich konfliktach między kapitałem a pracą. Wiele tu zależy od tego, jak prezydent użyje swego osobistego wpływu na obie strony. I trzeba przyznać, że Truman stosunkowo rzetelnie wywiązał się ze swego zadania w czasie wielkich strajków w przemysłach automobilowym i stalowym. Zupełnie się jednak załamał, gdy doszło do strajku kolejowego. Niewątpliwie strajk taki stwarzał sytuację wyjątkowo krytyczną. Ale mógł on być dość łatwo zażegnany, zwłaszcza że związki kolejarzy (bardzo konserwatywne) gotowe były do ustępstw, a żądania ich odnosiły się do spraw bardzo elementarnych i zdawałoby się bezspornych. Wystarczyłby ze strony Prezydenta jakiś nacisk na magnatów kolejowych, aby spór został przyzwoicie rozstrzygnięty. Niestety Truman kompletnie stracił głowę. Widział jedynie strajk paraliżujący życie całego kraju, prowadzący do anarchii i głodu. W stanie zupełnej paniki dał posłuch radom swych usłużnych przyjaciół, a przede wszystkim — Snyderowi, który ostatnio stał się głównym mentorem Prezydenta Stanów Zjednoczonych. New Dealer Truman inspirowany przez byłego małego bankiera z St. Louis, ograniczonego konserwatystę Snydera! Ale obaj są z Missouri, a Ameryka, wbrew temu co się zwykło myśleć w Europie, jest krajem regionalizmów, patriotyzmów stanowych i wszelkiego prowincjonalizmu. Poza tym Snyder był podkomendnym Trumana, gdy ten jako kapitan w czasie pierwszej wojny światowej dowodził baterią. Wtedy zaczęła się ich przyjaźń.

Prezydent, zagrzany przez swych przyjaciół, pośpieszył do Kongresu, gdzie wygłosił histeryczne przemówienie domagające się ostrych zarządzeń przeciw strajkującym. A działo się to w momencie, gdy związki kolejarzy postanowiły przerwać strajk! Izba Reprezentantów nareszcie była zachwycona Prezydentem. W histerycznym nastroju prawie jednogłośnie uchwaliła to, o co ją Truman poprosił.

Ale Trumana czekała nowa porażka. Albowiem projekty jego wzbudziły niepokój w Senacie. Nawet dla obecnego Senatu było to za wiele. To dostojne grono składa się z polityków bardziej rozważnych i mniej skłonnych do histerii. Postępowcy obu partii kategorycznym „Nie“ odpowiedzieli na propozycje Prezydenta. Znaleźli oni przy tym osobliwych sojuszników w postaci bardziej rozważnych konserwatystów, których zaniepokoił punkt projektu, przewidujący przejmowanie przez rząd przedsiębiorstw objętych strajkiem. Oczywiście tylko na czas trwania konfliktu. Senator Taft z Ohio, wódz konserwatywnych republikanów, jest konsekwentnym wrogiem wszelkiej interwencji rządowej w sprawy przemysłu. Może się bowiem zdarzyć, że przy takim „przejęciu“ urzędnicy federalni nieostrożnie zajrzą do ksiąg handlowych przejmowanego giganta! I oto dziwaczna koalicja od Peppera i Morse‘a aż po Tafta gruntownie okastrowała propozycje Trumana, który jednocześnie miał przeciw sobie jednolity front związków zawodowych i liberałów w całym kraju.

Jakże więc wygląda obecna sytuacja prezydenta Trumana? W polityce zagranicznej zdał się on całkowicie na Vandenberga i Byrnesa. W polityce wewnętrznej załamuje się, ulega radom Snyderów i innych „przyjaciół". Nie potrafił osiągnąć modus vivendi z Kongresem. Jako przywódca Partii Demokratycznej dopuścił do sytuacji, w której prawe skrzydło demokratów idzie razem z republikanami a lewe ostro krytykuje swego szefa, symbol jedności partyjnej — prezydenta Harry S. Trumana. Wielkie osiągnięcie Roosevelta — sojusz Demokratów i związków zawodowych — jest dziś pod znakiem zapytania. A ostatnie badania opinii publicznej mówią o katastrofalnym wprost spadku sympatii dla Prezydenta w masach narodu amerykańskiego. I tylko lęk przed możliwością zwycięstwa w roku 1948 reakcyjnego kandydata republikańskiego sprawia, że liberałowie odrzucają koncepcję zorganizowania trzeciej amerykańskiej partii politycznej.

Franklin D. Roosevelt niewątpliwie rządził Stanami Zjednoczonymi. Rządził nimi, choć miał przeciw sobie silną opozycję republikańską. Rządził nimi i wtedy, gdy miał przeciw sobie Sąd Najwyższy i gdy musiał się ścierać z Kongresem. Czy o obecnym Prezydencie Stanów Zjednoczonych da się powiedzieć, że naprawdę rządzi on stu czterdziestomilionowym narodem amerykańskim? Konstytucja dała mu ogromne uprawnienia — w jego osobie skoncentrowała ona całą władzę wykonawczą narodu. Żaden współczesny prezydent amerykański nie zdołałby sprostać takiemu zadaniu. Funkcje państwa dzisiejszego są nieskończenie bardziej skomplikowane, rozległe i różnorodne niż te, jakie były w epoce Washingtona i Jeffersona. Roosevelt, który o tym dobrze wiedział, starał się przynajmniej harmonizować kółka i tryby niezmiernie złożonego mechanizmu rządzenia Ameryką. Dla siebie rezerwował jedynie ustalanie zasadniczych wytycznych, rozwiązywanie najważniejszych zagadnień. I w tym liczył tylko na siebie, na swój geniusz uogólniania i na swą wizję. Truman, bezspornie człowiek najlepszych chęci, jest tylko początkującym uczniem, który w wyniku bardzo specyficznych warunków amerykańskiego życia politycznego ma sobie powierzone operowanie niezmiernie skomplikowaną i delikatną maszyną. Czyż można się dziwić, że nie on nad nią, ale ona nad nim panuje? A że maszyna ta wymaga umiejętnego kierownictwa, przeto idzie źle, zacina się i psuje

## III

## KONGRES

Obecny Kongres Stanów Zjednoczonych nie cieszy się dobrą opinią. I to nie tylko w bardziej liberalnych kołach społeczeństwa amerykańskiego. Ale — z nielicznymi wyjątkami — nienajlepszą opinią cieszyły się i Kongresy poprzednie. Od dawna mówi się, że poziom debat w Senacie, a jeszcze bardziej w Izbie Reprezentantów, jest przygnębiająco niski. Żadna z izb nie funkcjonuje sprawnie. Nie jest rzadkością, że obrady na plenum

Senatu odbywają się w obecności pięciu senatorów (Senat składa się z 96 senatorów). Projekty ważnych ustaw zalegają całymi latami. Lepiej wygląda praca w komisjach, ale osobliwe przepisy regulaminowe i tu stwarzają ogromne przeszkody. A jednocześnie senatorowie i kongresmani są przeciążeni pracą, przy czym bardzo w tym ważną rolę odgrywają czynności tylko ubocznie związane z właściwą pracą ustawodawczą. Dodajmy, że przy małej ilości senatorów, przy ogromie zadań Senatu — co między innymi wyraża się w dużej ilości komisji senackich — każdy senator jest ex officio powoływany do wykonywania tylu czynności, że absolutnie nie może im podołać.

Od wielu lat mówi się o konieczności usprawnienia prac Kongresu, o potrzebie nowego regulaminu, który by zerwał z archaicznymi metodami. Zajmują się tym specjalne komisje (w Senacie pod przewodnictwem La Follette'a, w Izbie — Monroneya, demokraty z Oklahomy), ale jest rzeczą wysoce wątpliwą, czy potrafią one usunąć istotne przyczyny złego funkcjonowania amerykańskich ciał ustawodawczych. Albowiem przyczyny te przede wszystkim mieszczą się w tym systemie stosunków politycznych, jaki od lat ukształtował się na ziemi Washingtona.

Nie jest rzeczą łatwą wyjaśnić rzeczy te Europejczykowi, który przywykł myśleć kategoriami stosunków i instytucji znanych mu z doświadczeń europejskich. Ameryka jest bardzo różna od Europy i, aby ją zrozumieć, trzeba oderwać się od tych wzorów, jakich dostarcza nam historia starego świata.

Kongres Stanów Zjednoczonych jest reprezentacją dwupartyjną. Prawda że w niektórych stanach istnieją tak zwane „trzecie" i nawet „czwarte" partie (np. w stanie New York — American Labor Party i Liberal Party), ale są one zjawiskami lokalnymi i nie zmieniają dwupartyjnego oblicza narodu amerykańskiego. Przeciętnie rzecz biorąc Amerykanin jest albo demokratą, albo republikaninem. Ale przynależność do którejś z tych partii nie oznacza podpisania się pod jakimś określonym, ściśle sprecyzowanym i jednoznacznym credo ideologicznym. Amerykańska partia polityczna, inaczej niż europejska, nie jest zespołem ludzi związanych jakąś wspólną filozofią, ideologią, określonym systemem ideałów i dążeń politycznych, ekonomicznych, religijnych czy moralnych. A jednocześnie byłoby dużym błędem powiedzieć, że momenty ideologiczne nie istnieją i nie odgrywają poważnej roli w życiu amerykańskich stronnictw politycznych. Nie są one jednak, jeżeli pominiemy zupełne ogólniki, wspólnym wyznaniem wiary całej partii, choć są bardzo ważnym składnikiem działań tych różnorodnych grup, które stanowią ogół członków danej partii. Musimy to wyjaśnić.

Dlaczego X jest demokratą a Y republikaninem? Najczęściej jest to sprawa okoliczności mało istotnych, nawet przypadkowych. Ojciec i dziad X byli demokratami a Y republikaninami; w okręgu gdzie X mieszka są sami demokraci, a w okręgu Y sami republikanie; X jest nowojorskim Irlandczykiem, a nowojorscy Irlandczycy od pokoleń głosują na demokratów, którzy pierwsi zabrali się do politycznego organizowania emigrantów. W stanach południowych tylko szaleniec zostanie republikaninem — południowcy nigdy nie zapomną, że republikanie byli partią Lincolna.

Natomiast w stanie Vermont tylko polityczny desperat zapisze się do Partii Demokratycznej — wśród miejscowch drobnych farmerów żywa jest pamięć walk toczonych przed wielu dziesiątkami lat z kapitalistami miast nadmorskich, którzy wtedy byli zwolennikami Partii Demokratycznej.

Przykłady te powinny zwrócić naszą uwagę na jedną z najistotniejszych właściwości amerykańskiego życia politycznego: jest ono w najwyższym stopniu z r e g i o n a l i z o w a n e. W każdym regionie, często nawet w stanie, dana partia polityczna ma swe l o k a l n e z a b a r w i e n i e, jest symbolem jakichś walk pod jej sztandarami prowadzonych, walk, które, choć toczyły się dawno, pozostawiły jakieś głębokie ślady w życiu miejscowym. To znów sprawia, że amerykańska partia polityczna zmienia swe oblicze od regionu do regionu, że w każdym z nich jest wykładnikiem odmiennych dążeń, ideałów czy filozofii. Na Południu demokratyzm jest symbolem konserwatyzmu, „rządów białego człowieka", tradycji plantatorskich, nienawiści do Yankesów z New Yorku i Nowej Anglii. A jakkolwiek od czasów Lincolna w Partii Republikańskiej tyle się zmieniło, to na Południu republikanizm ciągle jest uważany za rodzaj niebezpiecznego radykalizmu. W wielkich przemysłowych ośrodkach Wschodu i Środkowego Zachodu demokratyzm stał się partią małego człowieka, a republikanizm ostoją konserwatyzmu. A jednocześnie farmerzy Środkowego Zachodu — żywe są wśród nich tradycje radykalizmu agrarnego — wciąż wiernie trzymają się republikanów, od całych pokoleń kierowanych przez elementy zgoła nieagrarne i nieradykalne.

A do tego dołączają się bardzo konkretne interesy lokalne. Interesy lokalnego przemysłu, lokalnego rolnictwa, lokalnego ruchu robotniczgo. Interesy te są jedną z dominant amerykańskiego życia politycznego i partyjnego. Ostatecznie bowiem gros polityki amerykańskiej jest robione w tysiącach małych miasteczek, rozrzuconych po całym obszarze Unii. Obywatyle tych miasteczek stanowią najliczniejszy zastęp w armii wyborców amerykańskich i zastęp ten wnosi specyficzną atmosferę do amerykańskiego życia politycznego. Jest to atmosfera spraw lokalnych, zainteresowań i tradycji regionalnych, górujacych nad rozumieniem zagadnień bardziej ogólnych. Mały człowiek z Missouri, z Indiany, z obu Dakot czy nawet z Nowej Anglii jest w Ameryce czynnikiem, którego znaczenia nie doceniać nie wolno.

Popełnilibyśmy jednak wielki błąd sądząc, że amerykańska partia polityczna jest zupełnie wyprana z jakichś momentów ogólnoideologicznych. O każdej z tych partii można powiedzieć, że p r z e w a ż a j ą w niej jakieś określone tendencje programowo-ideologiczne, gdy chodzi o ustosunkowanie się do tych czy innych zagadnień życia narodowego i międzynarodowego. W Partii Demokratycznej j a k o c a ł o ś c i, to, co w Ameryce nazywa się „liberalizmem", jest znacznie silniej reprezentowane niż w Partii Republikańskiej. Również izolacjonizm występuje wśród demokratów bez porównania słabiej niż wśród republikanów. Są to jednak tendencje w e w n ą t r z partii i są one wyrazem tej różnorodności ideologicznej, jaką stanowi, zawsze wybitnie zregionalizowana, amerykańska partia polityczna.

Wszystkie te momenty — regionalizm i zainteresowanie dla spraw ogólnych, bezbarwność ideowa partii jako całości i namiętne walki ideologiczne w jej wnętrzu — stanowią dominantę wyborów amerykańskich. A wybory w Stanach Zjednoczonych odbywają się bardzo często — do ciał federalnych, ciał stanowych i czysto lokalnych. Senatorowie są wybierani na lat sześć, przy czym co dwa lata odnawiana jest trzecia część Senatu. Izba Reprezentantów jest całkowicie odnawiana co dwa lata. Polityk amerykański musi stale pamiętać o dniu najbliższych wyborów. Kongresman wie, że w dniu, w którym został wybrany, ma tylko dwa lata na przygotowanie się do wyborów następnych.

A wybory amerykańskie są dla kandydatów egzaminem zgoła niełatwym. Niewątpliwie w pewnych okręgach, a przede wszystkim na niezrównanym Południu, egzamin taki zdaje się nie przedstawiać zbyt groźnie. Albowiem w stanach południowych istnieje faktycznie system monopartyjny. Przeciętnie 85% wyborców to zarejestrowani członkowie Partii Demokratycznej. Kandydat tej partii nie ma tu przeciwnika. Ale i na Południu, żeby być wybranym, trzeba zostać kandydatem, trzeba być wysuniętym przez partię. I na tym to polega konieczność zdania egzaminu.

Opinia pozaamerykańska na ogół nie orientuje się w fakcie, że w Stanach Zjednoczonych wybory składają się z dwóch aktów: z wyborów właściwych i z poprzedzających je prawyborów, czyli z głosowania na ewentualnych kandydatów wewnątrz partii. Ostatnio te prawybory — noszą one nazwę primaries — zaczęły odgrywać rolę nie mniejszą — a często nawet znacznie większą — niż wybory właściwe.

Jak przed chwilą było powiedziane, primaries są to głosowania przeprowadzane wśród członków danej partii na osoby, które w danym okręgu mają być wysunięte jako kandydaci na senatorów, kongresmanów, gubernatorów czy na inne stanowiska federalne lub stanowe. Dziś, gdy w Kongresie od podziału ściśle partyjnego, nieskończenie donioślejszym stał się, przechodzący przez obie partie, podział na liberałów i reakcjonistów, znaczenie primaries stało się wręcz kolosalnym. Nie liczbowy stosunek demokratów do republikanów decyduje dziś o obliczu Kongresu; decyduje o nim stosunek liczbowy liberałów do reakcjonistów w każdej z partii. A to znów zależy od wyników primaries, od tego czy wysuną one kandydatów liberalnych, czy reakcyjnych. Jest rzeczą wysoce znamienną, że od pewnego czasu akcja wyborcza w primaries jest prowadzona pod znakiem przeważania haseł ogólnopolitycznych nad sprawami lokalnymi.

Zasadniczo rzecz biorąc primaries są wielkim osiągnięciem demokracji amerykańskiej. Desygnowanie kandydatów jest tu wyjęte z rąk klik zawodowych politykierów, tworzących tzw. maszyny partyjne, i przekazane masom obywateli — demokratów czy republikanów (w niektórych stanach w primaries każdej partii mogą brać udział wszyscy obywatele bez względu na ich przynależność partyjną!). W praktyce jednak sprawa nie przedstawia się zbyt różowo i sprytny polityk potrafi sobie bardzo ułatwić zdanie owego egzaminu. Przede wszystkim w większości stanów zainteresowanie dla primaries jest ciągle bardzo małe. Są okręgi, gdzie w ostatnich primaries tylko dziesięć procent osób uprawnionych skorzystało ze swego prawa decydowania o kandydaturach. W stanach południowych

regulaminy Stronnictwa Demokratycznego (jedynego, które tu coś znaczy) aż do ostatnich czasów wyłączały od udziału w primaries demokratów-Murzynów! Dopiero teraz decyzja Sądu Najwyższego uznała tę praktykę za niekonstytucyjną. A poza tym czuwają owe słynne maszyny partyjne, jedna z największych plag demokracji amerykańskiej. Znajdują one wiele sposobów, by zapewnić zwycięstwo „swoim" ludziom. Południe i pod tym względem bije wszelkie rekordy. W stanie Texas, w powiecie Duval, primaries roku 1940 dały następujące wyniki: kandydat miejscowego „bossa", demokratycznego milionera Archie Parra, dostał 3.728 głosów, siedmiu pozostałych kandydatów — łącznie 181 głosów! W innym powiecie (Starr) tego samego stanu demokratyczne primaries roku 1944 dały takie rezultaty: kandydat „oficjalny" — 1396, ośmiu pozostałych — łącznie dwa głosy!

Ale w bardzo dużej ilości wypadków primaries są rzeczywistą próbą sił i naprawdę poważnym egzaminem dla kandydatów. Dziś są one ponadto ważnym wskaźnikiem zmian w nastrojach, jeżeli nie całych Stanów Zjednoczonych, to w każdym razie pewnych ich regionów. Niedawne primaries w Nebraska (republikańskie) i w Idaho (demokratyczne) elektryzowały opinię całej politycznie myślącej Ameryki. W piewszym z tych stanów reakcyjny izolacjonista pokonał liberalnego zwolennika współpracy międzynarodowej (za tym ostatnim stał Harold Stassen, ewentualny kandydat liberalnych republikanów na godność prezydenta w roku 1948), w drugim zaś postępowiec odniósł piękne zwycięstwo nad skrajnym konserwatystą.

Na Południu wyniki primaries automatycznie przesądzają o wynikach wyborów właściwych. Ale Południe nie byłoby Południem, gdyby do takich z góry przesądzonych, wyborów nie dodało specyficznej przyprawy. Jest nią słynny poll-tax. Otóż Południe jest tą częścią Stanów Zjednoczonych, w której warunkiem dopuszczenia obywatela do urny wyborczej jest opłacanie przez niego specjalnego podatku. Na ubogim, zacofanym Południu oznacza to, że ogromna większość Murzynów (najuboższa ludność miejscowa) i niezamożni biali są w praktyce pozbawieni prawa wybierania swych przedstawicieli. Tak np. w jednym z powiatów Virginii na 10.463 mieszkańców tylko 2500 jest w tym roku wpisanych na listy wyborców. A uważane jest to za dowód dużej zamożności tego powiatu! Jeżeli przypomnimy, że na Południu Murzyni aż do ostatnich czasów byli odsunięci od primaries (w praktyce i dziś nie nastąpiły tam większe zmiany na lepsze), to nie zdziwimy się, że w ostatecznym wyniku senator czy kongresman z tej części Ameryki reprezentuje 4 do 15% ogółu obywateli swego okręgu. I nie powinniśmy się też dziwić, że stany południowe są w Kongresie reprezentowane przez najczarniejszą reakcję i że południowe prądy liberalne (są one wcale silne) tylko z trudem i w bardzo małych dozach przeciskają się do Waszyngtonu.

Poza Południem szanse liberałów są na ogół znacznie lepsze. Ale i tu muszą oni pokonywać bardzo poważne przeszkody. Muszą albo szukać kompromisów z miejscowymi „maszynami" partyjnymi, albo je opanowywać. Wielu liberałów amerykańskich tylko przez stworzenie własnych sprężyście działających „maszyn" doszło do Waszyngtonu. Kto zna sto-

sunki amerykańskie, ten wie, że na takiej drodze nie można zachować czystości gronostaja. Kandydat musi zorganizować opinię publiczną, co wymaga dużych środków materialnych i pokonania wielu przeszkód. Nie wszędzie jest tak jak w stanie Idaho, gdzie bardzo postępowy senator Glen Taylor (demokrata), podbił serca swych współobywateli jeżdżąc w stroju cowboyskim i przy akompaniamencie banjo śpiewając piękne piosenki zachodnie! Gdzie indziej trzeba używać całej strategii wobec miejscowych potenatów pieniężnych, izb handlowych, lóż masońskich, kościołów i całej tej plejady potęg lokalnych, które nadają tak znamienne piętno życiu osiedli amerykańskich od Atlantyku aż po Pacyfik.

Zorganizowanie przez C.I.O. Komitetu Akcji Politycznej (Political Action Committee — P.A.C.) dało kandydatom liberalnym silną podstawę moralną i materialną dla walki przeciw skorumpowanym klikom politykierskim i wielkokapitalistycznym protektorom. Akcja prowadzona przez P.A.C. idzie w kierunku popierania postępowych kandydatów zarówno w primaries obu partii jak i w wyborach właściwych. W roku 1944 dużą zasługą P.A.C. było wprowadzenie do izb sporej garści uczciwych liberałów. I trzeba wierzyć, że P.A.C. wzmacniając swe wpływy w masach społeczeństwa przyczyni się do oczyszczenia Kongresu przynajmniej z najgorszych okazów archaicznego reakcjonizmu.

W takich warunkach odbywają się wybory amerykańskie. Odbijają się w nich wszystkie sprzeczności, w jakie tak obfituje życie narodu amerykańskiego. Ściera się w nich skrajny partykularyzm z hasłami tak ogólnymi, że aż gubiącymi związek z praktycznym rozwiązaniem zagadnień. I z wyborów tych wychodzą ludzie bardzo różni, często bardzo przypadkowi i bardzo nieciekawi. Ogromną ich większość stanowią zawodowi politycy, pamiętający, że za dwa lata czeka ich nowa próba wyborcza. I dlatego to cała ich uwaga jest zwrócona na okręg, na wyborców, na ich sprawy, nastroje i interesy. Amerykański polityk musi być oportunistą. Nawet Pepper, bojowy, uczciwy Pepper, zachowuje rezerwę, gdy chodzi o walkę z dyskryminacjami wobec Murzynów. Pepper osobiście jest wrogiem dyskryminacji. Ale Pepper jest z Florydy i wie, że jednym niebacznym słowem w obronie „czarnych" może stracić całą swą popularność.

Z wyborów zawsze wychodzi pewna grupa zdeklarowanych reakcjonistów i pewna grupa zdeklarowanych postępowców. Ale między tymi obu krańcami mieści się cała skala odcieni konserwatyzmu i liberalizmu, nieraz dziwacznie (z punktu widzenia europejskiego!) w tych samych ludziach powiązanych. Ludzie reprezentujący ów środek gotowi są w zależności od nastrojów swych wyborców przerzucić się na tę, to na drugą stronę. Za Roosevelta na ogół częściej zwracali się oni w stronę lewicy niż prawicy. Albowiem Roosevelt umiał skupić dokoła siebie siły postępowe Ameryki, umiał stać się magnesem dla mas, wyrazicielem ich pragnień i dążeń. Praktyczni politycy nie wątpili, że duża część ich wyborców idzie za Rooseveltem i woleli być w zgodzie z wyborcami. To również było ważną przyczyną faktu, że zmarły Prezydent stał się rzeczywistym przywódcą swego stronnictwa, ba — co więcej — że potrafił panować nad całym Kongresem. I tu znów jeden z paradoksów życia amerykańskiego: Konstytucja w sposób jak najbardziej kategoryczny rozdziela osobę i fun-

kcję prezydenta od Kongresu, ale jednocześnie rozwój wypadków sprawiał, że prezydenci na miarę Lincolna i obu Rooseveltów stawali się inspiratorami Kongresu, jego kierownikami i mentorami. Kongres obecny pod względem swego składu osobowego mało co się różni od Kongresów lat 1940 i 1942. Ale wtedy żył i działał Franklin Delano Roosevelt. I, choć nieraz wypadało Rooseveltowi ścierać się z Kongresem, to przecież swym geniuszem tak potężnie oddziaływał na społeczeństwo i na Kongres, że ten ostatni działał na ogół sprawnie i owocnie.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu Ameryka żyła w cieniu wielkiej postaci Roosevelta. Cień ten zasłaniał wiele stron życia amerykańskiego, które znów się ukazały naszym oczom dziś, gdy Roosevelta już nie ma. Truman nie jest inspiracją ani dla mas narodu amerykańskiego, ani dla Partii Demokratycznej, ani dla Kongresu. Masy są zdezorientowane. Są rozczarowane, że budowanie pokoju idzie tak opornie. Nie mają busoli. I w tym stanie zamieszania do głosu dochodzą siły, które Roosevelt umiał trzymać na wodzy. A członkowie Kongresu, zaprzątnięci myślą o najbliższych wyborach, patrzą nie w stronę Białego Domu, ale lokalnych potęg — izb handlowych, potentatów przemysłowych, lóż, dzienników i całej tej pstrej mieszaniny organizacji i grup, które odgrywają tak wielką rolę w życiu zarówno małych miasteczek Środkowego Zachodu i Nowej Anglii jak i wielkich metropolii obu wybrzeży.

Niewątpliwie w każdej z izb obecnego Kongresu jest pewna ilość ludzi nietuzinkowych, wznoszących się nad poziom amerykańskiej prowincji. Szczególnie w Senacie na każdym ze skrzydeł obu partii mozna znaleźć polityków poważnych i doświadczonych. Jednakże ogromną większość ustawodawców tworzą prowincjonalni działacze partyjni, pomniejsi politykierzy, ludzie „maszyn", małomiasteczkowi adwokaci, małego kalibru bankierzy, itp. Wśród prawników bardzo dużą rolę odgrywają tzw. corporation lawyers czyli radcy prawni różnorodnych wielkich spółek przemysłowych, ubezpieczeniowych i handlowych.

Ludzie ci całe swe doświadczenie polityczne zdobywali na terenie małych miast i miasteczek, w legislaturach stanowych, w świecie zagadnień bardzo regionalnych, bardzo lokalnych, słabo związanych ze sprawami nie tylko ogólno-światowymi, ale nawet ogólno-narodowymi. I nic dziwnego, że w Kongresie każdy z nich patrzy na siebie przede wszystkim jako na obrońcę swego regionu, ściślej — jako na obrońcę interesów tych grup jego regionu, które mogą zadecydować o jego szansach przy primaries i wyborach właściwych. I tu znów regionalizm amerykański wypowiada się w całej pełni. Podział na partie, podział na liberałów i reakcjonistów, to nie jedyne kryteria, według których grupują się parlamentarzyści amerykańscy. Bardzo często wręcz kolosalne znaczenie mają „bloki" regionalne, reprezentujące określone interesy gospodarcze pewnych okolic Stanów Zjednoczonych. Oto przykłady: arcypotężny blok farmerski, panujący w Departamencie Rolnictwa, reprezentujący interesy rolników różnych okręgów, przede wszystkim — Środkowego Zachodu; blok bawełniany, stojący na straży interesów południowych producentów bawełny; blok pszeniczny, tytoniowy, cukrowniczy, kukurydzany i wiele innych. „Bloki" te występują bardzo zwarcie i w praktyce mało się liczą z dys-

cypliną partyjną — jakże w ogóle słabą w Kongresie Stanów Zjednoczonych!

Podsumujmy teraz to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o Kongresie Stanów Zjednoczonych. Blaski i nędze tego ciała dużo nam mówią o tej sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Ameryka. Jest to sytuacja „skrzyżowania dróg“, sytuacja „rozdroża“. Naród amerykański ciągle stoi przed wielkim dylematem — w jakim kierunku ma pójść. I dlatego to słabnie rola tradycyjnych partii politycznych, coraz ważniejszym się staje podział na liberałów i reakcjonistów. Prowincjonalizm ściera się z koniecznością formułowania jakiejś nowej polityki, która by odpowiedziała tym zadaniem, jakie dziś w domu i na świecie stanęły przed narodem amerykańskim. A ponad wszystkim dominuje nowa sytuacja w Białym Domu — nieobecność Roosevelta i obecność Trumana.

W Ameryce często słyszy się wołanie, by obywatele wybrali nowy, lepszy Kongres. Wołanie takie słyszało się już nieraz w historii Stanów Zjednoczonych. I przynosiło ono wyniki bardzo mierne. Nie dlatego, by obywatele amerykańscy nie chcieli wybierać „dobrych“ Kongresów. Ale dlatego, że choroba, na którą cierpi amerykański system parlamentarny, tkwi głębiej, tkwi w samym życiu tego wielkiego i wspaniałego narodu, który pod tyloma względami jest spóźniony o całe stulecie.

Czy o Kongresie obecnym można powiedzieć, że jest on naprawdę, zgodnie z Konstytucją, drugim obok prezydenta instrumentem rządzenia Stanami Zjednoczonymi? Niewątpliwie Kongres ma kolosalny wpływ na funkcje rządzenia: uchwala ustawy, decyduje o budżecie, zatwierdza nominacje najwyższych urzędników itd. Ale ciało to coraz gorzej wywiązuje się z zadania formułowania polityki, która by dała wytyczne dla kierowania niezmiernie skomplikowanym aparatem nowoczesnego społeczeństwa industrialnego. I jeżeli Prezydent Truman nie daje narodowi amerykańkiemu tej busoli, jaką kiedyś dawał mu Roosevelt, to w stopniu tym samym da się to powiedzieć i o Kongresie Stanów Zjednoczonych.

## IV

## SĄD NAJWYŻSZY

Kilka tylko słów poświęcę trzeciemu współczynnikowi rządzenia Stanami Zjednoczonymi. Dziewięciu Sędziów Sądu Najwyższego ma w swym ręku władzę bardzo potężną. Albowiem do Sądu Najwyższego należy wyrokowanie czy ustawy — federalne i stanowe — są zgodne z Konstytucją. Sąd Najwyższy jest w systemie rządzenia Ameryką czynnikiem równowagi i kontroli w stosunku do władzy zarówno prezydenta jak i Kongresu.

W historii Stanów Zjednoczonych konflikty między Sądem Najwyższym a obu pozostałymi organami władzy bynajmniej nie należały do rzadkości. Zatarg Lincolna z ówczesnym Sądem Najwyższym obfitował w momenty niezmiernie dramatyczne. Pierwsza kadencja rządów Franklina Roosevelta stała pod znakiem wojny, jaką Sąd Najwyższy toczył z poli-

tyką New Dealu. Albowiem to „olimpijskie“ ciało nie składa się z samych Olimpijczyków i bynajmniej nie są mu obce walki i konflikty, gry i rozgrywki życia amerykańskiego.

Któż bowiem są owi mężowie, stanowiący tę dostojną dziewiątkę? Niewątpliwie można by wśród nich spotkać i znakomitych prawników, ludzi tej miary, co wielki Oliver Wendell Holmes czy Louis D. Brandeis. A i w dzisiejszym zespole Sądu Najwyższego nie brak prawników bardzo dużej klasy. Najczęściej jednak droga do Sądu Najwyższego prowadzi przez działalność polityczną, przez zasiadanie w Senacie, w gabinecie, przez gubernatorstwo. Były prezydent Taft (ojciec dzisiejszego senatora z Ohio) wkrótce po zakończeniu swej kadencji znalazł się w Sądzie Najwyższym. Ale z drugiej strony nie jest rzeczą rzadką, że Sąd Najwyższy jest tylko chwilową przystanią, z której się znów wypływa na fale polityki amerykańskiej. Sędziowie Sądu Najwyższego chętnie myślą o sobie jako o ewentualnych mieszkańcach Białego Domu.

Słowem, jest to zespół wybitnie polityczny, złożony z członków partii, nieraz będących wysokimi dygnitarzami partyjnymi. Jest to też — rzecz jasna — zespół ludzi o określonych filozofiach gospodarczych, społecznych i politycznych. Jeżeli się uwzględni rolę, jaką wśród polityków amerykańskich odgrywają prawnicy ściśle związani ze światem wielkich kapitałów (corporation lawyers), to nie powinno się być zdziwionym, że „olimpijski“ zespół Sądu Najwyższego w ferowaniu swych wyroków kieruje się nie tylko obiektywną wykładnią prawa, ale i interesami klasowymi określonych grup społecznych. Są to rzeczy w Ameryce znane i istnieje szereg poważnych rozpraw naukowych, wykazujących, jak rozwój kapitalizmu amerykańskiego znajdował dla siebie wyraz w orzeczeniach Sądu Najwyższego.

Od wielu dziesięcioleci ogromna większość tych orzeczeń tyczyła się, pośrednio lub bezpośrednio, zagadnienia własności prywatnej. Stosunek władzy państwowej do gospodarki prywatnej, stosunki między kapitałem a pracą, „prawo“ do własności i jego granice — oto problemy, które dominowały w rozprawach Sądu Najwyższego. I jest rzeczą zrozumiałą, że podział na liberałów i reakcjonistów musiał w Sądzie Najwyższym zarysować się i bardzo wcześnie, i bardzo wyraźnie. Szczególnie w okresie New Dealu każdy wyrok Sądu Najwyższego był rezultatem zaciętej walki między sędziami reakcyjnymi a sędziami liberalnymi. „Siódemka“ przeciwko „dwójce“, później „piątka“ przeciwko „czwórce“ oznaczały w epoce New Dealu przewagę konserwatystów nad liberałami.

Polityka, wytrwale prowadzona przez Roosevelta, miała na celu zmianę ustosunkowania się sił w Sądzie Najwyższym na korzyść liberałów. Po zaciętej walce Roosevelt osiągnął to, że „piątka“ przeciwko „czwórce“ zaczęła oznaczać przewagę jednego głosu liberałów nad konserwatystami.

Ten stosunek utrzymał się i obecnie. W myśl tradycyjnej zasady równowagi liberałowie mają tylko niewielką przewagę nad konserwatystami. Wystarcza ona jednak, by Sąd Najwyższy przestał być zaporą na drodze bardziej postępowego rozwoju Ameryki. Zwiazki zawodowe wiedzą, że dotyczące ich sprawy nie będą z góry przesądzane na rzecz świata inte-

resów. Murzyni są wdzięczni Sądowi za szereg wyroków, wymierzonych przeciwko dyskryminacjom (np. uznanie za niekonstytucyjne niedopuszczanie Murzynów do primaries na Południu). Nowy Chief Justice Fred Vinson, były Sekretarz Skarbu, jest południowym liberałem (z Kentucky) i nominowanie go znów zapewniło w Sądzie Najwyższym przewagę postępowców nad reakcjonistami.

Truman jest więc w sytuacji o wiele pomyślniejszej niż Roosevelt w latach pierwszej kadencji. Jak dotąd nie doszło do żadnych tarć między Prezydentem a Sądem Najwyższym i można przewidywać, że jak długo Truman w swej polityce wewnętrznej bronić będzie resztek programu New Dealu, tak długo potrafi on utrzymać modus vivendi z Sadem Najwyższym.

Nie dochodzi też do zatargów pomiędzy Kongresem a Sądem Najwyższym. A nie dochodzi głównie dlatego, że Kongres od śmierci Roosevelta nie zdobył się na jakąś poważniejszą i twórczą pracę ustawodawczą. Jak się ułożą stosunki po wyborach roku 1946, na to w tej chwili oczywiście odpowiedzieć nie można.

## V

## ZA KULISAMI

Żadna konstytucja nigdy wyraźnie nie mówi o tym, jakie siły społeczne i gospodarcze naprawdę rządzą w danym kraju. A i skład osobowy organów władzy nie zawsze daje jednoznaczną odpowiedź na pytanie, w czyich rękach rzeczywiście spoczywają rządy jakiegoś narodu. I chcąc wyjaśnić sobie, kto rządzi Ameryką, musimy od kart Konstytucji, od Białego Domu, Kapitolu czy gmachu Sądu Najwyższego zwrócić się w tę stronę, gdzie — poza kulisami — mogą się znajdować rzeczywiste ośrodki rządzenia.

Dla przeciętnego inteligentnego Europejczyka odpowiedź na pytanie, kto rządzi Ameryką, przedstawia się bardzo jasno. Z reguły odpowie on: Ameryką rządzi wielki kapitał. Niekiedy doda, że centra rządzenia Stanami Zjednoczonymi znajdują się na Wall Street w Nowym Jorku. Jednakże odpowiedź człowieka, który obserwuje na miejscu stosunki amerykańskie, nie będzie brzmiała tak zdecydowanie. Oczywiście, bez wahania zgodzi się on, że Ameryka jest krajem superkapitalistycznym, że kapitaliści amerykańscy są potęgą kolosalną, że wpływ filozofii kapitalistycznej na społeczeństwo amerykańskie jest bardzo wszechstronny i głęboki. A jednak uzna, że zagadnienie jest zbyt skomplikowane, by dało się zamknąć w jednej prostej formule.

Zacznijmy od Wall Street, głównie dlatego, że nazwa ta jest dobrze znana w Europie. Były czasy, gdy mówiono, że z Wall Street drut telefoniczny bezpośrednio prowadzi do Białego Domu. I niewątpliwie była w dziejach Ameryki epoka, kiedy amerykański kapitał finansowy, usymbolizowany w tej małej uliczce nowojorskiego Downtown, dyktował prezydentom, jaką mają prowadzić politykę, zaopatrywał Kongres w projekty

ustaw, dla których zawsze znajdowała się większość. Zdarzali się prezydenci, których można było uważać po prostu za funkcjonariuszów wielkich domów bankierskich z Wall Street.

Czasy te jednak należą do przeszłości. Amerykański kapitał finansowy otrzymał potężny cios w latach wielkiego kryzysu 1929 i następnych. Kryzys ten przyszedł, gdy prezydentem był człowiek jakże blisko skoligacony z Wall Street i z rekinami bankowo-przemysłowymi. I kryzys gruntownie podważył autorytet Wall Street, a zarazem bardzo osłabił pozycję kapitału finansowego w całokształcie amerykańskiej gospodarki kapitalistycznej.

To ostatnie jest bodaj najważniejsze. Nie tu miejsce na analizowanie tych przemian, jakie w latach ostatnich dały się zauważyć w stosunkach między amerykańskim kapitałem bankowym a przemysłowym. O tych rzeczach, niesłychanie ciekawych i bardzo doniosłych, całe studia można by pisać. Tu jedynie stwierdzimy, że Wall Street, choć jeszcze bardzo potężna, nie odgrywa w życiu zbiorowym Ameryki tej roli, jaką jeszcze lat temu dwadzieścia odgrywała. Prezydent Roosevelt doskonale umiał wyzyskać następstwa krachu roku 1929. Za czasów zmarłego Prezydenta z całą pewnością nie było żadnego bezpośredniego połączenia telefonicznego między Wall Street i Białym Domem. Naturalnie Roosevelt, gdy mu to nakazywał oportunizm gry politycznej, szukał zbliżenia z tymi czy innymi ośrodkami bankowości amerykańskiej. Sama jednak Wall Street dobrze wiedziała, że epoka jej świetności minęła i że z Rooseveltem wiele nie wskóra. Ale też nigdzie z większą mocą nie nienawidzono Roosvelta niż w tym osobliwym wąwozie zwanym Wall Street.

Oczywiście ani przez chwilę nie wolno lekceważyć mocy i środków, jakimi rozporządzają banki amerykańskie. Amerykański kapitał finansowy rządzi kolejami, ma ogromny wpływ na prasę, ma doskonałe stosunki w obu izbach Kongresu i w obu partiach, ma liczne koneksje poza granicami Stanów Zjednoczonych. Ale nie jest już władcą Stanów Zjednoczonych i nie jest czynnikiem dominującym w organizacji amerykańskiego superkapitalizmu.

I Wall Street możemy dziś traktować jedynie jako składnik czegoś znacznie rozleglejszego i potężniejszego, a mianowicie tego, co w Ameryce określa się jako Big Business. Nazwą tą obejmuje się wszelkie gatunki i odmiany gigantów amerykańskiej gospodarki wielkokapitalistycznej. I istota naszego zagadnienia sprowadza się do pytania, jaką rolę w rządzeniu Stanami Zjednoczonymi odgrywa ów Big Business?

Nie trzeba długo mówić o potędze (nie tylko ekonomicznej), jaką reprezentują takie kolosy, jak U. S. Steel, Standard Oil, Alcoa, Du Pont, General Motors, General Electric czy kilkaset innych superkolosów. Wiele z nich to mocarstwa w dosłownym znaczeniu, to organizacje polityczne, rzucające wyzwania władzom federalnym, prowadzące własną politykę zagraniczną. Mają one w Waszyngtonie i w stolicach stanowych swych „dyplomatycznych“ przedstawicieli, mają swe „poselstwa“ w stolicach zagranicznych, mają „swoich“ ludzi na najwyższych szczeblach amerykańskiego aparatu administracyjnego, w Kongresie, w armii, we flocie, we władzach stanowych. Przez władzę nad prasą, radiem, filmem, nad

kościołami i uniwersytetami, wpływają na umysły milionowych rzesz ludzkich. Te imperia in imperio zdają się zapowiadać, że superkapitalizm amerykański zmierza w kierunku jakiegoś nowego feudalizmu, w którym miejsce dawnych niezależnych książąt zajmują kolosalne „korporacje" przemysłowe.

Kolosy te bardzo się interesują sprawami polityki zagranicznej. Pod tym względem są mało amerykańskie! W tych zainteresowaniach nie zawsze trzymają się one utartych ścieżek zdobywania sobie pozycji w Departamencie Stanu. Nie wyrzekając się tych ścieżek mają one jednak i swoje bardzo własne drogi i metody, nieraz stawiające oficjalną politykę Stanów Zjednoczonych wobec faktów dokonanych i nie zawsze przyjemnych. Jest rzeczą wiadomą, że tzw. republiki bananowe (banana republics) w Ameryce Środkowej są po prostu lennami arcypotężnego United Fruit. Polityka tych państewek jest robiona w biurach United Fruit i tam się decyduje, kto ma być prezydentem np. San Salvadoru i co ma on robić. Standard Oil (z New Jersey) jest panem i władcą obfitujących w naftę państw arabskich. Rząd Venezueli znajduje się nie tylko w Caracas, ale — i to przede wszystkim — w biurach „domu" Rockefellerów. Krwawy dyktator Dominicany Trujillo może spać spokojnie: władzę zapewniły mu dwa banki amerykańskie i jedna firma cukrownicza. I takie przykłady można by mnożyć w nieskończoność.

A i na terytorium Stanów Zjednoczonych giganty umiały stworzyć sobie mocne podstawy potęgi politycznej. O stanie Texas mówi się, że jest rządzony przez dwadzieścia „korporacji" reprezentujących naftę i bawełnę. I nikt nie powie, że Texas jest jakimś wyjątkiem. O iluż to miastach (i to niemałych!) mówi się, że są rządzone przez taki czy inny bank, przez taką czy inną „korporację" przemysłową.

Zawahałbym się jednak bardzo, gdyby kazano mi przyznać, że amerykański Big Business jest panem i władcą Stanów Zjednoczonych jako całości. Jest potęgą, ma kolosalny wpływ na politykę amerykańską, na Kongres, na rząd, na władze stanowe. Ma kolosalne stosunki w armii i flocie. Ma dziś wpływy o wiele większe niż za czasów Roosevelta. Czy jednak w ręku tych kilkuset „korporacji" rzeczywiście skoncentrowały się wszystkie nici prowadzące do wszystkich składników amerykańskiej machiny państwowej?

Rzecz w tym, że ów Big Business nie jest jakimś monolitem, że te kilkaset „korporacji" nie stworzyły jakiegoś wspólnego ośrodka wydawania dyspozycji i wykonywania działań. Ta gromada potężnych feudałów nie posiada dotąd jakiegoś zbiorowego aparatu, jednolitego i sprawnie działającego.

Pewne zjawiska życia amerykańskiego zdają się przeczyć temu, co przed chwilą było powiedziane. Jedną z najpotężniejszych organizacji społecznych w Stanach Zjednoczonych jest N. A. M. czyli Ogólnopaństwowe Stowarzyszenie Przemysłowców (National Association of Manufacturers). Jest to organ klasowej polityki Big Businessu. Jego „lobby" w Waszyngtonie (o „lobbies" będzie mowa niżej) jest większe i potężniejsze od ambasad najpotężniejszych mocarstw światowych. Poza tym N. A. M. ma swoje „lobbies" w stolicach każdego z 48 stanów. N. A. M.

ma kolosalne wpływy w Kongresie, w obu partiach, szczególnie — w Republikańskiej, ma prasę, radio, uniwersytety, trudno wyliczyć czego nie ma... Dominującą pozycję w tej organizacji zajmuje dziś „dom“ Du Pontów, co oznacza chemikalia, amunicję, samochody i dziesiątki innych kluczowych gałęzi produkcji. Skrajnie reakcyjna filozofia Du Pontów jest oficjalną filozofią National Association of Manufacturers.

Jest jednak rzeczą wysoce znamienną, że cele N. A. M. są prawie wyłącznie natury negatywnej: zniszczenie kontroli cen, walka z New Dealem, walka z umowami zbiorowymi w przemyśle, zniszczenie związków zawodowych, zniszczenie Political Action Commitee, itd. itd. Na te cele N. A. M. rzucał i rzuca miliony dolarów. Czasami z powodzeniem, często bez powodzenia. Ile pieniędzy wydała ta organizacja na walkę z New Dealem — nikt się o tym nigdy nie dowie. Ale sukcesy, jakie odniosła, były stosunkowo nikłe, a porażki bardzo duże. Albo walka z ruchem zawodowym! I tu N. A. M. miał więcej porażek niż tryumfów. Ostatnio jedynym poważnym zwycięstwem odniesionym przez N. A. M. było okaleczenie przez Kongres ustawodawstwa kontroli cen. Ale i to nie było zwycięstwo całkowite, choć dziś, po śmierci Roosevelta, N. A. M. czuje się bardzo pewny siebie.

Rzecz w tym, że N. A. M. jest fasadą, która nie potrafi ukryć rozległej skali konfliktów i sprzeczności, jakie panują w świecie amerykańskiego Big Businessu. Niełatwo jest te konflikty i sprzeczności sprowadzić do postaci jako tako prostej. Rzeczywistość amerykańska jest tak bardzo pogmatwana, skomplikowana i różnorodna, że trudno dla niej znaleźć proste i jednoznaczne formuły. Kapitalizm amerykański łączy w sobie wiek XIX i wiek XXI, epokę atomową i gospodarkę kolonialną na Południu, zawiera dziesiątki sprzecznych i antagonistycznych tendencji.

Mówiąc o konfliktach, niekoniecznie mamy na myśli te walki konkurencyjne, jakie były tak typowe dla epoki wczesnego kapitalizmu. Monopolizacja w obrębie kapitalizmu amerykańskiego sprowadziła ten rodzaj walk do minimum. Zostawiła ona jednak dość miejsca na konflikty innego rodzaju. Są tu więc konflikty regionalne — walki między monopolistycznymi organizacjami, reprezentującymi pewne części Stanów Zjednoczonych. Jako przykład można tu przytoczyć walkę między przemysłem północno-wschodnim i środkowo-zachodnim (przemysł ciężki, budowlany itd.) a doskonale się rozwijającym analogicznym przemysłem Wybrzeża Zachodniego. Henry Kaiser, czołowy przedstawiciel postępowych przemysłowców, którzy przyjęli filozofię New Dealu, jest interesującym produktem Wybrzeża Zachodniego. A Kaiser śmiałym szturmem zdobył sobie w czasie wojny silne pozycje na Wschodzie i na Środkowym Zachodzie. W rozgrywce tej momenty czysto ekonomiczne przeplatają się z politycznymi nabierając zabarwień różnic ideologicznych.

Przykładów takich konfliktów „regionalnych“ można by podać bardzo dużo. Ale obok nich istnieją jeszcze i inne. Amerykański przemysł tzw. średni bardzo ucierpiał w czasie wojny. Był traktowany po macoszemu i czynniki państwowe, kierujące wysiłkiem wojennym Stanów Zjednoczonych, wyraźnie dawały pierwszeństwo gigantom monopolistycznym. Procesy koncentracyjne w odniesieniu do kapitału przemysłowego znacznie

w ciągu wojny posunęły się w Stanach Zjednoczonych. Niemniej jednak przemysł średni wciąż istnieje, stawia opór, w pewnych wypadkach — z powodzeniem. Jest też rzeczą znamienną, że wśród mniejszych przedsiębiorców amerykańskich (zwłaszcza na Zachodzie i Wschodzie) istnieje więcej dobrej woli w kierunku współdziałania z ruchem zawodowym robotników niż jest jej w świecie wielkich „korporacji". Drobny i średni przemysłowiec są bardziej „liberalni" i mniej skłonni do ulegania reakcyjnej filozofii N. A. M.

Są jeszcze inne konflikty, w których treści ściśle gospodarcze idą w parze z politycznymi. Potężne są tarcia między przemysłem ciężkim a przetwórczym. Są duże antagonizmy między tymi przemysłami, które liczą na eksport i tym samym — na współpracę międzynarodową, a przemysłami „izolacjonistycznymi" lub pojmującymi eksport w duchu skrajnie imperialistycznym. Nie jest rzeczą przypadkową, że przewodniczącym Stowarzyszenia Przyjaźni Amerykańsko-Sowieckiej jest p. Lamont, głowa „domu" Morgana. Potężna ta firma ma wielkie plany w skali międzynarodowej i dla ich zrealizowania chce trwałego pokoju i współpracy wielkich mocarstw.

Wszystko to razem jest dalekie od dania pełnego obrazu powikłanych stosunków w świecie amerykańskiego Big Businessu. Wykazuje jednak, że świat ten nie jest jakimś monolitem i że — przy całej swej fantastycznej potędze — w całym szeregu spraw nie osiągnął jednolitości programów i działań. Jest też rzeczą charakterystyczną, że polityczna potęga Big Businessu jest w stopniu większym bezapelacyjna na szczeblu władz stanowych niż władz federalnych. Jest to szczególnie wyraźne w tych stanach, gdzie, jak np. w Texasie, Big Business sprowadza się do małej grupy kolosalnych organizacji, ściśle ze sobą spokrewnionych i uzupełniających się. Ale w stanach o tak skomplikowanej strukturze społecznej i ekonomicznej, jak np. New York, Pensylvania czy niektóre stany Środkowego Zachodu i Nowej Anglii, Big Business jest zbyt rónorodny, by mógł się zdobyć na jednolitość polityczną. Poza tym, co jest niemniej ważne — w stanach takich natrafia on na inne siły społeczne, wobec niego antagonistyczne. Wszystkie te momenty na szczeblu federalnym zaznaczają się z o wiele jeszcze większą mocą.

Ani na chwilę nie wolno zapominać o tym, że Stany Zjednoczone są również wielkim krajem agrarnym. Na czterech mieszkańców tego kraju jeden jest farmerem. Rolnicy amerykańscy są siłą bardzo dużą i bardzo wpływową. W Kongresie „blok farmerski" jest jedną z najważniejszych grup parlamentarnych. Farmerzy amerykańscy nie są przyjaciółmi Big Businessu. Wciąż żywe są wśród nich nastroje antykapitalistyczne, wspomnienia zaciętych i długotrwałych walk między rolnikiem a bankierem i przemysłowcem wielkomiejskim. U dużej części farmerów te postawy antykapitalistyczne idą w parze z bardzo konserwatywną filozofią polityczną i społeczną. Ale w masach farmerskich jest również prąd radykalny, sięgający korzeniami ery „pionierskiej" i czasów Andrew Jacksona, dziś zaś znajdujący dla siebie wyraz w poglądach takich ludzi jak Henry Wallace i wybitny przywódca farmerski, James Patton.

Jest w Ameryce szereg stanów (np. Iowa, Idaho, Indiana, obie Dakoty, Vermont), o których można powiedzieć, że są rządzone przez farmerów lub — co najmniej — że nie można w nich rządzić bez farmerów i wbrew farmerom. W tych stanach Big Business musi trzymać na wodzy aspiracje polityczne, musi zawierać kompromisy, manewrować, a nieraz — kapitulować. A niektóre z tych rolniczych stanów są terenami poważnych zainteresowań ekonomicznych amerykańskiego świata wielkich kapitałów. Tu jednak w zakresie polityki głos należy do organizacji farmerskich.

Donośnie ten głos się rozlega i na szczeblu federalnym — w Waszyngtonie. Są wypadki w Kongresie, gdy zbieżność interesów prowadzi do powstawania koalicji farmersko-kapitalistycznych. Tak było niedawno, kiedy Kongres zabrał się do okastrowania ustawy o kontroli cen. Częściej jednak zaznacza się rozbieżność interesów i dochodzi do konfliktów. A że farmerzy są w Waszyngtonie potęgą, przeto z takich konfliktów grupy wielkokapitalistyczne nie zawsze wychodzą obronną ręką.

Oczywiście nikt w Ameryce nie powie o farmerach, że to oni rządzą Stanami Zjednoczonymi. Są oni jednak ważnym współczynnikiem rządzenia, są silnym rywalem Big Businessu, są jedną z tych mocy, które w ten czy w inny sposób wpływają na kształtowanie się wewnętrznej i zagranicznej polityki Unii północno-amerykańskiej.

Jednakże i o tej mocy nie można mówić jako o czymś jednolitym. I farmerstwo amerykańskie nurtują dziesiątki sprzecznych i antagonistycznych tendencji. Zaznaczają się tu różnice klasowe, zaznaczają się ostre różnice regionalne. Trzeba pamiętać, że rolnictwo amerykańskie jest wybitnie wyspecjalizowane. Farmer amerykański zajmuje się wyłącznie jakąś jedną (rzadziej dwiema) gałęzią produkcji rolniczej czy hodowlanej. Ta specjalizacja ogarnia całe wielkie obszary kraju. Na tym tle wytwarzają się bardzo skomplikowane stosunki gospodarcze, mające z kolei swe odbicie w życiu politycznym. Jako przykład można by tu podać nieustanną, od dziesięcioleci trwającą wojnę pomiędzy producentami cukru buraczanego i cukru z trzciny cukrowej. O wojnie tej można by pisać całe tomy. Wmieszane w nią były polityki poszczególnych stanów, z których jedne ustawowo ograniczały spożycie cukru buraczanego, a drugie — cukru z trzciny cukrowej. Wmieszana w to była amerykańska polityka zagraniczna, i nazwy takie jak Kuba, Porto Rico, Filipiny, znalazły dla siebie odpowiednie miejsce w dziejach homeryckich bojów buraka z trzciną.

Ale w nowoczesnej Ameryce jest i trzecia siła, która choć od niedawna dopiero występuje jako czynnik polityczny umie być przeciwwaga i dla aspiracji Big Businessu i dla zapędów polityków farmerskich. Tą siłą są robotnicze związki zawodowe.

Liczą one dziś prawie 15 milionów członków. Liczba nieduża jak na Stany Zjednoczone. Ale w roku 1929 (początek Wielkiego Kryzysu) amerykańskie związki zawodowe miały tylko 3 i pół miliona członków. Ustawodawstwo New Dealu (Akt Norrisa-La Guardii, Akt Wagnera i inne) stwo-

rzyło pomyślne warunki dla masowego organizowania się robotników amerykańskich, którzy ponadto z doświadczeń kryzysu wynieśli tę naukę, że trzeba się organizować. Organizowanie się szło zresztą wyłącznie w kierunku zawodowym. Było to zgodne z tradycjami amerykańskimi. Wielki przywódca amerykańskiego ruchu zawodowego, Samuel Gompers (żmarły w r. 1924), czynił wszystko, by ruch robotniczy trzymać z dala od samodzielnego udziału w życiu politycznym. Tendencje te, choć już nie tak wyraźne, utrzymały się i po śmierci Gompersa. W Ameryce robotnicze klasowe partie polityczne są czynnikiem bez znaczenia na szerokiej arenie polityki ogólnonarodowej.

W epoce rooseveltowskiej robotnik amerykański potężnie rozbudował swe związki zawodowe. Jednakże w tym czasie amerykański ruch robotniczy przeszedł przez poważny kryzys. Rzecz znamienna — rozłam w tym ruchu, wyodrębnienie się Kongresu Organizacji Przemysłowych (C. I. O. — Congress of Industrial Organisations) nie miało charakteru politycznego. Chodziło o to' czy robotnicy mają się organizować na tradycyjnej podstawie związków wąskobranżowych, czy też ma tryumfować typ szerokich organizacji przemysłowych zrzeszających pracowników całych gałęzi produkcji. Niemniej jednak w rozłamie tym zawierały się zarodki rozbieżności politycznych. Związki branżowe, skupiające przeważnie robotników wysoce wykwalifikowanych, należących do bardzo wyspecjalizowanych działów produkcji, miały w sobie coś z dawnych cechów i z natury rzeczy były bardzo konserwatywne. Amerykańska Federacja pracy A. F. of L. — American Federation of Labor, w której przeważa ten rodzaj związków, jest kontynuatorką tradycji wczesnokapitalistycznych i jako forma organizacyjna coraz gorzej odpowiada warunkom nowoczesnego życia industrialnego. C. I. O. już przez to samo, że operuje organizacjami masowymi, że obejmuje najbardziej nowoczesne działy produkcji (przemysł automobilowy), musi być bardziej postępowa od swej rywalki. Spór między A. F. of L. a C. I. O., początkowo natury ściśle organizacyjnej, coraz wyraźniej nabierać zaczyna akcentów politycznych.

W C. I. O. zrodziła się też koncepcja upolitycznienia amerykańskiego ruchu zawodowego. Ogromną rolę odegrał tu i wciąż odgrywa Sidney Hillman, wysoce uzdolniony przywódca robotników krawieckich. Hillman był też jednym z głównych budowniczych sojuszu pomiędzy związkami zawodowymi a Rooseveltem i demokratami. Wzmiankowany poprzednio Political Action Commitee wybitnie przyczynił się do zwycięstwa Roosevelta w r. 1944. Ale jednocześnie działalność C. I. O. w proroosevelowskich kampaniach politycznych była umiejętnie wyzyskana przez Hillmana i przewodniczącego C. I. O. Philippa Murraya w kierunku organizowania mas robotniczych oraz zjednywania ich dla postępowych haseł New Dealu. Ostatnio P. A. C. zabrał się nawet do akcji w najbardziej zacofanych stanach południowych. Jest rzeczą zrozumiałą, że Hillman i Murray są przedmiotami namiętnej nienawiści całej reakcji amerykańskiej.

Przykład C. I. O. podziałał i na A. F. of L. I ta organizacja, choć w zasadzie wierna „apolitycznemu" programowi Gompersa, przyłączyła się do

obozu rooseveltowskiego. Co więcej, w praktyce zaczęła mniej ortodoksyjnie traktować swą apolityczność w wielu wypadkach zajmując stanowisko wyraźnie polityczne. To samo da się powiedzieć o tzw. związkach niezależnych tj. nie należących do żadnej z dwóch central. Są to przede wszystkim „bractwa" kolejowe, bardzo konserwatywne i tradycyjnie trzymające się z dala od polityki.

Upolitycznianie się amerykańskiego ruchu robotniczego odbywało się więc pod znakiem postaci Franklina Roosevelta. Zjawisko to — bardzo amerykańskie — mieściło w sobie niepokojące momenty: robotnik amerykański nauczył się w Roosevelcie widzieć swego naturalnego przywódcę i symbol swoich aspiracji. Wytworzyło to postawy, które mogą stać się poważną przeszkodą na drodze usamodzielnienia się i zmężnienia amerykańskiego ruchu robotniczego. Zwłaszcza wobec śmierci Roosevelta. Truman i jego polityka zrodziły w masach robotniczych duże rozgoryczenie, ale też i niemały zamęt. Robotnik — w dużym stopniu to samo da się powiedzieć i o jego przywódcach — stracił busolę, jest zdezorientowany i głęboko zaniepokojony.

W każdym razie związki zawodowe stały się w życiu narodu amerykańskiego czynnikiem bardzo poważnym. Musi się z nimi liczyć każda z partii politycznych — głosy robotnicze w całym szeregu stanów decydują o wyniku wyborów. Związki zawodowe, skupiające 15 milionów ludzi, udowodniły, że potrafią skutecznie przeciwdziałać wielu posunięciom kół reakcyjnych i wywierać swój nacisk na wysokie sfery waszyngtońskie. Ale w chwili obecnej amerykańskie związki zawodowe są w defensywie. Nie jest to defensywa bierna. Często wyraża się ona w akcjach zaczepnych na tym czy innym odcinku. Ale ogólny stan zamieszania, jaki wytworzył się za administracji Trumana, odbił się i na ruchu zawodowym osłabiając jego bojowość. Ten sam stan zamieszania jest wyzyskiwany przez reakcję, która dziś pozwala sobie wobec związków zawodowych na wystąpienia, na jakie nie ośmieliłaby się, gdyby Roosevelt żył. Zavetowany przez Trumana Bill Case'a był wyraźną zapowiedzią, że reakcja będzie chciała zepchnąć robotnika amerykańskiego do poziomu sprzed lat pięćdziesięciu. Związki zawodowe stoją więc wobec walki bardzo ciężkiej. A trzeba stale pamiętać, że amerykański ruch zawodowy jest rozdwojony, że wewnątrz niego pełno jest różnorodnych konfliktów, że stosunki między A.F. of L. i C.I.O. nie układają się dobrze. A poza tym wewnątrz tego ruchu działa taki groźny demagog jak John L. Lewis, przywódca związku górników węglowych, Lewis, który niejedną jeszcze szkodę zapewne wyrządzi amerykańskiemu światu zorganizowanej pracy.

Nie tu miejsce na przedstawianie wszystkich, dla Europejczyka często jakże zdumiewających, właściwości amerykańskiego ruchu robotniczego. Chodzi nam tylko o wykazanie, że ruch ten stał się ważnym uczestnikiem zapasów, jakie toczą się na arenie amerykańskiego życia politycznego. Jest to jedna z tych sił, które w amerykańskim systemie politycznym równoważą siły inne przyczyniając się do powstania stanu, nazywanego przez jednych stanem równowagi, a przez innych — stanem braku równowagi, stanem chronicznego zamętu i chwiejności.

## VI

## SCENA I KULISY

Od wielu dziesiątków lat w Waszyngtonie utrwalił się stan rzeczy, który można by przedstawić w sposób następujący: rząd federalny (Prezydent, Kongres, Sąd Najwyższy), często targany przez konflikty wewnętrzne, często nieudolny, oraz niezliczona ilość agentur pozarządowych, wywierających presję na organa władzy federalnej. Te agentury pozarządowe — w Ameryce przyjęła się dla nich nazwa „pressure groups" — to najrozmaitsze ugrupowania gospodarcze, polityczne, zawodowe, społeczne, religijne, ideologiczne, starające się przez nacisk na rząd i członków izb osiągać jakieś koncesje dla siebie, dla środowisk przez siebie reprezentowanych, dla haseł przez siebie głoszonych. Najważniejsze miejsce zajmują tu wielkie organizacje klasowych interesów gospodarczych i społecznych. Izby handlowe, zrzeszenia banków, giganty przemysłowe i ich zrzeszenia, kolosy transportu, potężne organizacje farmerskie, zrzeszenia konsumentów i zrzeszenia drobnych producentów oraz — w latach ostatnich — centrale związków zawodowych — oto najważniejsze rodzaje owych pressure groups. Każda taka grupa ma w Waszyngtonie swoje oficjalne biuro — nosi ono nazwę lobby — coś w rodzaju ambasady i cały sztab wykwalifikowanych specjalistów od rozmów z politykami i dygnitarzami państwowymi. Wśród tych specjalistów (lobbyists, pressure boys) nie brak jest byłych senatorów i kongresmenów, nie brak jest ludzi, którzy zajmowali bardzo wysokie szczeble administracji federalnej. Budżety pewnych lobbies wynoszą setki tysięcy dolarów (budżet lobby N.A.M. jest grubo większy) i są głównie przeznaczone na kolosalną propagandę, na druki, pisma, na akcję radiową. Niektóre z tych pressure groups wyspecjalizowały się w organizowaniu tych lawin listów, jakimi wyborcy amerykańscy tak często zasypują swych przedstawicieli w Kongresie. Gdy senator lub kongresman nagle dostanie tysiące listów, w których wyborcy mówią mu jak ma głosować, to dobrze się zastanowi, zanim odda swój głos. Zwłaszcza gdy zbliża się termin wyborów... Na sześć tysięcy oblicza się ilość lobbies w Waszyngtonie, a poza tym nie brak ich w każdej z 48 stolic stanowych.

Pressure groups niejednokrotnie wprowadzały swych ludzi na najwyższe stanowiska w administracji i w Kongresie. A i dziś mówi się o niejednym dygnitarzu federalnym, że jest on po prostu przedstawicielem tej czy innej z owych organizacji. Prezydent Roosevelt i tu okazał się mistrzem amerykańskiego manewru politycznego. Poskromił on zapędy najbardziej żarłocznych grup ze świata Big Businessu, z innymi w miarę potrzeby umiał wchodzić w kompromisy. Sprzyjał rozwojowi grup, reprezentujących słabe gospodarczo siły społeczne — farmerów i robotników. Uważał bowiem, że w ten sposób stwarza przeciwwagę wobec wielkich rekinów kapitalistycznych. I przeciwwagę taką w wielu wypadkach rzeczywiście stwarzał.

Istotną więc cechą amerykańskiej struktury rządowej jest swoisty dualizm, jaki wytworzył się na szczeblu federalnym i na szczeblach stanowych.

Poza rządem oficjalnym istnieje kolosalna ilość zespołów, których jedynym celem jest wywieranie presji na rząd. Nie trzeba też nigdy zapominać o tym, że ów dualizm nie jest czymś absolutnym: istnieją liczne i bliskie związki między ośrodkami władzy oficjalnej a agenturami wywierania presji. Grupy te nigdy nie występują w sposób sharmonizowany. Albowiem w swej ogromnej większości reprezentują one sprzeczne i antagonistyczne interesy. Są to antagonizmy klasowe — Big Business i robotnicy lub farmerzy; są to antagonizmy w obrębie tej samej klasy — przemysł zachodni i wschodni, producenci bawełny i przemysł chemiczny, producenci cukru z buraków i z trzciny cukrowej, C.I.O. i A.F. of L.; są to antagonizmy regionalne — Południe contra Północny Wschód i Środkowy Zachód; są antagonizmy rasowe — organizacje murzyńskie i obrońcy „supremacji białego człowieka"; itd. itd. Mamy tu mozaikę ścierających się interesów, mozaikę wiernie odtwarzającą całe nieprawdopodobne skomplikowanie życia narodu amerykańskiego. Tworzą się tu osobliwe konstelacje i sojusze, stosowane są tu subtelne metody fantastycznie powikłanej strategii. Nie łatwo się w tych rzeczach połapać człowiekowi, który dobrze nie zna tajników sceny i kulis amerykańskiego życia narodowego. I niejednokrotnie, aby zrozumieć takie czy inne posunięcie w polityce Stanów Zjednoczonych, trzeba brać się do odcyfrowywania zawiłych hieroglifów gry, prowadzonej w westibulach różnych hoteli waszyngtońskich i w restauracji Kongresu.

Przy słabym, nie posiadającym autorytetu Prezydencie i przy zdezorientowanym, pozbawionym kierownictwa Kongresie ta gra zakulisowa staje się czynnikiem o kolosalnym znaczeniu i ma daleko sięgające następstwa. Prezydent Truman jest pod nieustannym obstrzałem ze wszystkich stron. Jego posunięcia są wypadkowymi tych sprzecznych presji, jakie są na niego wywierane. A w tym, jak te wypadkowe powstają, jest wiele przypadkowego, nieobliczalnego. Stąd wahania, stąd zygzaki i brak konsekwencji w dzisiejszej polityce Stanów Zjednoczonych.

Walter Lippmann, zastanawiając się niedawno nad przeciętnością zespołu polityków, którzy po śmierci Roosevelta rządzą Stanami Zjednoczonymi, doszedł do wniosku, że występuje tu zjawisko typowe dla każdego okresu powojennego. Wojna pochłania najlepsze siły zostawiając pokojowi wybierki. I dlatego w Ameryce po Wojnie Domowej miejsce Lincolna zajął Johnson, a po pierwszej wojnie światowej następcą Wilsona został Harding. A Truman — pociesza się Lippmann — jest w każdym razie lepszy od Hardinga. I znakomity pisarz polityczny wierzy że jeszcze kilka lat, a może kaliber przywódców amerykańskiego życia politycznego znów się podniesie.

Zdaje się jednak, że istota zagadnienia leży głębiej. Prezydentury takie jak Trumana jedynie odsłaniają te niebezpieczne strony życia amerykańskiego, które w czasach wybitnych prezydentów były przysłaniane osobistościami tych ostatnich, ich kunsztem rządzenia i utrzymywania równowagi w życiu ogromnego kraju. Te groźne momenty występują szczególnie wyraźnie dziś, gdy przed Stanami Zjednoczonymi stanęły zadania w skali ogólnoświatowej.

Ameryka jest ciągle w połowie swej drogi i ciągle jest na rozdrożu. Ten potężny naród, który stworzył największą w dziejach organizację industrialną, pod wieloma względami żyje ciągle treściami początków wieku XIX. W żadnej innej cywilizacji industrialnej nie spotykamy takich, jak w Ameryce, kontrastów kulturalnych, społecznych czy regionalnych. Pełno tu sprzeczności niesłychanie specyficznych, dla Europejczyka niezrozumiałych, pełno krzyżujących się a jeszcze nie skrystalizowanych dążeń, pełno dopiero rozpoczynających się procesów. Wielka dynamika i wielka skostniałość idą w parze tworząc zdumiewającą dla obserwatora całość.

Ale do tego dołączają się pewne, za granicą mało znane, cechy społeczeństwa amerykańskiego. Wbrew temu, co się ogólnie przypuszcza, Amerykanie są narodem bardzo zdyscyplinowanym i wyjątkowo patriotycznym. Jest to bezspornie jeden z najbardziej patriotycznych narodów na świecie. Duma z tego, że się jest Amerykaninem, kult amerykanizmu, przywiązanie do państwa i do jego symbolów — oto cechy, które uderzają każdego obserwatora życia amerykańskiego. Ten patriotyzm często jest bezkrytyczny, często sięga dalej niżby to leżało w interesie narodu. Kult Konstytucji, mit doskonałości instytucji amerykańskich — to ważne przeszkody na drodze postępu, przeszkody tamujące wprowadzenie niejednej reformy. Ten patriotyzm jest wspólny wszystkim grupom etnicznym, z których powstał (i wciąż powstaje) naród amerykański. W wojnie ostatniej Berlin srodze się rozczarował licząc na odśrodkowe tendencje wśród Amerykanów pochodzenia niemieckiego. Wypadków nielojalności wśród nich była ilość znikoma. I nawet pariasi narodu amerykańskiego — Murzyni — są szczerzy w swym patriotycznym oddaniu się sprawie gwiaździstego sztandaru.

Te cechy narodowe ułatwiają rządzenie Ameryką. One to sprawiają, że nawet w okresach największego upadku autorytetu władz centralnych aparat państwowy idzie, wykonuje swe funkcje (choć źle!), znajduje dla swych zarządzeń posłuch w masach społeczeństwa.

W obrębie jednak tego narodu — w swym patriotyzmie bardzo zwartego i jednolitego — toczy się walka bardzo dramatyczna. Znalazła ona swe pierwsze sformułowanie w prezydenturze Roosevelta i w New Dealu. Jest to walka o rozwiązanie wielkiego dylematu — przeszłość czy przyszłość, Ameryka wieku XIX czy Ameryka wieku XXI. Walka ta jest ciągle jeszcze w swym stadium początkowym. A od jej wyników zależeć będzie przyszłość nie tylko samej Ameryki ale i reszty świata. W tej chwili trudno jest przesądzać, jakie będą najbliższe etapy tej wielkiej rozprawy.

Bez wątpienia, dużo zależeć będzie od rozwoju wypadków na scenie międzynarodowej. Ale decydujące znaczenie będzie miało to, co nastąpi w samej Ameryce. W tej chwili w dalszym ciągu można tu mówić o prosperity. Ale już dziś, gdy w przemyśle panuje boom powojenny i bezrobocia prawie że nie ma, można zauważyć groźne oznaki, zapowiadające nadejście ciężkich dni. Błędy administracji, akcja zaczepna Big Businessu powalenie przez Kongres programu, z którym w momencie swej inauguracji wystąpił Truman, brak śmiałej wizji w zakresie wewnętrznej polityki gospodarczej — wszystko to jest zapowiedzią nadchodzącego kry-

zysu. Większość obserwatorów życia amerykańskiego jest zgodna w przewidywaniu, że około roku 1950 czeka Stany Zjednoczone kryzys gospodarczy groźniejszy od tego, jaki wybuchł w roku 1929. Nie ulega wątpliwości, że kryzys taki będzie musiał mieć kolosalne konsekwencje polityczne.

Znane są konsekwencje kryzysu roku 1929. Jednym z jego następstw — poza Ameryką — było dojście do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera. Sama jednak Ameryka wyszła z tego kryzysu raczej obronną ręką. W osobie Roosevelta znalazła ona człowieka, który potrafił skupić dokoła swego programu szerokie masy społeczeństwa, który mówiąc, że nie należy się lękać niczego z wyjątkiem samego lęku, potrafił dać im nadzieję i poprowadzić po drodze modernizowania społeczno-gospodarczej struktury Stanów Zjednoczonych. Czy przyszły kryzys, którego prawdopodobieństwo jest tak wielkie, przyniesie nowego Roosevelta, czy też zrodzi jakiś amerykański odpowiednik dyktatury faszystowskiej — na to w tej chwili odpowiedzieć nie można.

New York, w czerwcu 1946 r.

**Aleksander Hertz.**

**Włodzimierz Missiuro**

# O fizjologii człowieka pracy*)

W obliczu niezwykłych wysiłków i przeżyć ludzkich niejednokrotnie zadajemy sobie pytanie, jak daleko sięgają granice wytrzymałości fizycznej i psychicznej człowieka? Pytanie to może zresztą nasunąć się i w mniej wyjątkowych okolicznościach, a mianowicie: przy bardziej uważnej obserwacji nieustającego procesu przystosowywania się naszego organizmu do nowych i często wręcz ujemnych wpływów cywilizacji technicznej. Ta zdolność do przetrwania, nie zważając na najbardziej gwałtowne wstrząsy wojenne lub radykalne przemiany społeczno-ekonomiczne tkwi w biologicznym czynniku natury ludzkiej. Jest on nadal niezbadaną zagadką, o ile chodzi o nieograniczone, wydawałoby się własności dostosowywania się człowieka do nowych warunków bytu, przejawy wytrzymałości i możliwość zadziwiających wyczynów wysiłku indywidualnego.

Omawiane przejawy są powszednim zjawiskiem, o ile idzie o odruchową mobilizację wysiłku dla celów zachowawczych, np. w chwilach niebezpieczeństwa i obrony. Obok tych podstawowych odruchów, zabezpieczających życie organizmu, mamy niemniej liczne przykłady niezwykłych wyczynów woli i pracy, które podyktowane są bodźcami natury ideologicznej lub społecznej. Owa możliwość doraźnego wyzyskania potencjalnych zasobów ustroju, zdolność do zrywu, kiedy ofiarność oraz cel lub treść twórczego wysiłku przesłania znużenie, znieczula ból i pozwala zapominać o jedzeniu i wypoczynku, stanowią cechę szczytowego rozwoju funkcji adaptacji. Ta zdolność odpowiedzi na doraźne potrzeby maksymalnego czynu, często dużym kosztem fizjologicznym, który „spłaca się" dopiero później, stanowi niezaprzeczalną wyższość żywego ustroju nad funkcjonowaniem najwymyślniejszych maszyn, stworzonych przez człowieka.

Przeżywany obecnie okres odbudowy powojennej i przekształceń społecznych sprzyja atmosferze ofiarności indywidualnej oraz wybuchom en-

*) Z materiałów przygotowywanej do druku książki „Zagadnienia znużenia".

tuzjazmu zbiorowego. W zakładaniu fundamentów lepszego jutra jesteśmy świadkami takiego wyścigu pracy, który byłby nie do pomyślenia w warunkach wczorajszego przymusu i wyzysku pracy.

Należy zaznaczyć jednak, że nawet w najbardziej sprzyjających warunkach dla takich rekordów wysiłkowych, mogą one być częstym przekroczeniem tych możliwości fizjologicznych, które decydują o zachowaniu zdrowia. Brak należytej kontroli i organizacji wysiłku, prowadząc do krótkotrwałego wyładowania żywiołowych sił twórczych, może być więc szczególnie niebezpieczny wobec obniżonej przez wojnę tężyzny naszej ludności.

Bardziej niż kiedykolwiek zatem musimy zabezpieczyć się przed możliwością niepostrzeżonego wkroczenia na porządek dzienny czynnika rabunkowej gospodarki żywą siłą — tym istotnym bogactwem kraju. Zadanie o tyle złożone, że nie możemy jednocześnie zapominać o palących potrzebach utrzymania szczytowego poziomu wydajności produkcyjnej.

Postulaty racjonalizacji pracy oraz poszukiwania dróg do podniesienia jej wydajności, posiadające tak szczególne znaczenie w naszych warunkach, nie są bynajmniej zagadnieniem wyłącznie dnia dzisiejszego. Stają się one nakazem rzeczywistości już od dawna, równolegle do wzrostu specjalizacji i wymagań pracy zawodowej oraz rozbudowy przemysłu.

Konieczność głębszego wglądu w dynamikę fizjologiczną ustroju, w jego możliwości wyrównawcze w nie zawsze sprzyjających warunkach czynności zawodowej, staje się szczególnie aktualna wobec narastającego świata mechanizacji pracy.

Rewolucjonizując od podstaw warunki bytu zdobycze postępu technicznego wyprzedzają, niestety, o wiele powolniejszy rozwój adaptacji do nich natury ludzkiej. Wysuwając coraz to nowe tereny pracy roszerzają one jednocześnie znaczenie indywidualnych cech przydatności do tego lub innego zawodu. Wprowadzenie i rozbudowa przemysłu maszynowego zdążając do udoskonalenia wytworu i wzrostu produkcji masowej łączy się jednak z niedostatecznym lub też często opóźnionym uwzględnieniem głównego czynnika pracy — człowieka. Przewrót w organizacji przemysłu i systemów pracy, dokonany przez postęp produkcji maszynowej, nie ograniczył się do obniżenia znaczenia żywej siły. Nasunął on niebezpieczeństwo podporządkowania robotnika rygorystycznym wymaganiom i biegowi procesu produkcji zmechanizowanej. Obok uszczuplenia zakresu inicjatywy i ograniczenia znaczenia zatrudnionego do roli izolowanego kółka w złożonym aparacie produkcji, takie zautomatyzowanie pracy „żywych maszyn", sprzęgniętych z biegiem motorów martwych, stało się nowym czynnikiem, który bynajmniej nie sprzyjał funkcjonowaniu i rozwojowi osobowości ludzkiej. Te nowe wpływy cywilizacji technicznej musiały siłą faktu zwrócić baczniejszą uwagę na konieczność uwzględnienia i dostosowania natury psychofizjologicznej zatrudnionego, do warunków produkcji masowej.

Uświadomienie całego znaczenia umiejętności posługiwania się władzami ciała ludzkiego oraz poszukiwania fizjologicznych norm pracy nie jest bynajmniej zasługą ostatnich czasów. Zagadnienie to jest poprzez

stulecia przedmiotem rozważań oraz dociekań badawczych każdorazowo, kiedy na porządek dzienny wyłania się kwestia wydajności i racjonalizacji pracy ludzkiej.

Już Galileusz w studiach swych nad pracą „żywych maszyn“ zajmuje się zagadnieniem zastosowania niektórych praw mechaniki do ustrojów żyjących. Podkreśla również występowanie w organizmach ludzkich i zwierzęcych czynnika znużenia jako zjawiska niespotykanego w przyrodzie martwej. W wieku XVII spotykamy coraz liczniejsze próby wejrzenia w procesy i prawa pracy.

De la Hire (1666) ustala związek pomiędzy ciężarem robotnika i jego siłą. Amontons (1708) próbuje obliczyć wydajność pracy na dobę. Bardzo trafne uwagi o zależności pomiędzy znużeniem a żywotnością ras wypowiada Montesquieu w swych „Rozważaniach o przyczynach wielkości i upadku Rzymian“.

Każdy epokowy wstrząs społeczny staje się nowym bodźcem do zwrócenia uwagi na procesy pracy i jej koszt fizjologiczny oraz na konieczność odnośnych reform. A więc w r. 1799 wybitny fizyk Coulomb przedkłada rewolucyjnemu rządowi Francji projekt zbadania warunków pracy przedstawicieli najcięższych zawodów, celem zmniejszenia szkodliwości tych ostatnich. Poglądy Coulomba podziela szereg innych współczesnych badaczy, mimo to jednak wysuwane przez nich hasła racjonalizacji pracy i zapobiegania jej ujemnym wpływom nie wykraczają poza ramy rozważań teoretycznych z powodu niedostatecznych w owych czasach wiadomości o biologii człowieka.

Problem znużenia i racjonalizacji pracy, przybierający z biegiem czasu na znaczeniu, znajduje coraz realniejsze podstawy dopiero w miarę późniejszego zwiększania się dorobku wiedzy w zakresie nauk przyrodniczych, fizjologii człowieka i medycyny. Do badań zjawisk wysiłku i wydajności pracy zmusza jednocześnie nagromadzający się materiał obserwacyjny w zakresie zwiększenia ilości chorób zawodowych, wzrostu wypadkowości i zniekształceń, powodowanych pracą. Badania przyczyny wypadków w przemyśle dostarczyły dowodów doniosłości należytego uwzględnienia właściwości organizmu ludzkiego w pracy. Pomijając szereg momentów natury technicznej, zależnych od wadliwie zorganizowanego warsztatu, niedostatecznego wyszkolenia, braku skutecznych urządzeń ochronnych, nieuregulowania przerw wypoczynkowych itd., stwierdzono, że przeważająca ilość uszkodzeń zdrowia i wypadków wynika z nieliczenia się z indywidualnymi cechami uzdolnień, wydajności i znużalności robotnika.

Kierunki naukowej organizacji pracy, wysunięte przez idee tayloryzmu, dostarczyły dalszych dowodów konieczności wejrzenia w prawa wysiłku i znużalność maszyny żywej. Ustalony przez Taylora „najlepszy sposób wykonywania pracy“ opierał się na należytym doborze robotnika do poszczególnych czynności, studiach i racjonalizacji ruchów, dostosowaniu narzędzi pracy, organizacji należytego dozoru oraz zwiększeniu współdziałania pomiędzy robotnikami i kierownictwem. Niestety jednak te drogi Taylora i jego szkoły do wypracowania norm najwydatniejszej pracy wychodząc z rygorystycznych norm, przewidzianych dla każdego ruchu

i każdego członka zespołu, prowadziły do nadmiernej standardyzacji procesów pracy nie wnikając w psychikę robotnika. „Taylor wykrył wszystkie drogi, które prowadziły do powiększenia wydajności pracy, lecz geniusz jego zatrzymał się jakby u progu nowego świata, którego znaczenia zdaje się nie doceniał: świata sił duchowych, ukrytych w duszy robotnika, potęgi nieskończonych pobudek wewnętrznych, którym nie można z zewnątrz rozkazywać inaczej, jak dając im wolność". Toteż brutalne w swym zbyt mechanistycznym ujęciu i często opacznym zrozumieniu pierwotne postacie tych systemów organizacyjnych musiały wywołać energiczną reakcję w kierunku ich humanizacji.

Zagadnienia fizjologii i fizjopatologii znużenia i wysiłku, roztrząsane dotąd na drodze eksperymentu laboratoryjnego, przybierają charakter badań stosowanych. Zakres zainteresowań badaczy tej dziedziny rozszerza się coraz bardziej w kierunku poszukiwań fizjologicznych kryteriów organizacji pracy, ustalenia wytycznych do zapobiegania jej ewentualnym wpływom ujemnym oraz stworzenia podstaw dla higieny zawodowej i ustawodawstwa pracy. Czynniki kierownicze wielkiego przemysłu, a nawet właściciele poszczególnych warsztatów okazują wzrastające poparcie wnioskom organizacji i badania procesów pracy. Lody pierwszej nieufności zostały przełamane tym szybciej, iż uświadomiono sobie realne korzyści płynące z zastosowania wytycznych pochodzących z laboratoriów badawczych. Niestety, efekt wysiłku naukowego wyzyskiwano często bardziej dla intensyfikacji pracy i wzrostu oszczędności kosztów własnych produkcji, aniżeli dla wytworzenia znośniejszych warunków pracy i bytu robotnika. Zrozumiała więc nieufność robotników do tych poczynań badawczych ustępowała bardzo powoli, dopiero wówczas gdy przekonywano się, że celem tych studiów naukowych było dążenie do jak najlepszego dostosowania warunków pracy do potrzeb życia osobnika, nie zaś poświęcenie tego ostatniego potrzebom zawodu lub produkcji.

Żywiołowego rozwoju treści i metodologii doznaje fizjologia pracy już podczas pierwszej wojny światowej. Przed omawianą gałęzią wiedzy stosowanej postawiono wówczas do rozwiązania szereg pytań natury praktycznej, wynikających między innymi z konieczności maksymalnej produkcji w przemyśle wojennym. Próby zadośćuczynienia potrzebom obrony kraju i wyrównania skutków strat ludzkich przez znaczne przedłużenie dnia pracy okazały się zawodne. Przeciwnie, wywołano obniżenie produkcji oraz szybsze zużywanie się sił robotniczych. Dopiero zastosowanie zaleceń w wyniku badań komisji najwbitniejszych fizjologów angielskich pozwoliło wyrównać szkody, wywołane tego rodzaju rabunkową gospodarką elementem ludzkim podnosząc jednocześnie wydajność produkcji do pożądanego poziomu.

Skromna początkowo liczba warsztatów naukowych poświęconych fizjologii pracy, wzrasta odtąd szybko, tym bardziej, że oprócz placówek uniwersyteckich, powstaje szereg specjalnych instytutów, niejednokrotnie subwencjonowanych przez przemysł. Do najbardziej aktywnych placówek tego rodzaju należał Kaiser-Wilhelm Institut für Arbeitsphysiologie w Dortmundzie, francuski Institut Lannelonge, zakład Fizjologii Pracy w Paryżu, angielskie laboratoria badania pracy, podporządkowane

Industrial Fatigue Research Board, Fatigue Laboratory Uniwersytetu Harwardzkiego w Bostonie, Centralny Instytut Pracy, Instytut im. Obucha w Moskwie, Instytut Medycyny Pracy w Charkowie oraz inne placówki i katedry uniwersyteckie w krajach uprzemysłowionych. W Polsce sprawę utworzenia pierwszej katedry fizjologii pracy, wysuniętą dopiero w r. 1933 przez Uniwersytet Warszawski, przerwała wojna.

Przedstawiony rzut na szlaki kształtowania się fizjologii pracy podkreśla daleko idącą zależność jej treści i metod od programowych zagadnień, które zmieniają się zależnie od struktury społecznej i warunków materialnych. Główne zadanie — ustalenie optymalnych warunków fizjologicznych dla zachowania równowagi biologicznego cyklu: praca — znużenie — wypoczynek — nabiera zasadniczo innego znaczenia zależnie od podejścia do człowieka w pracy i jej roli w życiu społeczności. Najbardziej skrupulatne poznawanie dynamiki czynnościowej człowieka pracującego pozostanie jednokierunkowe i często we wnioskach zawodne, o ile nie uwzględni się organicznej więzi żywej jednostki z jej rodzimym środowiskiem. Fizjologia poszczególnych form wysiłku lub znużenia, zgłębiana wyłącznie z punktu widzenia eksperymentu laboratoryjnego, w oderwaniu od zmiennych oddziaływań bieżącego życia, pozostaje w wielu przypadkach czystą teorią. Stajemy niejednokrotnie wobec przejawów nieprzewidzianych przez ustalone kryteria fizjologiczne. Te odchylenia i niespodzianki w obserwowanych zjawiskach fizjologicznych są dowodem, że utożsamianie pracy „maszyny żywej" z aktywnością osobnika tylko powiększa trudności na naszej drodze poznawania człowieka jako „istoty nieznanej".

Przeniesienie konkretnych zdobyczy wiedzy o człowieku na teren realnego życia wymaga zatem, celem uświadomienia znaczenia przejawów reagowania żywej istoty, wzięcia pod uwagę wszystkich czynników składających się na jej rozwój, warunki bytu i całość tzw. klimatu społeczno-ekonomicznego. Błędem byłoby ujmowanie funkcjonalnych zmian osobnika pracującego w standardowe normy, niezależne od jego przeżyć wewnętrznych, ustosunkowania się do swej pracy oraz wpływów życia zbiorowości ludzkiej.

Powszechnie wiadomo np., że praca wymuszona, a więc rzadko też wzbudzająca emocjonalne zainteresowanie jej końcowym wynikiem, praca nie dla siebie, względnie pozbawiona przekonywującej racji społeczno-ideologicznej, taka praca przyśpiesza i potęguje znużenie. Z drugiej strony pobudzający wpływ stanów emocjonalnych, zainteresowania lub ofiarności jest często punktem wyjścia rekordów woli i pracy. Gotowość do maksymalnego wysiłku, jako odruchowa reakcja świadomości jego doraźnej potrzeby lub też jako przejaw entuzjazmu zbiorowego, wyzwala dodatkowe bodźce oraz zmienia bieg mechanizmów fizjologicznych. Stąd też konieczność bardziej czujnego wglądu i należytej elastyczności w interpretacji stwierdzanych w różnorodnych warunkach pracy zmian funkcjonalnych.

Podobnie przy badaniu zjawisk znużenia utajonego i przewlekłego oraz przyczyn je wywołujących, obok cech konstytucji biologicznej, wadliwie zorganizowanej pracy lub ewentualnych szkodliwości zawodu, musimy się liczyć z całokształtem czynników natury ekonomicznej i społecznej. Momentami, podrywającymi pełnowartościową wydajność i odpor-

ność znużeniową robotnika, mogą być np. złe warunki mieszkaniowe, braki materialne i troski rodzinne, niedostateczne lub nieracjonalne żywienie, monotonia godzin spędzanych po pracy itp. W zgłębieniu przyczyn ciągłości napięcia i zużycia się nerwowego nie możemy zatem ominąć wpływów stosunków społeczno-ekonomicznych. Wiemy jak dalece zakłócają normalną atmosferę bytu i pracy kontrasty zabezpieczenia materialnego poszczególnych warstw społecznych wraz z rażącymi możliwościami korzystania z bogactw cywilizacyjnych i kulturalnych. Dopiero przy wzięciu pod uwagę tych wszystkich czynników oraz przy zerwaniu z mechanistyczną koncepcją „żywej maszyny" możemy bliżej poznać fizjologiczne stany człowieka pracującego.

Nie chcę przez to powiedzieć, by podstawowe prawa fizjologiczne u jednostki wprzęgniętej w niewolniczą pracę, różniły się od tych, których oczekiwać możemy u człowieka wolnego. Niewątpliwie jednak, że energetyczny i nerwowy koszt tego samego wysiłku może okazać w przytoczonych przypadkach znaczne różnice. Pełna świadomość zabezpieczenia i sprawiedliwości społecznej łącznie z odciążeniem codziennych trosk i niepokoju przez unormowanie zarobku, uświadomienie bezpieczeństwa pracy, zapewnienie jest stałości, jak również ubezpieczenia każdego rodzaju utraty zdolności zarobkowej — są to czynniki, które mogą odgrywać rolę bodźców, rozszerzających możliwości wydajności i wytrzymałości ludzkiej.

Obejmując szeroki program badania złożonych zagadnień wysiłku ludzkiego, wydajności, treningu i znużenia, ogólna fizjologia pracy jako nauka teoretyczna staje się więc podstawą wiedzy stosowanej, która ma służyć należytej gospodarce siłami i zdrowiem pracującego. Dostarcza ona wytycznych do racjonalizacji pracy oraz uzgadnia normy wydajności produkcji z potrzebą zachowania optymalnego stanu zdrowotności i pożyteczności społecznej osobnika.

Zarówno przy ustaleniu wytycznych dla poradnictwa zawodowego, należytego doboru do tej lub innej czynności wytwórczej, racjonalizacji treningu technicznego, jak i bezpośrednio przy normowaniu rytmu i obciążenia w pracy, stajemy wobec konieczności brania pod uwagę właściwości funkcjonalnych organizmu.

Pomijając całe znaczenie momentów natury społeczno-ideologicznej, powyższe względy fizjologiczne i psychologiczne są ostatecznie tym czynnikiem, który często decyduje o czasie trwania dnia roboczego, wprowadzaniu i organizacji bardziej skutecznej formy wypoczynku oraz o ustalaniu przepisów prawodawstwa ochrony pracy. Zgłębiając zjawiska znużenia i mechanizmy wyrównawcze organizmu, możemy zapobiec niepotrzebnemu znużeniu ostremu oraz usunąć niebezpieczeństwo jego utajonych form przewlekłych.

Przy konstrukcji nowych maszyn, lub wprowadzeniu nowych odmian procesów wytwórczych dostosowujemy je przecież do właściwości głównego pierwiastka produkcji — człowieka. Na ekspertyzie fizjologicznej opieramy cały zespół naszych środków zapobiegania wypadkom w pracy, zwalczania wzrastającego wpływu jej monotonii w produkcji masowej, szkodliwego działania wibracyj i hałasu, oraz ustalamy współczynnik bezpieczeństwa w działaniu czynników fizycznych i chemicznych pracy, jak

nadmierne wahania ciśnienia barometrycznego, wpływy zbyt wysokiej lub niskiej temperatury, lub niezwykłej wilgotności otoczenia, zbyt intensywnego ruchu powietrza, działanie czynników promieniotwórczych, toksycznych wpływów surowca lub wytworu itd. By nie dopuścić do uszkodzeń i przedwczesnego obniżenia zdolności do pracy, musimy dokładnie poznać i czuwać nad działalnością złożonego, ale jakże pięknie zbudowanego motoru, jakim jest organizm ludzki.

O ile sprawę gospodarki kapitałem ludzkim w Polsce przedwojennej pozostawiono biegowi wypadków o tyle teraz, w okresie przebudowy społecznej, a szczególnie wobec dotkliwych strat tego kapitału, nie możemy zwlekać z mobilizacją wszystkiego, by wydajną siłę naszego kraju pomnożyć. Wyzwalając człowieka spod przymusu pracy na korzyść innego osobnika, należy w tym okresie utrwalania przemian społecznych nie zapominać o fizjologicznych prawach organizacji pracy, o potrzebie osiągnięcia takiego wzrostu wydajności indywidualnej i zbiorowej, który mógłby zapewnić odbudowę kraju bez uszczuplenia tężyzny i szczęśliwości pracującego.

To dążenie do wzrostu wydajności pracy, jako jeden z podstawowych czynników wzrostu produkcji i zmiejszenia jej kosztów własnych, jest w chwili obecnej jednym z programowych zagadnień organizacji przemysłu. Nie ma jednocześnie w szeregach pracujących chyba nikogo, kto by nie uświadamiał sobie, że podniesienie dochodowości produkcji jest nieodzownym warunkiem odrodzenia naszego życia gospodarczego, prowadzi do wzbogacenia się nie prywatnego przedsiębiorcy, lecz całego kraju. W planowej akcji zapewnienia rentowności przemysłu, obok wysuwanych na czoło zagadnień amortyzacji maszyn, ograniczenia postojów technicznych, jakości i racjonalnego zużycia surowca, sprawa racjonalizacji pracy robotnika pozostawia dotąd wiele do życzenia. Ustalenie zdrowych podstaw gospodarki żywą siłą produkcji może być wynikiem wyłącznie sprzężenia wysiłku techników i administratorów przemysłu z doświadczeniem eksperta psycho-fizjologicznej natury ludzkiej. Praca inżyniera, opiekującego się życiem maszyn, powinna być skoordynowana z działalnością fizjologa i lekarza fabrycznego, czuwających nad wydolnością i zdrowiem robotnika. Tego rodzaju uzgodniona akcia nie może zresztą liczyć na całkowite powodzenie bez obudzenia żywego zainteresowania i ścisłej współpracy z samym robotnikiem, nie dawnym ślepym niewolnikiem maszyny, lecz jej świadomym kierowcą.

Włodzimierz Missiuro

# Kronika kulturalno-oświatowa

*
* *

## REFORMA SZKÓŁ WYŻSZYCH

Potrzeba wykształcenia w możliwie krótkim czasie rzesz inteligencji pracującej zawodowo, w związku ze zmienionymi warunkami polityczno-gospodarczymi, stworzyła konieczność reformy studiów wyższych, których programy okazały się w większości wypadków przestarzałe i nie dostosowane do wymagań życia współczesnego. Zarówno konferencja w Ministerstwie Sprawiedliwości, która zgromadziła ekspertów z dziedziny prawa, jak posiedzenie Rady Naukowej zgodnie ustaliły konieczność reformy oraz jej zasady. Winna ona iść w kierunku wprowadzenia nowych przedmiotów wykładowych, szczególnie z dziedziny nauk filozoficznych, jako teoretycznej podbudowy prawa, oraz przeprowadzenia specjalizacji w ramach studiów, celem zapewnienia krajowi szerokich kadr fachowców z różnych dziedzin.

Podobnie obradowała nad reformą studiów inżynierskich Sekcja Politechniczna Rady Naukowej. Prace jej w pierwszym rzędzie zmierzały do ustalenia specjalności na poszczególnych wydziałach szkół politechnicznych w zależności od potrzeb współczesnego życia gospodarczego, dalej w wyniku potrzeby szerokich kadr fachowców na czoło zagadnień wysunęło się takie ukształtowanie programów, zarówno wyższych szkół inżynierskich jak i akademickich szkół politechnicznych, które umożliwiłoby szybkie wykształcenie potrzebnych gospodarczo szeregów inżynierów, przy pozostawieniu równoczesnym większej ilości lat studiów dla inżynierów chcących pracować naukowo.

W związku z tym szeroko opracowywany był projekt ujednolicenia programu studiów 3-letnich wyższych szkół inżynierskich (np. Wawelberga — w Warszawie) z programem 3 pierwszych lat politechniki, z tym, że 2 względnie 3 lata następne studiów w politechnice poświęcone byłyby pracy naukowej. Tak przeprowadzona reforma miałaby jeszcze jedno znaczenie. Umożliwiając ze względu na identyczny program nauczania przejście ze szkoły wyższej do szkoły akademickiej, wprowadziłaby w życie tak ważny dla demokratycznej szkoły postulat jej jednolitości i udostępniłaby jednocześnie zdobycie warunków pracy naukowej całej szerokiej rzeszy młodzieży uczącej się w szkołach wyższych. Ze sprawą tą pozostaje w ścisłym związku zagadnienie tytułu naukowego, przysługującego po ukończeniu danej uczelni, ściślej mówiąc sprawa używania tytułu inżyniera. Jest ona bardzo istotna. Projektowi dekretu o tytule inżyniera poświęcona była międzyministe-

rialna konferencja poszczególnych delegatów, dnia 13 czerwca b.r. Jak wiadomo, do niedawna tytuł inżyniera był tytułem naukowym niższego stopnia, absolwentom zaś wyższych szkół technicznych nadawano zawodowy tytuł technologa. W związku z projektem ujednolicenia programu szkół wyższych z pierwszymi latami studiów w szkołach politechnicznych wysunięto propozycję nadawania tytułu inżyniera absolwentom tych szkół, z tym, iż tytuł ten miałby raczej charakter zawodowy, tytuł zaś naukowy (ewentualnie mgr nauk technicznych), otrzymywaliby absolwenci politechnik, którzy poświęciliby się pracy naukowej. Wprowadzenie tytułu inżyniera dla absolwentów szkół technicznych zwiększyłoby jednocześnie ilość ich studentów, co ma niemałe znaczenie dla państwa.

Jednocześnie dyskutowany był projekt nadawania tytułu inżyniera osobom, które nie mają wprawdzie dostatecznych studiów, ale długoletnią praktykę w danym zawodzie i po ewentualnym odbytym kursie teoretycznym (w wyższej uczelni) oraz po przedstawieniu dokładnych sprawozdań z przebiegu pracy, w pełni zasłużyliby na zrównanie ich z inżynierami, absolwentami odpowiednich szkół. Sprawa nadawania tytułu inżyniera-praktyka niestety wciąż jeszcze natrafia na duże trudności.

W pewnym związku z wyżej przytoczonymi projektami reform studiów pozostaje też kwestia łącząca się z uregulowaniem ustawy o wykonywaniu praktyk zawodowych osób, które posiadają dyplomy zagraniczne. Szczególnie dotyczy to lekarzy i stomatologów. Dotąd, jak wiemy, obowiązywała konieczność nostryfikacji dyplomów. Obecnie zdecydowało już Ministerstwo Zdrowia, że lekarze zagraniczni mają prawo wykonywania praktyki w kraju, chodzi tylko jeszcze o uznanie ich stopnia naukowego oraz o umożliwienie przez Rady Wydziałowe wyższych uczelni pracy naukowej chętnym i zdolnym absolwentom zagranicznych uczelni. Poczyniono już w tym kierunku pierwsze kroki.

## KONFERENCJA PSYCHOLOGÓW

W dniach 17 — 19 czerwca b. r. obradowała w Warszawie Ogólnopolska Konferencja Psychologów zwołana przez Ministerstwo Oświaty przy współudziale Komisji Psychologicznej Zarządu Głównego ZNP, która zgromadziła około 90 osób. Poza oficjalnymi przedstawicielami władz szkolnych i ZNP obecnych było 72 profesorów, doktorów i magistrów psychologii.

Konferencja poświęcona była zagadnieniu znaczenia psychologii jako nauki w życiu odradzającego się szkolnictwa polskiego. Zasadniczy referat prof. Baleya o zadaniach psychologii stosowanej w Polsce w chwili obecnej roztoczył szerokie perspektywy pracy psychologa w różnych działach życia narodowego, przede wszystkim na polu wychowania. Z innych problemów wysunięto poruszoną już na konferencji majowej profesorów psychologii w Krakowie potrzebę reaktywowania Polskiego Tow. Psychologicznego, oraz ponowiono projekt osobnego magisterium z psychologii, opartej na solidniejszych podstawach przyrodniczych i socjologicznych.

Z projektów nad którymi dyskutowano, wysunął się na czoło jeden — mianowicie stworzenie Państwowego Instytutu Psychologicznego w Warszawie. Ma on ożywiać i koordynować wszelkie poczynania psychologii praktycznej przez tworzenie Okręgowych Komisji Opieki Psychologicznej. Nad stroną naukową Instytutu czuwałaby Rada Naukowa złożona z profesorów uniwersytetu oraz innych wybitnych specjalistów.

Z wniosków uchwalonych jednogłośnie wysunęła Konferencja sprawę organizacji powszechnej opieki psychologicznej nad dziećmi opuszczonymi i sierotami w zakładach wychowawczych, konieczność właściwej selekcji lekarskiej i psychologicznej dzieci upośledzonych fizycznie lub psychicznie celem zapewnienia odpowiedniego poziomu szkolnictwa powszechnego i rozbudowy zakładów oraz szkół specjalnych, wreszcie dążenie do postawienia na odpowiednim poziomie zagadnienia poradnictwa zawodowego, mającego podstawowe znaczenie przy tworzeniu sieci zróżniczkowanego szkolnictwa zawodowego.

## NOWY PRZEDMIOT NAUCZANIA W SZKOŁACH

Nowy program nauki w szkołach przewiduje wprowadzenie do VIII klasy szkoły podstawowej jako przedmiotu nauczania nauki o Polsce i świecie współczesnym. Obejmie ona pewne minimum wiedzy ekonomicznej, socjologicznej, prawno-ustrojowej, koniecznej dla zrozumienia problematyki współczesności. Nowy przedmiot winien obok wiedzy ścisłej ugruntować świadomość narodową i przywiązanie do polskiej kultury i jej postępowych tradycji, uświadomić ścisłą łączność interesów i celów wszystkich demokratycznych wspólnot narodowo-państwowych świata, oraz pogłębić pozytywny stosunek do pracy, jako jedynego źródła bogactw, do uspołecznionej organizacji procesów wytwórczych i do twórczej myśli naukowej.

Ponieważ wprowadzenie tego przedmiotu w szkole wymaga od nauczyciela dużej wielostronności i rozległej wiedzy, przeto wyłania się potrzeba napisania dlań odpowiedniego podręcznika, zawierającego wszechstronne opracowanie materiału z poszczególnych zagadnień programu. Realizację tego zadania powierzono grupie specjalistów-naukowców, przeważnie profesorów uniwersytetu.

## WAKACYJNE KURSY DLA NAUCZYCIELI

Ministerstwo Oświaty organizuje centralne kursy wakacyjne dla nauczycieli celem ułatwienia im realizowania nowych programów ze wszystkich przedmiotów nauczania. Prelegentami na kursach będą siły naukowe oraz pedagogiczne, słuchacze zaś rekrutować się będą spośród najwybitniejszych czynnych i wykwalifikowanych nauczycieli i instruktorów ognisk metodycznych. Największą chyba liczebnością cieszyć się będzie zorganizowany w Sopocie 3-tygodniowy kurs języka angielskiego i francuskiego z udziałem 500 nauczycieli oraz prelegentów zagranicznych, przybywających z inicjatywy uczelni francuskich i angielskich. Kurs obejmie wykłady ogólne z dziedziny kulturoznawczej, metodyczne i praktyczne.

## PRACA OŚWIATOWA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Przyłączenie do Polski Ziem Odzyskanych nakłada równocześnie na nasze państwo duże obowiązki kulturalno-oświatowe. Prace w tej dziedzinie winny zmierzać w dwóch kierunkach. Jednym będzie akcja oświatowo-repolonizacyjna na tych ziemiach, mająca na celu rozbudzać w ich autochtonach polskiego ducha narodowego, drugi niemniej ważny odcinek — to popularyzacja wiedzy o Ziemiach Odzyskanych, związanych z nimi problemów historycznych, etnologicznych, geograficznych i gospodarczych. Istnieje

w Polsce obecnie cały szereg instytucji spełniających każde z tych zadań. Na Ziemiach Odzyskanych powstało kilka instytutów, których zadaniem jest naukowe opracowanie zagadnień związanych z tymi ziemiami. W chwili obecnej jest ich 6, najważniejsze to mazurski, bałtycki, zachodni i śląski. Każdy ma swój własny plan wydawniczy, częściowo już realizowany. Niedawno odbyła się konferencja w Poznaniu, której celem było skoordynowanie i uzgodnienie akcji wydawnictw na Ziemiach Odzyskanych.

Działalność kulturalno-oświatową podjęła też Książnica - Atlas, w formie zorganizowanej ostatnio akcji odczytowo-wydawniczej, mającej na celu pomoc miejscowym pracownikom oświatowym w spełnieniu ciążących na nich w chwili obecnej zadań. Planowana akcja ma mieć inny charakter niż prowadzone jednocześnie przez instytuty prace wydawnicze. Chodzi bowiem o to, aby na Ziemiach Zachodnich stworzyć typ nie tylko popularyzatora wiedzy o nich, ale zarazem czynnego uczestnika koniecznej i pilnej pracy nad pogłębianiem i poszerzaniem polskiego dorobku naukowego w tym zakresie.

Akcja Książnicy - Atlas przewiduje więc szereg wydawnictw opracowanych przez wybitnych fachowców, podających między innymi szkic najważniejszych zadań, które czekają naukę polską w tej dziedzinie, dalej serię odczytów, wygłoszonych przez naukowców, profesorów uniwersytetów, dotyczących geografii, biologii, górnictwa, przemysłu Ziem Zachodnich oraz ich kultury i literatury, związku historycznego z Polską, obrazu dialektycznego, toponomastyki, wreszcie historii języka, etnologii i prehistorii. Odczyty połączone będą z dyskusją, co umożliwi rzeszom nauczycieli i oświatowców nawiązanie bezpośredniego kontaktu z przedstawicielami nauki.

## WSPÓŁPRACA KULTURALNA Z FRANCJĄ ZACIEŚNIA SIĘ

Wróciła z Paryża ekipa polskich profesorów, którą złożyła rewizytę uczonym francuskim bawiącym w Polsce we wrześniu ub. roku. Pobyt naukowców polskich we Francji zacieśnił mocniej rozwijające się (dzięki zresztą dużej aktywności polskiej placówki dyplomatycznej i kulturalnej w Paryżu) więzy współpracy na polu naukowym, wykazał, że atmosfera francuska tworzy bardzo głębokie podstawy do kooperacji naukowej obu zaprzyjaźnionych narodów. Doceniając ogrom potężnych zniszczeń kulturalnych oraz strat, których doznała Polska w wyniku wojny w stopniu znacznie większym niż Francja, wystąpili Francuzi z inicjatywą pomocy kulturalnej Polsce. W pierwszym rzędzie zmierza do tego szeroko zakrojona akcja stypendialna rządu francuskiego, obejmująca studentów wyższych uczelni w Polsce oraz młodych naukowców, którym otwiera możliwości uzupełnienia studiów we Francji, szczególnie w zakresie tych przedmiotów i kierunków, których poziom w kraju jest jeszcze niedostateczny.

W ramach pomocy kulturalnej zaofiarowali Francuzi Polsce pewną ilość dzieł naukowych oraz zapewnili stałą przesyłkę czasopism francuskich, nie tylko dla profesorów indywidualnie, ale dla poszczególnych uczelni. Już z początkiem bieżącego roku akademickiego zorganizowana została przez p. Joliot-Curie zbiórka książek dla bibliotek szkół akademickich, obecnie akcja ta przybierze rozmiary znacznie szersze.

W wyniku wizyty naukowców polskich w Paryżu dochodzi do skutku umowa kulturalna polsko - francuska, która ma zapoczątkować wzajemną wymianę profesorów i naukowców na katedrach, uznanie dyplomów, oraz przyczynić się do powstania francuskiego Instytutu Naukowego w Polsce i polskiego we Francji. W ramach współpracy naukowej część naszych profesorów kontynuować będzie rozpoczęte przed wojną badania

naukowe wspólnie z profesorami francuskimi, część naszych uczonych zamieści swe prace i artykuły naukowe w wydawnictwach i czasopismach francuskich.

Zaznaczyć wypada, iż w dużej mierze do rozwoju nauki polskiej we Francji przyczynia się działalność na tamtym terenie Polskiej Akademii Umiejętności, która od dawna stanowi placówkę badawczą dla spraw polskich i mimo okupacji i wojny nie przerwała swej pracy, głównie dzięki temu, iż udało się przechować zbiory oraz bogatą bibliotekę.

Także i w dziedzinie szkolnictwa średniego wystąpiła Francja z inicjatywą pomocy Polsce. W ramach upowszechnienia nauki języka obcego w szkołach Polski, podjęto we Francji pod kierunkiem prof. Bruneau z udziałem polskich pedagogów akcję wyboru i skompletowania materiału tekstowego i ilustracyjnego, obrazującego życie Francji w latach wojny i okupacji, jak też współcześnie w okresie rekonstrukcji i przebudowy. Od Francji wyszła też propozycja wysłania do Polski od jesieni b. r. co najmniej 2 romanistów jako wykładowców języka i literatury na wydziale neofilologicznym zakładanych obecnie Instytutów Pedagogicznych w Krakowie i Łodzi.

## WYCIECZKA NAUKOWA DO DANII.

Z inicjatywy Sekcji Pomocy Kulturalnej Polsce przy duńskim Czerwonym Krzyżu zorganizowany został wyjazd studentów oraz profesorów i asystentów wyższych uczelni w Polsce na 2 miesiące wakacyjne do Kopenhagi. Studenci wydziałów lekarskich, chemicznych oraz politechnik, których wyposażenia uległy zupełnemu zniszczeniu w wyniku okupacji i wojny uzyskali sposobność korzystania z laboratoriów i pracowni duńskich, większość zaś profesorów — możność ukończenia prac naukowych rozpoczętych przed wojną.

## KONFERENCJA W CHICAGO.

W maju b. r. miała miejsce konferencja w Chicago zwołana przez „Institute of International Education", której tematem było zagadnienie studentów obcokrajowców na uniwersytetach amerykańskich. W konferencji brali udział dziekani administratorzy „foreign student advisers" wyższych uczelni amerykańskich oraz referenci do spraw kulturalnych przy poselstwach i ambasadach obcych, znajdujących się w Stanach Zjednoczonych. Reprezentanci różnych krajów przedstawili na szeroką skalę zakrojony program kształcenia młodzieży akademickiej w Stanach Zjednoczonych.

Ambasadę R. P. reprezentowała na tej konferencji ob. Helena Bilińska. Przedstawiła ona potrzeby odbudowy nauki polskiej, wynikające z wielkich strat wojennych, konieczność uzyskania licznych stypendiów dla naszej młodzieży na uczelniach amerykańskich, oraz chęć kontynuowania kontaktów kulturalnych ze Stanami Zjednoczonymi. Wspomniała również o 15 stypendiach, które nasz Rząd ofiarowuje młodzieży amerykańskiej dla studiów nad językiem, kulturą oraz zagadnieniami społecznymi w Polsce dzisiejszej. Konferencja powzięła cały szereg rezolucji, które wyrażają gotowość przyjęcia licznych rzesz studentów obcych bez względu na narodowość, rasę i wyznanie.

**Janina Żurawicka**

## Kronika prawnicza

# Nowe prawo rodzinne

Wielkie dzieło unifikacji prawa w Polsce dobiega końca.

Świadomość konieczności zerwania z dzielnicowym ustawodawstwem zaborczym była żywa i powszechna już w dobie odzyskania niepodległości po pierwszej wojnie światowej; przed utworzoną wówczas Komisją Kodyfikacyjną R.P. wyłoniło się zadanie opracowania jednolitych przepisów na terenie Polski. Tempo prac Komisji Kodyfikacyjnej było jednak nader powolne. Przez 20 lat swej działalności zdołała ona zunifikować, jeśli chodzi o prawo cywilne, tylko jeden jego dział, a mianowicie Kodeks Zobowiązań. Obecnie, po Odrodzeniu Polski, Ministerstwo Sprawiedliwości uznało sprawę unifikacji za zagadnienie pierwszoplanowe, gdyż poza koniecznością ujednostajnienia przepisów prawnych, nasuwała się także pilna potrzeba przekształcenia prawa po linii postępu, po linii tych przeobrażeń społeczno-gospodarczych, jakie nastąpiły, zapoczątkowane historycznym Manifestem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Ogłoszone już zostały w Dzienniku Ustaw: prawo małżeńskie, prawo o aktach stanu cywilnego, osobowe, rodzinne, opiekuńcze i majątkowe małżeńskie; prace nad prawem spadkowym i rzeczowym znajdują się w stadium końcowym. W ten sposób dokonana została w krótkim okresie czasu olbrzymia praca, której skutki odbiją się nie tylko na rozwoju prawa, ale na całym życiu państwowym polskim. Dla prawnika unifikacja oznacza: jednolite studia prawne w całej Polsce, zerwanie z różnorakim językiem prawniczym po-pruskim, po-austriackim, po-rosyjskim, który często uniemożliwiał porozumienie między prawnikami z różnych dzielnic, uniknięcie różnych trudności teoretycznych i praktycznych, nasuwających się w związku ze stosowaniem tzw. prawa międzydzielnicowego, odłożenie na półki biblioteczne kodeksów byłych państw zaborczych, aby tam powoli pokrył je pył zapomnienia. Dla ogółu zaś unifikacja prawa oznacza ostateczne zatarcie granic między dzielnicami Polski, modelowanie jednakowej psychiki prawnej, opartej o twórczą myśl polską.

Spośród ogłoszonych już dekretów zajmiemy się w dzisiejszej kronice nowym prawem rodzinnym (Dz. U.R.P. nr. 6, poz. 52 z 1946 r.).

Za najbardziej istotne zagadnienia, jakie wymagały rozwiązania przez twórców nowego prawa należy uznać: określenie treści pojęcia rodziny i zakresu wpływu państwa

na sprawy rodzinne, stosunki między członkami rodziny, sprawę rodziny pozamałżeńskiej.

1. Rodzina jest pojęciem tak dawnym, jak dawną jest cywilizacja ludzka, różną jednak treść zawierało ono na przestrzeni dziejów. Pomijając na poły tylko historyczne czasy matriarchatu, z dostępnych dla nas źródeł okresu starożytności możemy wnioskować, że rodzina była instytucją prywatną, w której panem życia i śmierci był ojciec. Państwo zapewne próbowało interweniować niekiedy w stosunki rodzinne zwłaszcza tam, gdzie zachodziła sprzeczność interesów (np. zabijanie potomstwa przez ojca mogło iść wbrew interesom populacji danej grupy), jednakże próby tego rodzaju musiały być uważane za zamach na święte prawa rodziny. Chrześcijaństwo nadało małżeństwu i opartej o nie rodzinie charakter instytucji religijnej i jakkolwiek wpłynęło równocześnie na złagodzenie obyczajów, to jednak nie dopuszczało odpowiedzialności prawnej ojca rodziny za niewypełnienie swych obowiązków. Węzły rodzinne, bardzo silne obyczajowo i religijnie w całym okresie średniowiecza i u progu czasów nowożytnych, nie znały czynnika nadrzędnego w postaci państwa. Syn był winien posłuszeństwo ojcu, a później dopiero swemu królowi czy władcy. Zbyt silna władza rodzicielska musiała kolidować z rosnącą w epoce nowożytnej władzą królewską, walka jednak była trudna, gdyż rodzina czerpała źródło swej mocy w uznawanych powszechnie pierwiastkach religijnych.

Wielka Rewolucja Francuska ze swą Deklaracją Praw Człowieka rzuciła nową treść w skostniałą instytucję rodziny. Kodeksy, powstałe pod jej wpływem nadając świecki charakter samemu małżeństwu, stanowiącemu zawiązek rodziny, zeświecczyły także pojęcie praw i obowiązków rodzinnych. Rodzina wedle pojęć skrystalizowanych w XIX wieku stanowi komórkę społeczną i znajduje się pod ochroną państwa. Nie jest już ona ani prywatną własnością ojca, ani instytucją sakralną wywodzącą się z praw boskich. Linia ewolucyjna jest tu przejrzysta, jednakże nie przeprowadzona konsekwentnie do końca, tradycyjne bowiem ujęcie spraw rodzinnych jako tabu, przed którym prawo i państwo cofa się z szacunkiem zaciążyło na tej nowej konstrukcji. Stąd też rodzina zachowuje ciągle dużą autonomię (ale już nie suwerenność) i prawo wkracza tylko w przypadku jaskrawych naruszeń. W Polsce, gdzie obowiązywały do dnia 1 lipca b.r. dzielnicowe ustawodawstwa zaborcze, rodzina opierała się silnie na tej właśnie autonomii władzy ojcowskiej. Państwo miało wprawdzie ubocznie wgląd na sposób wychowania i kształcenia nowego pokolenia poprzez szkołę, na życie jednak rodzinne nie wywierało wpływu, chyba że nastąpiło tak jaskrawe pogwałcenie przepisów prawnych, że musiały one skutkować odpowiedzialność karną.

Zapytać teraz należy jak wygląda treść pojęcia rodziny w naszym nowym prawie rodzinnym. Zgodnie z właściwą każdemu ustawodawcy ostrożnością oraz w myśl zasady, że omnis definitio periculosa est, prawo nasze nie określa nigdzie pojęcia rodziny, jednakże da się ono wydedukować z szeregu przepisów dekretu, a nadto na podstawie tez społeczno-politycznych, opracowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości, a stanowiących sui generis motywy ustawodawcze. Zasadnicza myśl wyrażona jest w art. 20 § 3, który stanowi: „Obowiązkiem rodziców jest sprawować władzę rodzicielską tak, jak tego wymaga dobro dzieci i interes społeczeństwa". W tym ujęciu widzimy zakończenie cyklu ewolucyjnych przemian w odniesieniu do rodziny. Od zasady wyłącznego interesu ojca rodziny, dla którego dzieci stanowiły przedmiot absolutnej władzy, poprzez stopniowe uznanie interesu dziecka, dochodzimy do koncepcji rodziny, podporządkowanej interesowi społecznemu. Omawiany przepis nie jest

to tylko frazes ustawodawczy, naruszenie jego może skutkować sankcje różnego rodzaju, jak to wynika z przepisów art. 40 — 45 dekretu, w szczególności zawieszenie i odebranie władzy rodzicielskiej. Daleko sięgająca ingerencja państwa działa poprzez swój organ, władzę opiekuńczą, którą jest sąd grodzki. Ta władza decyduje czy i o ile nastąpiło naruszenie obowiązku wobec dziecka, względnie wobec społeczeństwa. Ustawodawca nasz nie zawahał się wprowadzić czynnik państwowy jako kontrolujący rodzinę w tych nawet przypadkach, gdy oboje rodzice żyją i władza rodzicielska funkcjonuje. Daleko to odbiega od autonomii rodziny, wspomnieć bowiem trzeba, że według dotychczasowych ustawodawstw czynnik państwowy (opiekuńczy) mógł być dopuszczony jedynie wówczas, gdy władza rodzicielska przestała istnieć, a więc normalnie gdy dziecko zostawało sierotą*).

2. Drugie zagadnienie, które narzuca się w prawie rodzinnym, to sprawa stosunków między członkami rodziny. Należy tu odróżnić z jednej strony wzajemny stosunek między ojcem i matką i granice wpływów każdego z rodziców na sprawy rodzinne, z drugiej zaś zakres samej władzy rodzicielskiej czyli prawa i obowiązki wobec dzieci.

Stosunki między mężem a żoną podlegają obecnie odmiennemu zespołowi przepisów, a mianowicie prawu małżeńskiemu, jednakże w początkowej fazie rozwoju granica ta nie była widoczna, władza ojca rozciągała się zarówno na dzieci jak na ich matkę. Stąd też w starożytności istniało prawo męża do karcenia żony, zabijania jej nawet, sprzedawania itp. Rzecz charakterystyczna, że w Grecji i w Rzymie tylko kobiety, żyjące poza rodziną, hetery poświęcone wolnej miłości, nie podlegały władzy mężczyzny.

W stosunku do dzieci władza ojca była początkowo nieograniczona. W Rzymie w prawie XII tablic czytamy: „ojciec ma prawo życia i śmierci nad synem i córką". Chrześcijaństwo wpłynęło dodatnio na poczucie solidarności w rodzinie, wzmocniło węzły przywiązania, napiętnowało jako grzech nadużywanie władzy rodzicielskiej przez ojca, jednakże nie wprowadziło zasadniczych zmian do struktury rodziny, która w dalszym ciągu opierała się na władzy ojcowskiej. Tylko drogą faktu, stopniowo pewna część władzy przechodziła do matki, która w sprawach dotyczących gospodarstwa domowego i wychowania małych dzieci miała często głos stanowczy. Obowiązek jednak posłuszeństwa, narzucony żonie wobec męża przez przepisy religijne, odbijał się ujemnie na jej ogólnym stanowisku w rodzinie, znajdował swój wyraz również w stosunku do dzieci. Interesy dzieci były reprezentowane przez ojca, on wyłącznie sprawował władzę rodzicielską tak, iż w przypadku jego śmierci, zachodziła konieczność ustanowienia opieki nad dziećmi, mimo iż matka pozostała przy życiu.

W podobny sposób ukształtował się stan prawny w Polsce przed wejściem w życie nowego prawa rodzinnego. Ojciec sprawował władzę rodzicielską, on występował

*) Jakkolwiek zagadnienie organizacji władzy opiekuńczej wkracza już w inny zespół przepisów prawnych, (prawo opiekuńcze) to jednak warto w tym miejscu nadmienić, że oparcie władzy opiekuńczej na czynniku ściśle zawodowym, jakim jest sędzia grodzki, nie wydaje się szczęśliwym rozwiązaniem ze strony naszego ustawodawcy. Ingerencja państwa w dziedzinę spraw rodzinnych winna być w przyszłości zastąpiona przez kontrolę społeczną, tej „kropki nad i" nie postawił ustawodawca, jakkolwiek słusznie podporządkował rodzinę interesowi społecznemu. Omawiane zagadnienie winno być rozwiązane bądź przez zespolenie czynnika państwowego, z czynnikiem społecznym, mającym głos stanowczy, bądź nawet przez całkowite wyeliminowanie czynnika państwowego. W związku z zamierzonym wprowadzeniem w Polsce instytucji sędziów obywatelskich (wybieranych przez rady narodowe i sprawujących swe funkcje honorowo), należy się zastanowić, czy nie byliby oni najbardziej powołani do wykonywania kontroli nad sprawami rodzinnymi.

w imieniu dzieci we wszystkich czynnościach prawnych i procesowych, według jego miejsca zamieszkania oceniać należało miejsce zamieszkania dzieci, ojciec był przede wszystkim obowiązany do utrzymywania dzieci, co znajdowało wyraz także w ustawach administracyjnych i uposażeniowych (ojcu np. w zasadzie przysługiwał dodatek rodzinny dla dzieci, choćby małżonkowie faktycznie rozeszli się i dzieci były na utrzymaniu matki) ogólnie mówiąc preponderacja ojca w rodzinie widoczna była w każdej sferze stosunków prawnych.

Nowe prawo rodzinne, zgodnie z motywami ustawodawczymi, realizuje naczelną zasadę, że „ojciec i matka mają jednakowe prawa i obowiązki w stosunku do swych dzieci". W myśl art. 20 dekretu małżonkowie sprawują wspólnie władzę rodzicielską. W ten sposób ostatnia, dosłownie, przeszkoda stojąca na drodze do całkowitego równouprawnienia kobiety z mężczyzną, została usunięta. Rzecz bowiem ciekawa, że ograniczenia w prawach kobiet utrzymywały się najdłużej na odcinku prawa familijnego (małżeńskiego i rodzinnego). Już dawno kobiety uzyskały prawa polityczne, wyborcze, dostęp do wszelkich zawodów, a jeszcze nienaruszona była stara zasada, że gdy kobieta była mężatką, majątek jej podlegał zarządowi męża i bez jego asystencji nie mogła dokonywać żadnych czynności prawnych, dotyczących tego majątku. Kobieta posłanka, inżynier, adwokat, nie była z mocy prawa opiekunką swych dzieci, (chyba, że były to dzieci nieślubne) i w przypadku śmierci ojca, sąd wyznaczał jej opiekuna. Konserwatyzm w dziedzinie stosunków familijnych był trudniejszy do przełamania niż w dziedzinie politycznej. Zjawisko to nader charakterystyczne i można by poświęcić mu ciekawe studium socjologiczne. Tymczasem jednak padła i ta ostatnia zapora, matce oficjalnie zostały przyznane te same uprawnienia w stosunku do dzieci jak i ojcu. Oczywista, nasuwa się tu zaraz pytanie, jakie będą konsekwencje, wobec równości praw, niezgodności pomiędzy wolą matki i ojca, gdy chodzi o sprawy tak podstawowe, jak kierunek wychowania i wykształcenie dziecka. Na pytanie to odpowiada art. 20 § 2 dekretu o prawie rodzinnym: w razie niezgodności rodziców rozstrzyga władza opiekuńcza. W ten sposób, ubocznie niejako, państwo zapewniło sobie jeszcze jeden rodzaj wglądu w życie rodzinne; władza opiekuńcza, sąd, poweźmie ważkie decyzje co do losu dzieci. Należy się spodziewać, że w drobnych sprawach rodzice dojdą do porozumienia i nie będą sądowi zaprzątać czasu zagadnieniem czy np. jedynaczkę swą posłać na wakacje na kolonie harcerskie, czy do rodziny na wieś. Dekret, co prawda, nie stawia tamy, aby i tego rodzaju spory rodzinne znalazły się przed forum sądowym (wbrew pierwotnemu projektowi, który przewidywał, że w sprawach drobnych przeważa wola ojca), można jednak przypuszczać, że samo zagrożenie zwrócenia się o decyzję do sądu w większości wypadków skłoni do ustępstw jedną lub drugą stronę. Zasada całkowitego równouprawnienia ojca i matki w jednym tylko przepisie została naruszona: dziecko z małżeństwa nosi nazwisko ojca. Ponieważ żonie prawo małżeńskie pozostawiło możność używania swego nazwiska rodowego obok nazwiska męża, byłby bardziej konsekwentny przepis pozwalający rodzicom na wybór dla dziecka jednego z tych nazwisk. Ustawodawca jednak pragnął widocznie nie stwarzać na tym tle podstawy do sporów między rodzicami.

Należy teraz postawić pytanie, jaka jest granica praw i obowiązków rodziców nie między sobą, a w stosunku do dzieci. Rodzice obowiązani są utrzymywać dziecko aż do czasu uzyskania przez nie możności samodzielnego utrzymania się (art. 18), wychować je i wykształcić je odpowiednio do swej możności z uwzględnieniem fizycznych i duchowych właściwości i skłonności dziecka (art. 24), oraz dać wyposażenie w razie

zawarcia związku małżeńskiego lub założenia własnego gospodarstwa (art. 19 — zaznaczyć warto, że ten ostatni obowiązek jest tylko moralny, nie można dochodzić go na drodze sądowej), wreszcie obowiązani są alimentować dzieci, już po uzyskaniu przez nie samodzielności, jeżeli nie mają one dostatecznych środków utrzymania.

Katalog obowiązków długi, prawa rodziców natomiast wyglądają w tym zestawieniu dość skromnie. Daleka to droga od pierwszej fazy stosunków rodzinnych, w których ojciec miał tylko nieograniczone prawa bez żadnych obowiązków. Prawo rodziców to przede wszystkim prawo do żądania utrzymania od dzieci, jeśli rodzice nie mają dostatecznych środków. Póki zaś dziecko znajduje się pod władzą rodzicielską, rodzice mają jedno, dość przykre prawo, a mianowicie prawo karcenia dziecka, jednak „bez szkody dla jego zdrowia fizycznego lub moralnego i w granicach wskazanych celem wychowania".

Odbiegliśmy od prawa XII tablic, wedle którego ojciec był panem życia i śmierci swych dzieci, jednakże wątpić można, czy utrzymanie prawa karcenia fizycznego, nawet w ograniczonym zakresie, jest na miejscu w nowożytnym prawie rodzinnym. W każdym razie redakcja omawianego przepisu razi niemiło nasuwając skojarzenie z rózgami i dyscypliną.

3. Prawo rodzinne musiało także rozstrzygnąć bardzo ważne zagadnienie stosunków rodzinnych pozamałżeńskich. Jakkolwiek prawo nasze uznaje małżeństwo za podstawę rodziny i jakkolwiek zdrowe stosunki społeczne wymagałyby likwidacji nielegalnych związków, to jednak trzeba się liczyć z rzeczywistością, która stwarza często syfunkcję stosunków pozamałżeńskich.

Starożytność patrzyła na te stosunki pobłażliwie, a nawet z aprobatą. Wspomnieliśmy już, że hetery cieszyły się szacunkiem współczesnych, dbano o ich wychowanie i wykształcenie znacznie więcej niż o matrony żyjące w związkach rodzinnych. Również potomstwo z tych związków, jeżeli się zdarzało, nie było narażone na ograniczenia i upośledzenia społeczne ani prawne. Okres chrześcijaństwa pod tym względem ujemnie odbił się na dalszej ewolucji. W ślad za kultem czystości, piętnowaniem stosunków pozamałżeńskich jako grzechu, chrześcijaństwo doprowadziło do drakońskich praw wymierzonych przeciwko wiarołomnym żonom i matkom nieślubnym. To surowe stanowisko musiało także odbić się niekorzystnie na losie dzieci pozamałżeńskich, jakkolwiek humanitaryzm chrześcijański winien był — przeciwnie — otoczyć te niewinne stworzenia najdalej idącą opieką. W rzeczywistości społecznej dzieci nieślubne dzieliły hańbę swej matki, to stanowisko obyczajowo religijne znalazło w rezultacie zwierciadło w przepisach prawnych. Istotnie poprzez wszystkie ustawodawstwa przewija się nie troska o dobro dziecka, lecz chęć osłonięcia mężczyzny, będącego ojcem tego dziecka. Dopiero koniec XIX i początek XX wieku przynosi tu i ówdzie poprawę losu dzieci nieślubnych.

W Polsce sytuacja prawna dzieci nieślubnych na terenie poszczególnych ustawodawstw była odmienna. Sytuacja ta zależała od rozstrzygnięcia podstawowych zagadnień, czy dozwolone jest poszukiwanie ojcostwa na drodze sądowej oraz jaki jest stosunek dziecka do matki i jej rodziny z jednej strony, a ojca z drugiej strony. Zagadnienia te znalazły najmniej korzystne rozwiązanie na terenie Polski środkowej, ale także i w pozostałych dzielnicach ochrona interesów dziecka nie posunęła się ponad przyznanie mu alimentów od ojca, z wyłączeniem praw spadkowych. Nowe prawo rodzinne przy ocenie stosunków pozamałżeńskich bierze przede wszystkim pod uwagę interes dziecka. Stosunki pozamałżeńskie same przez się, o ile ich owocem nie było

dziecko, nie wytwarzają żadnych zobowiązań natury prawnej. W szczególności nasze prawo małżeńskie nie zna w zasadzie odszkodowania za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, wiemy, że np. prawo anglosaskie roszczenia takie dopuszcza, co staje się przyczyną licznych procesów, niejednokrotnie gorszących, opartych na szantażu lub też wywołanych chęcią reklamy. Również odrzuca nasze prawo pojęcie konkubinatu, tak szeroko rozbudowane w orzecznictwie francuskim i nie wiąże z tą instytucją żadnych skutków prawnych. Jeżeli jednak następstwem stosunku pozamałżeńskiego stało się dziecko, sytuacja ulega radykalnej zmianie. Macierzyństwo pociąga za sobą skutki prawne w stosunku do matki, a przede wszystkim w stosunku do dziecka. Matka może domagać się zwrotu kosztów porodu oraz trzymiesięcznego utrzymania, sąd może jej także przyznać zwrot innych wydatków, nadto zaś w razie przyrzeczenia małżeństwa, może być matce przyznana „stosowna suma pieniężna jako zadośćuczynienie za krzywdę moralną" (art. 54). Ten ostatni przywilej wydawać by mógł się anachronizmem w dobie całkowitego usamodzielnienia się kobiety. Został on jednak podyktowany realizmem i szczerą troską o interesy kobiety.

Jeżeli chodzi o stanowisko prawne dziecka pozamałżeńskiego, prawo nasze przewiduje przypadki, gdy jest ono całkowicie zrównane z dzieckiem z małżeństwa (są to mianowicie przypadki uznania przez ojca, uprawnienia przez następnie zawarte małżeństwo oraz zrównania z dzieckiem z małżeństwa postanowieniem władzy opiekuńczej). Takie dziecko pod względem nazwiska, praw spadkowych, wejścia do rodziny i wszelkich innych zagadnień jest traktowane na równi z dzieckiem z małżeństwa. W ten sposób prawo nasze stawia wielki krok naprzód na drodze do zerwania z upośledzeniem dzieci nieślubnych. Jednakże ustawodawca zawahał się przed nadaniem takich samych uprawnień dziecku, którego ojcostwo zostało ustalone w drodze sądowej. Prawo rodzinne dopuszcza wprawdzie poszukiwanie ojcostwa, jednakże orzeczenie sądowe nie ma takich skutków, jak dobrowolne uznanie przez ojca. Dziecko nieuznane wchodzi całkowicie tylko do rodziny matki, ojciec ma obowiązek utrzymywania go a nadto sąd na wniosek dziecka nadaje mu nazwisko ojca. Nie ma natomiast dziecko praw spadkowych po ojcu ani po jego rodzinie. Kwestia, czy można dziecko nieuznane przez ojca zrównać całkowicie z dzieckiem z małżeństwa, budziła od dawna poważne spory. Zwolennicy całkowitego zrównania dziecka pozamałżeńskiego z małżeńskim mogli zawsze powołać się na ważki argument, że dziecko nie może ponosić konsekwencji postępowania swego ojca, od którego dobrej woli zależy czy zechce dziecko uznać za swoje. Przeciwnicy natomiast twierdzili, że sądowe ustalenie ojcostwa nie może zastąpić dobrowolnego uznania, bowiem zawsze możliwa jest w tym względzie pomyłka i sąd wydając orzeczenie opiera się raczej na domniemaniu ojcostwa aniżeli na pewności. Stanowisko to wydaje się uzasadnione zwłaszcza tam, gdzie ustawa nie dopuszcza exceptio plirium concubentium, tj. zarzutu, że w okresie poczęcia dziecka matka obcowała z kilkoma mężczyznami. Jednakże powyższy argument nie może nas całkowicie przekonać, albowiem i w małżeństwie ojcostwo opiera się głównie na domniemaniu (pater est quem nuptiae demonstrant).

Jeżeli nasze prawo nie poszło po linii zrównania dziecka nieuznanego z dzieckiem z małżeństwa, to odegrały tu rolę zarówno momenty natury zasadniczej, jak i wzgląd na praktyczny oddźwięk jaki przepisy te znajdą w judykaturze sądowej. Prawo nasze uznaje za podstawę związków rodzinnych małżeństwo i dopuszcza odchylenia od tej zasady tam, gdzie związek pozamałżeński nie jest przelotny, a zbliża się do instytucji małżeństwa. Stąd wynika konsekwentnie, że późniejsze zawarcie małżeństwa uprawnia

całkowicie dzieci wcześniej zrodzone, że władza opiekuńcza może zrównać dzieci pozamałżeńskie z małżeńskimi, jeżeli rodzice pozostawali w faktycznej wspólnocie małżeńskiej, że wreszcie jest zrównane z dzieckiem z małżeństwa dziecko uznane przez ojca, bowiem i tu zachodzi domniemanie trwalszego związku między rodzicami. Jeżeli natomiast następuje sądowe ustalenie ojcostwa, dzieje się to najczęściej wówczas, gdy podstawą ojcostwa stał się przelotny stosunek, a prawo nasze nie pragnie uświęcenia zasady, że każdy związek fizyczny skutkuje zawiązanie węzła rodzinnego. Z drugiej strony ustawowe zrównanie dziecka, którego ojcostwo ustalone zostało sądownie, z dzieckiem z małżeństwa, może, wbrew pozorom, obrócić się przeciwko interesom tego dziecka. Zgodnie z obecnym stanem prawnym, sądowe ustalenie ojcostwa powoduje obowiązek alimentowania dziecka, przy czym obowiązek powyższy przechodzi także na spadkobierców ojca. W ten sposób interesy materialne dziecka są zabezpieczone, mimo iż dziecko do rodziny ojca nie wchodzi. Sądy na ogół rozpoznają omawiane sprawy pod kątem widzenia interesów dziecka i, jak wykazuje statystyka, wyroki oddalające powództwo są procentowo bardzo nieliczne. Ta „przychylna“ dla dziecka pozamałżeńskiego judykatura mogłaby ulec zmianie, gdyby wyrok ustalający ojcostwo był równoznaczny z wprowadzeniem dziecka do rodziny ojca. Sądy wówczas uważałyby za konieczne przeprowadzenie pewnych dowodów, że dziecko istotnie od danego ojca pochodzi a w braku tej pewności skłonne byłyby oddalać wnioski o ustalenie ojcostwa.

Powyższy pogląd, oparty na realnej ocenie stosunków społecznych, zaważył niewątpliwie również na tej koncepcji prawnej, jaka ostatecznie utrzymała się w naszym prawie rodzinnym. W każdym razie podkreślić trzeba, że prawo to na ogół poszło po linii wyraźnego polepszenia sytuacji życiowej i społecznej dziecka pozamałżeńskiego, co wyraża się m. in. w tym, że dziecko wchodzi do rodziny matki.

Na tym zamykamy przegląd najważniejszych zagadnień z zakresu nowego prawa rodzinnego. Prawo to nie wprowadza rewolucji w życie społeczne, szanuje i uznaje zdrowe pierwiastki życia rodzinnego, które w obecnym stadium ewolucyjnym ciągle jeszcze najbardziej odpowiada właciwościom psychiki człowieka i potrzebom społecznym. Wprowadzając do rodziny pojęcie interesu społecznego, ustanawiając władzę opiekuńczą, która może wkraczać w przypadkach naruszeń tego interesu, opierając rodzinę na wspólnej władzy rodzicielskiej ojca i matki, a wreszcie rozwiązując zagadnienie rodziny pozamałżeńskiej na płaszczyźnie zgodnej z interesami dziecka, a jednocześnie nie sprzeciwiającej się podstawowej przesłance, iż małżeństwo jest źródłem powstania rodziny — prawo nasze dobrze przyczynia się sprawie postępu społecznego w tej ważnej dziedzinie życia.

**Zofia Gawrońska-Wasilkowska**

# Instytucja własności według projektu prawa rzeczowego

W zeszycie 3 — 4 r.b. „Myśli Współczesnej“ w kronice prawniczej ukazał się mój artykuł pt. „Instytucja własności według projektu prawa rzeczowego“. Artykuł ten nadesłany został do Redakcji jakieś pięć miesięcy temu. W międzyczasie pierwotny projekt prawa rzeczowego w wyniku prac w Departamencie Ustawodawczym Ministerstwa Sprawiedli-

wości uległ poważnym zmianom i redakcja niektórych dyspozycji, podanych w wymienionym artykule nie jest już miarodajna. Z tego względu zachodzi potrzeba uzupełnienia poprzednich wywodów.

Nowy projekt w dalszym ciągu hołdując zasadom funkcjonalizmu społecznego na odcinku prawa własności z motywów przytoczonych w moim artykule, daje temu wyraz w następujących dyspozycjach, których redakcja odbiega od pierwotnego ujęcia.

Tak więc z jednej strony projekt stanowi, że własność jest najpełniejszym co do swej treści prawem w kategorii praw rzeczowych, gdy w art. 28 powiada „właściciel może w granicach przez ustawy określonych korzystać z rzeczy z wyłączeniem innych osób oraz rozporządzać rzeczą". Z drugiej strony projekt silnie podkreśla idee funkcji społecznej instytucji własności, funkcji, która jedynie usprawiedliwia i warunkuje powyższe uprawnienia właściciela, gdy w art. 29 w § 1 głosi: „Właściciel powinien wykonywać swe prawo zgodnie z interesem społeczno-gospodarczym. Na właścicielu nieruchomości ciąży w szczególności obowiązek korzystania z niej zgodnie z zasadami prawidłowej gospodarki". Włączenie do prawnego pojęcia własności systemu obowiązków stanowi zasadniczy zwrot w konstrukcji prawnej tej instytucji i odrywa ją radykalnie od tych koncepcji i tych ustaw, które we własności widziały jedynie nieograniczone uprawnienia właściciela o charakterze przyrodzonym, naturalnym, wyrastające poza porządek prawny.

Oczywiście, pełne zrealizowanie w normie prawnej idei funkcji społecznej wymagało poza samą dyspozycją wprowadzenia sankcji o skutkach cywilnych. Wprowadza ją tenże art. 29 w § 2, który brzmi: „Jeżeli właściciel narusza powyższy obowiązek (przewidziany w § 1 — przyp. autora) w sposób rażący, sąd na żądanie władzy wyznaczy zarządcę określając jego uprawnienia oraz warunki uchylenia zarządu".

Funkcjonalizm społeczny własności spotykamy zresztą i w innych przepisach projektu nowego prawa rzeczowego, mianowicie przy normowaniu takich stanów faktycznych, gdzie interes społeczno-gospodarczy tego wymaga. Tak więc w myśl art. 32 projektu, jakkolwiek własność nieruchomości obejmuje przestrzeń nad i pod jej powierzchnią, to jednak właściciel nie może sprzeciwiać się działaniom, dokonywanym na takiej wysokości lub w takiej głębokości, że nie zagrażają jego uzasadnionym interesom. Następnie, chociaż stosownie do art. 95 i 97 każdy współwłaściciel może żądać zniesienia współwłasności przez podział rzeczy, to jednak zgodnie z art. 97 § 2 „Podział nieruchomości nie jest dopuszczalny, jeżeli byłby sprzeczny z interesem społeczno-gospodarczym". Należy nadto podkreślić, że idea funkcji społecznej stała się powodem, jeżeli nie decydującym, to w każdym razie jednym z głównych, że projekt prawa rzeczowego dopuszcza nabycie własności rzeczy nieruchomej przez zasiedzenie (przedawnienie nabywcze, dawność) nawet przeciwko właścicielowi wpisanemu w księdze wieczystej, który jednak nieruchomości faktycznie nie posiadał. Wreszcie niewątpliwie wzgląd na interes społeczno-gospodarczy sprawił, że projekt w zasadzie nie zezwala na przeniesienie własności nieruchomości z zastrzeżeniem warunku lub terminu, ponieważ stan tymczasowości, istniejący do czasu ziszczenia się warunku lub nastąpienia terminu nie sprzyja racjonalnej gospodarce.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Powołanie się przeze mnie w poprzednim artykule (cz. VI) na francuskie koncepcje prawne instytucji własności, ujęte w tzw. „Deklaracji Praw" z marca 1946, stanowiącej część projektowanej Konstytucji francuskiej, miało na celu wykazać, jak aktualne i bliskie realizacji są tendencje funkcjonalizmu społecznego

własności w Europie powojennej. Przykład Francji o tyle jest aktualny, że właśnie tam na zasadzie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z sierpnia 1789 r. powstała koncepcja własności, jako niczym nieograniczonego, naturalnego, przyrodzonego prawa, zrealizowana następnie w Kodeksie Napoleona i tam też po raz pierwszy w doktrynie prawa cywilnego wysunięto nowe, społeczne konstrukcje własności, podważające zasady Deklaracji z 1789 r.

Seweryn Szer

## Kronika ekonomiczna

# Sytuacja przemysłu w Polsce

Gdy dziś po półtorarocznej pracy w Polsce niepodległej mówimy o naszym przemyśle, to główną troską nie jest już, jak przed kilkoma miesiącami, jak najszybsza odbudowa i uruchomienie zniszczonych działaniami wojennymi warsztatów pracy. Obecnie w hierarchii ważności wysuwa się na plan pierwszy rozbudowa przemysłów zasadniczych, będących podstawą rozwoju innych gałęzi przemysłu, pracujących dla zaspokojenia niezbędnych potrzeb ludności. Dotychczas wysiłki nasze skierowane były w celu osiągnięcia norm produkcyjnych z okresu przedwojennego, dziś już w wielu dziedzinach gospodarki idziemy znacznie dalej zgodnie z wytkniętym trzyletnim planem gospodarczym.

Zasadniczej trudności, jaka stanęła przed naszym odradzającym się przemysłem, a mianowicie brakowi podstawowych surowców zaradziliśmy przez wzmożony wywóz naszego węgla, koksu, cementu i artykułów włókienniczych w zamian za rudę żelazną, chromową, manganową, naftę, skóry, wełny, bawełnę itd.

Wydobycie węgla wyniosło w 1945 r. 21,7 milionów ton, a w pierwszych siedmiu miesiącach roku bieżącego — 25,8 milionów ton. Według czteroletniego planu produkcja węgla ma wynieść w 1946 r. 46 milionów ton, w 1947 — 63 mil. ton, w 1948 — 73 mil. ton, a w 1949 — 75 milionów ton. Przeciętna wydajność na robotniko-dniówkę wzrasta z miesiąca na miesiąc wynosząc w lipcu przeszło 1 tonę dziennie (1,006 t wobec 0,976 t w czerwcu).

W związku z planowanym wzrostem wydobycia węgla zagadnieniem wybijającym się na pierwszy plan jest eksport nadwyżek pozostały po pokryciu zapotrzebowania krajowego. Sytuacja na rynku światowym jest tym bardziej pomyślna dla Polski, że Anglia i Zachodnie Niemcy nie są w stanie pokryć zapotrzebowania europejskiego, a Stany Zjednoczone wstrzymały w lecie roku bieżącego swój wywóz węgla do Europy. Pozwoli to z łatwością zdobyć Polsce nowe rynki zbytu.

W bieżącym roku eksport węgla ma wynieść 25 milionów ton, a koksu 2,5 miliona ton. Najważniejszymi naszymi odbiorcami są ZSRR i Szwecja, poza tym eksportujemy węgiel do Norwegii, Danii, Węgier, Włoch, Jugosławii, Rumunii, Finlandii, Szwajcarii i do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Ostatnio rozpoczęliśmy wywozić węgiel do Francji.

Produktów naftowych importowaliśmy w 1945 roku tylko 32 proc. całego naszego zapotrzebowania. Obecnie dążymy do jak największego wzrostu produkcji nafty w okręgu Jasielskim oraz prowadzimy badania nad możliwościami produkcji paliw syntetycznych. Surowca tj. węgla mamy pod dostatkiem, obecnie rewindykowaliśmy maszyny z Niemiec do Oświęcimia i Blachowni, gdzie istniały zakłady wytwórcze benzyny syntetycznej. W objętym ostatnio przez administrację polską miasteczku Police pod Szczecinem znajduje się fabryka benzyny syntetycznej, która w najbliższym czasie zostanie uruchomiona. Przy przeróbce 3 milionów ton węgla rocznie będziemy otrzymywać około 600 tysięcy ton benzyny, co pokryje z nadwyżką nasze zapotrzebowanie.

W hutnictwie, pomimo wielu trudności, jak brak surowca, dewastacja urządzeń, brak wykwalifikowanych sił roboczych, możemy się poszczycić bardzo poważnymi rezultatami. W dziale produkcji cynku po uzyskaniu znacznych zasobów rudy cynkowej na terenie powiatów bytomskiego i zabrskiego z nowoczesnym aparatem wytwórczym, wywóz nasz może się poważnie zwiększyć przyczyniając się obok węgla i artykułów włókienniczych do finansowania koniecznego importu innych towarów.

W produkcji stali osiągnęliśmy już ponad 70 proc., a w wyrobach walcowanych ponad 60 proc. wytwórczości przedwojennej, co jest bardzo dużo biorąc pod uwagę fakt, że musimy się liczyć z możliwością nadwerężenia urządzeń technicznych przy zbyt dużym napięciu pracy.

Przyszłość produkcji hutniczej zależy głównie od dostatecznych dostaw wysokogatunkowych rud zza granicy. Przewidziany umową handlową przywóz rudy do września r.b. wyniesie 650 tys. ton. Wydobycie krajowe rudy żelaznej wzrasta stale. W drugim kwartale r.b. wyniosło ono 99.901 ton, podczas gdy w drugim kwartale 1945 r. wydobyto zaledwie 7.945 ton.

Stan zatrudnienia w przemyśle hutniczym w stosunku do lipca r. ub. wzrósł o blisko 80 proc. Ponieważ wzrost produkcji w ciągu roku wyniósł kilkaset procent należy stwierdzić wybitne zwiększenie się wydajności pracy.

Przemysł metalowy szczególnie w ostatnich miesiącach wykazuje ogromną prężność. W pewnych dziedzinach produkcji przekroczono już poziom wytwórczości przedwojennej. W produkcji taboru kolejowego osiągamy już 14 parowozów miesięcznie wobec 13 w okresie najlepszej koniunktury przed wojną. W wytwórczości maszyn rolniczych i obrabiarek doszliśmy do 94 proc. poziomu przedwojennego. W roku bieżącym ma się uruchomić wszystkie zakłady przemysłu metalowego i dojść do wydajności i produkcji przedwojennej. W okresie drugim do 1949 roku włącznie, przemysł metalowy ma podwoić a nawet potroić w niektórych wypadkach produkcję przedwojenną.

Imponujące wyniki przemysłu włókienniczego pozwalają nam oczekiwać, że powojenne zapotrzebowanie na artykuły włókiennicze będzie zaspokajane w coraz większym stopniu. Wzrost produkcji w tym przemyśle jest nieporównanie wyższy od wzrostu zatrudnienia, co świadczy o wielkim wzroście wydajności. W ciągu maja r.b. wzrost produkcji tkanin wełnianych wyniósł 26,2 proc. w stosunku do poprzedniego miesiąca. W przemyśle jedwabniczo-galanteryjnym zwyżka wyniosła 11,3 proc. a w konfekcyjnym — 9,6 proc. Wzrost produkcji dochodzi w niektórych działach (np. tkaniny bawełniane) do 70 proc. wytwórczości przedwojennej.

Wzmożona szczególnie w ostatnich miesiącach działalność przemysłu papierniczego wyraża się osiągnięciem w I kwartale 71,4 proc. produkcji papieru drukowego z 1938 r. Ogółem papieru produkowaliśmy w tym okresie w stosunku do 1938 r. 58,3 proc., tek-

tury zaś 31,5 proc. Stan zatrudnienia w przemyśle papierniczym wynosił w kwietniu 16.703 pracowników czyli wzrósł o 1.250 wobec poprzedniego miesiąca. Centralny Zarząd Przemysłu Papierniczego pracuje w terenie poprzez dziewięć zjednoczeń oraz sześć instytucji specjalnych. CZPP obejmuje 39 czynnych zakładów wytwórczych i 36 zakładów przetwórczych.

Przemysł drzewny w Polsce wykazuje bardzo dużą żywotność. Dotychczas powołano do życia siedem zjednoczeń okręgowych, które podlegają Centralnemu Zarządowi Przemysłu Drzewnego. Dla rozprowadzenia gotowych produktów przemysłu drzewnego tworzy się obecnie po większych miastach Centrale Handlowe. Wobec pewnych trudności zbytu na rynku krajowym przemysł drzewny nawiązał kontakty z Anglią i została zawarta umowa na dostarczenie standardowych mebli, ogólnej wartości 520 tys. funtów szterlingów, dla ludności angielskiej dotkniętej zniszczeniami wojennymi

Pierwsza umowa zagraniczna w tym przemyśle pozwala mieć nadzieję, że w krótkim czasie nasz potencjał produkcyjny będzie mógł z powodzeniem konkurować z krajami niedotkniętymi zniszczeniami wojennymi.

Oczywiście, że w przemyśle naszym istnieją jeszcze bardzo wielkie trudności, lecz intensywność ich odczuwania zmniejsza się z każdym miesiącem, a rezultaty posunięć zmierzających do usunięcia ich stają się coraz bardziej widoczne. Wzrastająca wciąż sprawność komunikacji ma zasadnicze znaczenie dla przemysłu i aparatu rozdzielczego. Ostrożnie i umiejętnie prowadzona polityka pieniężna tworzy klamrę spajającą życie gospodarcze w jedną skoordynowaną całość. Nie będąc skrępowane sztywnymi kanonami ortodoksyjnej polityki pieniężnej władze monetarne stale mają jednak na uwadze równowagę produkcji i obiegu pieniężnego w celu niedopuszczenia do nadmiernej ekspansji kredytowej i inflacji pieniężnej.

Już obecnie dają się ująć cyfrowo dobroczynne skutki ustawy z dn. 3. I. rb. o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej. Ustawa ta dała podstawy do nowego ustroju gospodarczego, w którym państwo obejmuje całą gospodarkę kluczową, inicjatywa prywatna posiada znaczne możliwości rozwoju, a pomostem między państwem i jego planem a gospodarką jednostki jest spółdzielczość obejmująca produkcję w tych przemysłach, które są związane bezpośrednio z potrzebami chłopa i robotnika.

**Janusz Jeżewski**

## Kronika francuska

# Od biologii do marksizmu*)

Zgodnie z zapowiedzią zamieszczoną w „Pensée" (Nr. 4 lipiec — sierpień — wrzesień 1945 r. str. 27), czasopismo rozpoczęło publikację szeregu wypowiedzi członków komitetu redakcyjnego, wyjaśniających dlaczego nie uważają za słuszne ograniczyć się do tradycyjnej postawy „intelektualisty", który wyznając określoną ideologię, posiadając zdecydowane sympatie polityczne i społeczne, pozostaje z dala od życia publicznego, wzdraga się przed wstąpieniem w szeregi partii. Rozpoczyna się cykl — przemówieniem, wygłoszonym jesienią ub. r. na uroczystym otwarciu drugiego roku studiów Nowego Uniwersytetu przez Marcelego Prenant profesora Sorbony, wydziału anatomii i histologii porównawczej, a jednocześnie szefa sztabu Wolnych Strzelców i Partyzantów francuskich w czasie okupacji, wywiezionego do Niemiec 1944 r., deputowanego okręgu Marny i przewodniczącego komisji oświatowej Zgromadzenia Konstytucyjnego.

„Zaprosiła mię tu do was Dyrekcja Nowego Uniwersytetu, abym wam opowiedział w ramach mojego wykładu o tym, jaki związek istnieje pomiędzy nauką a metodą marksizmu, tzw. materializmem dialektycznym. Przede wszystkim więc pragnę w jednym zdaniu streścić mój pogląd na tę sprawę, pogląd, który podzielają wszyscy świadomi i konsekwentni marksiści: materializm dialektyczny to metoda prawdziwie naukowa... By uzasadnić w pełni ten pogląd potrzeba długiej i trudnej pracy, wymagającej głębokiego znawstwa różnorodnych gałęzi wiedzy a w pierwszym rzędzie wszystkich przejawów ludzkiego działania, a więc życia ekonomicznego, społecznego i politycznego.

Podobne uzasadnienie — wykład treści zasadniczej filozofii marksizmu nie może być dziełem jednego człowieka. Może ono powstać jedynie jako rezultat pracy zbiorowej całego zespołu uczonych — specjalistów poszczególnych dziedzin wiedzy i wykwalifikowanych praktyków — działaczy społecznych. Jednym słowem rzeczą niezbędną jest instytucja naukowa, w ramach której uczeni i praktycy konfrontują wyniki swoich badań naukowych i doświadczeń — to co w ZSRR nazywa się Akademią

1) Pismo „Pensée" zorganizowało ankietę na temat udziału uczonych w codziennej walce politycznej. Podajemy poniżej, jako przyczynek do charakterystyki atmosfery intelektualnej dzisiejszej Francji, wypowiedź wybitnego biologa, profesora Sorbony — uczonego francuskiego MARCELEGO PRENANT.

Komunistyczną i co u nas — w znacznie skromniejszych rozmiarach powstało już przed wojną, jako grupa uczonych pod kierunkiem profesora Langevin, która obecnie wypracowała projekt Encyklopedii Odrodzenia Francuskiego. Tak pojęty wykład filozofii nie może być zawarty w ramach półgodzinnej pogadanki — jest on treścią całego kursu Nowego Uniwersytetu.

Ale jednocześnie ze swoim zaproszeniem koledzy moi dodali: „Możesz się ograniczyć do jednego zagadnienia: powiedz coś o życiu uczonego — marksisty. Nie brak ci przecież doświadczenia, z którego nasi towarzysze mogą wiele skorzystać". To zaproszenie pozwala mi mówić o sobie, co w każdym innym wypadku byłoby dla mnie niezwykle przykre. A więc przede wszystkim: jak to się stało, że jestem i biologiem, i marksistą? Sprzyjał temu cały szereg okoliczności, datujących się od pierwszych chwil mojego zainteresowania wiedzą. Ojciec mój był sam biologiem, a nadto człowiekiem, który uważał, niezupełnie zresztą słusznie, że jest skrajnym lewicowcem. Jeśli dodam, że znaczna część mojej rodziny składała się z robotników i rzemieślników — łatwo wam będzie zrozumieć, że byłem instynktownie prawie socjalistą.

(Gdy używam tu słowa „socjalista" rozumiem je wyłącznie w tym znaczeniu, jakie posiadało ono w latach mojej młodości).

Od 1911 roku mając lat 20 byłem już członkiem Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, a w 1913 — 14 r. sekretarzem grupy studentów-socjalistów w Paryżu.

Lecz to wszystko nie mogło mi wystarczyć. Jak zapewne wiecie, Zjednoczona Partia Socjalistyczna była rozdarta wówczas na różne zwalczające się kierunki i nie zajmowała się wcale sprawami naukowymi. Tak więc i nam studentom-socjalistom nie przychodziło nawet na myśl, że trzeba coś niecoś przeczytać, aby stać się świadomym socjalistą. Przypominam sobie, jak w roku 1914, na krótko przed jego śmiercią, złożyłem wizytę Jaurèsowi prosząc go, by zechciał wygłosić u nas odczyt. Rozmawiając ze mną Jaurès zapytał: „Co tam u was słychać w kołach studenckich, czy robicie coś?" — „Oczywiście, że robimy, odparłem, właśnie parę dni temu udało nam się dać porządną nauczkę monarchistom!" Jaurès musiał mi wtedy długo wyjaśniać o jaką robotę mu chodziło. Prawdę mówiąc nie mieliśmy w tym czasie prawie najmniejszego pojęcia o marksizmie. Oprócz „Manifestu Komunistycznego" nie znaliśmy żadnego innego dzieła Marksa i Engelsa. Szeptaliśmy między sobą z podziwem o jednym ze starszych kolegów, który nas od czasu do czasu odwiedzał: „Ten człowiek czytał cały „Kapitał".

Znaliśmy marksizm jedynie z broszur popularnych, zawierających często fałszywe poglądy. Jednym z najczęściej spotykanych wypaczeń było przedstawienie marksizmu jako teorii fatalistycznej: sama naturalna ewolucja kapitalizmu musi doprowadzić do nieuniknionego zastąpienia go przez socjalizm. Takie stanowisko nie zadowalało, zwłaszcza młodych ludzi, spragnionych działania, ludzi, którzy mieli wszelkie dane, by wzdragać się przed tego rodzaju fatalizmem. Innym znowu rodzajem wulgaryzacji marksizmu była popularyzacja zasad materializmu socjalistycznego przy zupełnym pomijaniu filozofii materialistycznej, tak jak gdyby jej w ogóle nie było. Wynikiem takiej lektury był powszechny brak uświadomienia politycznego, sentymentalizm społeczny, mający mało wspólnego z prawdziwymi poglądami socjalistycznymi.

Byłem daleki od reformizmu, ale marksizm przedstawiany w podobny sposób odstręczał mnie od siebie, tak zresztą jak i wielu moich towarzyszy. Instynkt kazał mi wybierać spośród wielu kierunków socjalistycznych te, które były najbardziej śmiałe, które wydawały mi się — słusznie lub niesłusznie — prawdziwie rewolucyjnymi. Przyznam

się, że był i nawet taki okres gdy pociągały mnie i te teorie, które rozwijał Hubert Lagardelle ten sam, który w czasach późniejszych miał stać się doradcą Mussoliniego i ministrem w gabinecie Petaina.

Ale mimo wszystko mój instynkt nie zawiódł mnie ani w roku 1917, gdy wybuchła Rewolucja w Rosji, ani też w roku 1921 w czasie kongresu w Tours. Dopiero później mógł on ustąpić gruntownej znajomości teorii marksizmu.

Poczuwam się do obowiązku, by podkreślić tu wielką rolę jaką odegrał w moim życiu Uniwersytet Robotniczy, starszy brat Uniwersytetu Nowego. Od chwili jego założenia byłem zaproszony do współpracy jako profesor biologii. Wykładałem już wtedy na Sorbonie, ale dopiero na Uniwersytecie Robotniczym zarówno w czasie wykładów, jak i dyskusji po nich następujących, okazało się, jak bardzo niedostateczne było moje przygotowanie teoretyczne; dzięki wyłącznie tradycyjnemu wykształceniu jakie otrzymałem, nie umiałem wyjaśnić tych problemów naukowych, jakie powstawały w umysłach słuchaczy mniej wykształconych niż ja, lecz wymagających dokładnego omówienia interesujących ich zagadnień, nie zadowalając się wysłuchaniem powierzchownych sformułowań. Toteż wiele nauczyłem się, wykładając do lat czterdziestych na Uniwersytecie Robotniczym. Mówiłem i pisałem już nieraz o tym, lecz niektórzy intelektualiści nie mogli mnie zrozumieć myśląc, być może, że uprawiam demagogię. Dlatego też jeszcze raz powtarzam: dopiero wykładając na Uniwersytecie Robotniczym zdobyłem wreszcie gruntowne zrozumienie tego, czym jest biologia i osiągnąłem taką znajomość tej nauki, która mię zadowala z naukowego punktu widzenia. Do osiągnięcia tej znajomości przyczyniły się w znacznej mierze studia materializmu filozoficznego Istnieje bowiem materializm filozoficzny, choć nie uznają go różni falsyfikatorzy wczorajsi i dzisiejsi. Będziecie mogli uczyć się go tutaj z dzieł Marksa i Engelsa i ich kontynuatorów Lenina i Stalina, pod nazwą materializmu dialektycznego. Wiem, że słowo „materializm" niektórym ludziom niemile dźwięczy w uchu. Na przykład Leon Blum wypowiedział się zdecydowanie przeciw niemu w pewnym swoim przemówienu, gdzie usiłował przyrządzić marksizm na swój własny sposób, co nie było pozbawione zresztą pewnej myśli politycznej. Leon Blum bowiem odrzucając materializm pragnął niewątpliwie usunąć z drogi pewne zagadnienia, wywołujące rozbieżności ideologiczne ze stronnictwem hołdującym kościołowi katolickiemu — pójść na pewne ustępstwa, bardzo delikatnej natury, wobec tej partii i wobec całego obozu klerykalnego. Zachodzi pytanie, czy Leon Blum za jednym zamachem nie odrzucił i nie sfałszował zarówno prawdy naukowej, jak i prawdy politycznej. Jestem co do tego zupełnie przekonany, a ci spośród was, którzy uważnie przestudiują to zagadnienie na Uniwersytecie, bez wątpienia podzielą moje zdanie.

Ale, wracając do naszego tematu, studia teorii marksizmu i kilka lat doświadczeń pracy pedagogicznej na Uniwersytecie złożyły się na publikację prac naukowych, jak „Biologia i marksizm", „Darwin", prac, które moim zdaniem są skromnymi lecz pozytywnymi próbami wykładu zasad materializmu dialektycznego. Samo opracowanie tych dzieł pomogło mi do ostatecznego ugruntowania własnego śwatopoglądu, w którym nie ma miejsca dla spirytualizmu.

Jednocześnie z pogłębianiem znajomości zasad materializmu dialektycznego, uczyłem się stosować tę teorię do zagadnień społecznych. Przekonywałem się dzięki temu coraz bardziej, że obecny rozwój środków produkcji wymaga zastąpienia ustroju kapitalistycznego przez ustrój socjalistyczny. Ale jednocześnie gruntowna znajomość dzieł Marksa i Engelsa przekonała mię również i o tym, że to przejście od kapitalizmu do socjalizmu

nie może być czymś automatycznym, niezależnym od woli ludzkiej, że przeciwnie nie wydostaniemy się z obecnego kryzysu inaczej, jak poprzez rewolucję skierowaną przeciw wielkim posiadaczom i przeciw państwu burżuazyjnemu i że rewolucja ta, by stać się dziełem świadomym i zorganizowanym, wymaga aktywnego udziału wszystkich ludzi, którzy są przekonani o jej konieczności.

Czy wolno komukolwiek stać na uboczu? Wiele już dyskutowano nad tym, jakie winno być stanowisko uczonego i przytaczano wiele dowodów, gdy sumienie uczonego kazało mu stać na uboczu toczącej się walki. Nie może być naszym celem ustalenie wiecznie obowiązujących zasad moralnych, jakimi winien kierować się uczony. Ale chcemy przyjąć taką postawę moralną, która posiada najwyższą wartość w obecnym okresie rewolucyjnym. Wiemy, że kapitalizm jest przeżytkiem, że winien być zastąpiony przez ustrój socjalistyczny i mamy przykład takiego ustroju w ZSRR, gdzie wrósł on głęboko w życie i gdzie wielka próba sił z jakiej wyszedł zwycięsko świadczy o poparciu, jakim go darzą masy ludowe. Wiemy z nauki marksizmu i z dotychczasowego doświadczenia, że ustrój ten prowadzi do całkowitego wyzwolenia i rozkwitu ludzkości.

Czyż nasze sumienie naukowe nie widzi tam pełnego urzeczywistnienia swoich ideałów? Właśnie dlatego brałem udział tak czynny, jak to tylko było możliwe, w walce z faszyzmem przed wojną, ponieważ faszyzm był zbrodniczą formą obrony kapitalizmu. Dlatego też w czasie wojny brałem tak czynny jak mogłem udział w walce z zaborcą i z reżimem Pétaina, gdyż ich zmowa przeciw ojczyźnie była również środkiem dla ratowania kapitalizmu. Dlatego w obecnej chwili zadecydowałem włączyć się bardziej niż kiedykolwiek w wir walki politycznej we Francji, gdyż obrona kapitalizmu przyjmuje tu formę bardziej ukrytą, ale niemniej niebezpieczną. Będąc nieprzerwanie czynnym w tej walce wierzę, że jestem wierny tym obowiązkom, które wypływają wprost, jako konsekwencja stosowania w życiu metody naukowej marksizmu.

W swojej działalności znalazłem jeszcze jedno potwierdzenie słuszności tej metody. Jest bowiem faktem, że ci, którzy ją zastosowali świadomie w życiu politycznym, prowadzili politykę najbardziej dalekowzroczną, zdecydowaną i energiczną, najbardziej korzystną dla narodu francuskiego. Można być pewnym, że ta metoda, jeśli byłaby szeroko stosowana, oszczędziłaby naszemu krajowi wielu nieszczęść i klęsk, w tej liczbie i tych, które przyniosła wojna.

Wszystko to nie może być dziełem przypadku. Tak więc metoda, która prowadzi do takich osiągnięć powinna być jak najwięcej rozwijana i rozpowszechniana.

Zasady tej metody nie różnią się od siebie, gdy zajmuje się ona fizyką, biologią czy polityką, zmienia się tylko pole jej badania. Jako biolog będę dalej starał się rozwijać metodę dialektyczną w zakresie moich skromnych możliwości i tak na przykład przygotowuję nowe wydanie „Biologii i Marksizmu" oparte nie tylko na dziełach Marksa i Engelsa lecz i na mistrzowskim wykładzie Stalina o materializmie dialektycznym, zawartym w IV rodziale „Krótkiego kursu historii WKP (b)."

Sprawiłoby mi wielką przyjemność gdyby mi się udało w ten sposób obalić kłamliwe twierdzenie Leona Bluma, według którego materializm dialektyczny nie ma prawa obywatelstwa w nauce.

Wybaczcie, że mówiłem tyle o moim doświadczeniu, zamiast mnie mogliby mówić inni uczeni: fizycy, jak Langevin czy Jolliot-Curie, biologowie, jak Jerzy Teissie lub Anglik Haldane, Amerykanin Miller, Niemiec Schaxel, psychologowie, jak Henryk Wallon, lingwiści, jak Marceli Cohen i wielu innych. Mówiąc o innych myślę tu przede

wszystkim o uczonych radzieckich, którzy złączeni z doświadczonymi praktykami wszystkich dziedzin, poprzez Akademię Komunistyczną rozwijają naukę marksizmu, którego metoda pozostaje nadal w pełni przydatną, lecz którego treść pozbawiona skostniałego dogmatyzmu ulega zmianom za każdym razem, gdy doświadczenie przynosi mu nowe osiągnięcia.

Pozostaje mi jeszcze na zakończenie życzyć wielkich osiągnięć Nowemu Uniwersytetowi. Żyjemy w wyjątkowo trudnym okresie, jest rzeczą konieczną, by wszyscy Francuzi byli uzbrojeni i to dobrze uzbrojeni, by zdobyli umiejętność właściwej oceny wszystkich nawet najbardziej skomplikowanych sytuacji i orientacji w zwalczaniu wszelkich zasadzek.

Główną bronią w tej walce jest słuszna, naukowa metoda myślenia, która zdała już próbę w praktyce — taka jest właśnie metoda marksizmu.

Nauka, którą będziecie tu poznawać nie będzie miała w sobie nic z dogmatyzmu.

Jestem głęboko przekonany, że z wiedzy, którą tu zdobędziecie, z nauki ekonomii politycznej, filozofii i innych dyscyplin wyniesiecie przeświadczenie, że ta metoda jest jedyną, która pozwoli człowiekowi panować nad zjawiskami społecznymi w chwili, gdy utwierdza już on swe panowanie w świecie zjawisk przyrody".

Marceli Prenant

## Kronika radziecka

# Z działalności Akademii Nauk ZSRR

W czerwcu ubiegłego roku obchodziła Akademia Nauk ZSRR uroczyście swe 220-lecie Dało to okazję do podsumowania jej naukowego dorobku i wkładu w ogólnoświatową skarbnicę wiedzy, jak również okazję do retrospektywnej oceny przebytej drogi.

I trzeba obiektywnie stwierdzić, że Akademia Nauk ZSRR może być dumna z swej działalności obejmującej przeszło dwa wieki.

Powstanie rosyjskiej Akademii Nauk wiąże się nierozerwalnie z imieniem Piotra Wielkiego i jego reformatorskimi zamierzeniami europeizacji, tonącej w ciemnocie i obskurantyzmie Rosji. Założona przezeń w 1725 roku Akademia potrafiła nie tylko ściągnąć w swe mury najwybitniejsze ówczesne umysły Europy, ale i stać się szybko jednym z najpoważniejszych ośrodków naukowych w owym czasie.

Przeszczepienie wiedzy europejskiej na grunt rosyjski nie było jednak tylko sztuczne — nauka znalazła w Rosji podatny grunt. Posiłkując się uczonymi zachodnio-europejskimi potrafiła ta Akademia Nauk wychować jednocześnie młode kadry własnych, rosyjskich uczonych. W wielkim samouku i genialnym myślicielu Łomonosowie znalazła Akademia nie tylko jednego z najwybitniejszych swych członków i orędowników ale jednocześnie i wielkiego prekursora nowoczesnego atomizmu, współczesnej koncepcji rozwoju, zasady zachowania energii, jak również szeregu innych genialnych myśli, którymi ten uniwersalny i niepospolity umysł potrafił zapłodnić szeregi swych następców.

Poziom naukowy Akademii niezwykle wysoki od samego zarania jej istnienia rośnie stale w ciągu lat następnych. W ciągu XIX wieku Akademia Nauk w Petersburgu może poszczycić się już uczonymi tej miary, jak matematycy Czebyszew i Ostrogradzki lub chemik Butlerow, jakkolwiek klanowy charakter Akademii i przemożny wpływ carskiej kamaryli pozostawił poza ramami Akademii ludzi takich, jak znakomity matematyk Łobaczewski, genialny chemik Mendelejew, jak wybitni biolodzy Timiriazew, Sieczonow i Miecznikow. Na przełomie zaś XIX i XX wieku zabłysły nazwiska akademików Kowalewskiego, Marra, Pawłowa, Sołowiowa i Kluczewskiego.

Okazało się, że wchodząc znacznie później od innych krajów na drogę oświecenia Rosja potrafiła nauczyć się wiele od zachodniej Europy i w dziedzinie metod badawczych tudzież dociekań naukowych w ogóle. Nie była to droga bynajmniej łatwa, jeśli zważymy zwłaszcza, że przez dwa niemal stulecia petersburska Akademia Nauk, a wraz z nią i cała rosyjska nauka rozwijała się w stęchłej atmosferze szlachecko- mieszczańskiej i pod auspicjami samowładnych i kapryśnych w swych łaskach carów. W warunkach tych, rzecz jasna, pracą naukową mogła się zajmować tylko cienka warstewka narodu, a sama praca Akademii Nauk pozostawała zawieszona niejako w powietrzu, gdyż ówczesna nauka rosyjska w wyniku panujących stosunków odrywała się od bieżących zagadnień życia.

Nowy powiew wnosi dopiero w dzieje rosyjskiej Akademii Nauk epoka Wielkiej Październikowej Rewolucji. Socjalistyczna przebudowa kraju wciąga również i rosyjską naukę w swój wartki nurt. Akademia Nauk uznana w całej pełni przez czynniki, które dokonały rewolucji, za cenne źródło wiedzy, związuje się teraz tysiącznymi nićmi z życiem i bieżącymi potrzebami kraju. Akademia Nauk przeobraża się, ale fakt ten nie tylko nie osłabia jej naukowej działalności, nie tylko nie obniża jej lotu, ale wręcz przeciwnie rozszerza znacznie zakres jej badań i zasięg możliwości.

Powstają pod egidą Akademii Nauk ZSRR wspaniałe laboratoria, obserwatoria astronomiczne, doskonale wyposażone instytuty, a sama praca Akademii nabiera niespotykanego w dziejach żadnej z instytucyj tego pokroju rozmachu.

Okres porewolucyjny przynosi wspaniałe odkrycia Kapicy, Kurnakowa, Żdanowa, biochemiczne koncepcje Bacha, prace matematyczne Winogradowa, fizjologa Orbeli (ucznia Pawłowa), językoznawcy Mieszczaninowa, kontynuującego w dalszym ciągu dzieło Marra, prace Komarowa, Wawiłowa, Bohomolca, Smirnowa oraz szereg innych osiągnięć we wszystkich niemal gałęziach wiedzy.

O ścisłym powiązaniu prac Akademii Nauk ZSRR z życiem świadczy najwymowniej fakt, że prace jej nie ustały ani na chwilę, nawet w dobie zawieruchy wojenej lat 1941 — 1945. W ostatniej wojnie z hitleryzmem Pracownicy Akademii kładą niepożyte zasługi, wielu z akademików uzyskuje zaszczytny tytuł Bohaterów Socjalistycznej Pracy. Wypracowując nowe formy i metody pracy we wszystkich dziedzinach wiedzy przyczyniają się oni walnie do mobilizacji wszystkich sił kraju do walki z najeźdźcą — jednocześnie radzieccy uczeni rozwijają, w okresie gdy wojna wre jeszcze w całej pełni, perspektywy przyszłej pracy pokojowej. Jeszcze latem 1944 roku poszczególne wydziały Akademii Nauk ZSRR przystępują do wypracowania planów prac naukowych na najbliższe lata.

Zarówno osiągnięcia jak i rozległe plany Akademii Nauk ZSRR wysuwają ją na czoło placówek naukowych świata. W badaniach swych Akademia Nauk ZSRR w całym szeregu dziedzin porzuca utarte szlaki i kroczy wielekroć zupełnie nowymi drogami osiągając znakomite rezultaty i sukcesy.

W skład Akademii Nauk wchodzą członkowie stali, którzy pracują w poszczególnych instytutach badawczych Akademii. Na czele Akademii stoi zaś prezydium oraz wybierany spośród akademików prezydent. Istnieją nadto tzw. członkowie - korespondenci Akademii Nauk ZSRR. Tytuł członka - korespondenta jest tytułem honorowym, nie zobowiązującym do prac w żadnym z instytutów Akademii. Tytuł ten uprawnia jednakże do publikowania prac w wydawnictwach Akademii, brania udziału w sesjach itp. Akademia Nauk ZSRR posiada szereg oddziałów filialnych w poszczególnych republikach związkowych, kilkadziesiąt instytutów naukowo-badawczych, doskonale wyposażone la-

boratoria, muzea, stacje sejsmiczne z centralą w Pułkowie, specjalną radę dla badania sił wytwórczych itp. Nadto Akademia Nauk ZSRR wydaje szereg czasopism i periodyków. Jako stały organ Akademii Nauk ZSRR wychodzą „Izwiestia Akademii Nauk SSSR“ tudzież „Wiestnik Akademii Nauk SSSR“. Wychodzą nadto „Dokłady Akademii Nauk SSSR“, w których pomieszcza się nie publikowane jeszcze nigdzie rezultaty naukowych dociekań. Również poszczególne instytuty Akademii wydają najrozmaitsze periodyki, jak np. „Żurnał fiziczeskoj chimii“, „Woprosy sowietskogo grażdanskogo prawa“, „Sowietskoje gosudarstwo i prawo“ itp.

Ekspedycje naukowe dokonujące się pod egidą i kierunkiem Akademii Nauk doprowadziły do szeregu nowych odkryć złóż nafty, węgla i rud, przyczyniły się też one w wysokim stopniu do poznania Arktyki. Akademia Nauk ZSRR dbając o stały dopływ nowych, wysokokwalifikowanych sił naukowych stworzyła instytucję tzw. aspirantury. Aspirantura umożliwia młodym adeptom nauki, którzy ukończyli studia wyższe, zajęcie się wyłącznie pracą naukową pod kierunkiem najwybitniejszych specjalistów. Przeprowadzana skrupulatnie selekcja i troskliwa opieka w okresie aspirantury umożliwiają odkrycie niejednego talentu, który w warunkach europejskich czy amerykańskich uległby zaprzepaszczeniu.

Akademia Nauk ZSRR dzieli się na szereg wydziałów, jak: nauk fizyczno-matematycznych, chemicznych, biologicznych, technicznych, historii i filozofii, ekonomii i prawa, literatury i języka oraz nauk geologiczno-geograficznych. Istnieją nadto przy Akademii Nauk specjalne Rady dla spraw naukowo - technicznej propagandy tudzież dla spraw redakcyjno - wydawniczych. Poszczególne wydziały powołują nadto, w miarę swych potrzeb, dla poszczególnych zagadnień odpowiednie komisje. Sesje Akademii Nauk ZSRR stanowią forum, na którym wypowiadają się najwybitniejsi specjaliści Związku Radzieckiego w sprawach nurtujących bieżącą rzeczywistość radziecką, gdyż, jak wynika wyraźnie z statutu Akademii Nauk ZSRR, podstawę jej prac stanowi planowe wykorzystanie osiągnięć naukowych dla współpracy z budową nowego bezklasowego społeczeństwa.

Wydział językoznawstwa i literatury Akademii idzie w dalszym ciągu po linii wytkniętej przez uczonego radzieckiego Marra, badania akademików radzieckich na tym odcinku są niezmiernie ciekawe i wiodą do rewelacyjnych wniosków. Podczas gdy na Zachodzie w XX stuleciu powstaje w dziedzinie lingwistyki tzw. szkoła socjologiczna, kładąca szczególny nacisk na badania porównawcze języków najrozmaitszych systemów i szukająca w ten sposób uzasadnienia dla swej tezy o istnieniu jakiegoś prajęzyka—lingwistyka radziecka, której najwybitniejszym przedstawicielem obecnie po zgonie prof. Marra jest akademik Mieszczaninow, odrzuca zdecydowanie te koncepcje i kieruje badania językowe na zupełnie nowe tory. Nauka radziecka w swoich językoznawczych dociekaniach stara się poznać prawa rozwoju języka w całej różnolitości związanych z tym zagadnień. Dzięki temu też uczonym radzieckim udało się ujawnić tworzenie się różnych jakościowo, nowych form językowych. Podczas gdy nauka zachodnio-europejska w pracach dotyczących zwłaszcza dziedziny gramatyki porównawczej obraca się zazwyczaj w ciasnym kręgu języków indo-europejskich w Związku Radzieckim szczególną uwagę, poświęca się językom tzw. jafetyckim, a więc językom kaukaskim, tiurkskim, ugro-fińskim i in. Nie znaczy to bynajmniej by zaniedbywano tu inne języki, wręcz przeciwnie, żywy oddźwięk nawet i poza granicami Związku znalazła np. taka praca Szczerby „Fonetyka języka francuskiego“. Obnorski i Bułachowski wydali szereg cen-

nych prac z zakresu języka rosyjskiego, przy czym Obnorski w swoich „Szkicach z historii języka rosyjskiego wcześniejszego okresu“ obala tradycyjny pogląd jakoby język rosyjski wyrósł z języka cerkiewno-słowiańskiego i nie odrzucając bynajmniej faktu istnienia tego języka wykazuje, że istniał jednak język staroruski, w którym powstało wiele utworów, a zwłaszcza wykazuje, że w „Słowie o pułku Igora“ elementy starocerkiewne nie są bynajmniej panującymi.

Wydział językoznawstwa może pochlubić się wydaniem „Russkiej Prawdy“ pod red. Grekowa, tudzież „Słowa o pułku Igora“ pod red. Orłowa. Poważne rezultaty osiągnięto też w pracy nad słownikami dialektycznymi. Cennym wkładem jest również praca akademika Dzierżawina „Wstęp do filologii słowiańskiej“. Wydział rozpoczął też prace przygotowawcze nad gramatykami porównawczymi fińskich i romańskich (rumuński, mołdawski) języków.

Językom pamirskim poświęcają się Zarubina i Andrejew. W arabistyce przoduje akademik Rozen. Badania te przyczyniły się wydatnie także do oświetlenia historii Rosji. Akademik Kokowcew wydał „Chazarską korespondencję“, Bartold „Arabskie wiadomości o Rusach“ zaś Kraczkowski przełożył na język rosyjski „Podróż Ibn-Fadłana nad Wołgę“. W dziedzinie sinologii pracuje akademik Aleksiejew nad słownikiem rosyjsko-chińskim. W dziedzinie sanskrytu prace Szczerbackiego kontynuuje akademik Barannikow. Także japonistyka znalazła w członku - korespondencie Konradzie wybitnego specjalistę.

W dziedzinie literatury punktem węzłowym jest opracowywana obecnie wielotomowa „Historia literatury rosyjskiej“. Dużo uwagi poświęca też Akademia zagadnieniu folkloru, przy czym folklor bywa tu rozumiany nieco inaczej niż na Zachodzie. W Związku Radzieckim twórczość ludowa nie wygasa bowiem bynajmniej, lecz żyje i rozwija się. Prace Akademii w roku 1946 przewidują nadto szereg monografij poświęconych klasykom rosyjskiej i zachodnio-europejskiej literatury.

Wydział historii i filozofii może również poszczycić się dużymi sukcesami. Radziecka myśl filozoficzna posuwa się konsekwentnie po linii dialektycznego materializmu i tymże problemom poświęca swe badania. W planie prac Akademii mieści się opracowanie komentarzy do „Materializmu i empiriokrytycyzmu“ oraz „Zeszytów filozoficznych“ Lenina, kręgi tematyczne stanowią zaś zagadnienia takie jak „Filozoficzna spuścizna Lenina“, „Rozwój materializmu dialektycznego i historycznego w pracach Stalina“, zagadnienia związane z problematyką ostatniej wojny, problemy historii filozofii, teorii poznania z uwzględnieniem nowoczesnych zdobyczy fizyki, zagadnienia dialektycznej i formalnej logiki, problemy psychologii mowy i myślenia, charakterologii, działalności twórczej itp. Oddział filozofii i historii zamierza nadto wydać szereg prac, które omawiałyby poglądy Bielińskiego, Hercena, Czernyszewskiego, Dobroliubowa, Pisarewa i Plechanowa. Przed uczonymi sowieckimi staje nadto zadanie opracowania podręczników z dziedziny materializmu, logiki i psychologii.

Pracowników naukowych wydziału historycznego Akademii Nauk ZSRR interesują obecnie w pierwszym rzędzie zagadnienia historii rosyjskiej kultury i rosyjskiej myśli społecznej, dalej związki międzynarodowe między krajami Wschodu w starożytności, niewolnictwo i feudalizm w historii krajów Wschodu, socjalno-ekonomiczna struktura krajów hellenistycznych, kryzys ideologiczny świata starożytnego, historia średniowiecznego chłopstwa, religijne i społeczno-polityczne ideologie średniowiecza, rola międzynarodowa Bizancjum, problemy rewolucji przemysłowej w Europie i Ameryce, historia klasy

robotniczej, chłopstwa, drobnej burżuazji, geneza faszyzmu itp. Wszystkie te problemy były dotąd mało lub niedostatecznie naświetlone.

Plan prac wydziału na rok 1946 przewiduje wydanie trzeciego tomu „Historii Moskwy“, dalsze tomy „Historii filozofii“, wielotomowego dzieła przygotowanego przez Instytut etnografii pt. „Narody świata“, trzeci tom „Historii Polski“ obejmujący lata 1863 — 1939 napisany przez członka - korespondenta Akademii Piczetę, tudzież takie prace jak „Powojenne problemy Oceanu Spokojnego“ Żukowa, „Ludność dawnej wschodniej Europy i pochodzenie Słowian“, „Etnogeneza Słowian w świetle danych antropologii“, „Historia świata“ tudzież monumentalne dzieło opracowywane pod kierunkiem Wawiłowa i Deborina „Filozofia współczesnego przyrodoznawstwa“. Akademik Minc poświęca swą ostatnią pracę Wielkiej Rewolucji Październikowej, Jakubowski opracowuje czasy Timura i historię średnioazjatyckich narodów tego okresu, Grekow pisze historię halicko-wołyńskiej Rusi, Tarle opracowuje „Zagraniczną politykę Rosji za czasów Katarzyny II“, Łazarew opracowuje monografię o Teofanie Greku, Wiesiołowski zaś zagadnienia „Feudalnej posiadłości ziemskiej w północno-wschodniej Rosji XIV — XVI ww.“, komisja historyczna Akademii Nauk ZSRR przystępuje natomiast do prac, które zilustrują działalność Akademii w dobie ostatniej wielkiej wojny.

Wydział ekonomiki i prawa podjął prace dotyczące przede wszystkim problemów podwyższenia wydajności pracy w gospodarce narodowej ZSRR, a nadto śledzi bacznie rozwojowe tendencje ważniejszych krajów kapitalistycznych po ostatniej wojnie. Poważne miejsce w badaniach naukowych Wydziału zajmują problemy państwa i prawa w okresie powojennym, zagadnienia ekonomiki socjalizmu, historii rozwoju rosyjskiej myśli ekonomicznej, ekonomicznej roli państwa radzieckiego, materialno-technicznej bazy socjalizmu, płacy roboczej w ZSRR, rynku kołchoźniczego, zagadnienia prawa radzieckiego w związku z socjalistycznym wychowaniem — dla uczczenia zaś trzydziestoletniej rocznicy Październikowej Rewolucji przygotowuje wydział ekonomiki i prawa pracę o państwie radzieckim i jego mocy.

W instytucie ekonomiki przygotowano do druku „Zarys teorii radzieckiej gospodarki“, „Zwycięstwo gospodarcze ZSRR“, „Historia myśli ekonomicznej w Rosji“ i szereg innych ciekawych opracowań. Akademik Ostrowitianow opracował „Zarys ekonomiki przedkapitalistycznych formacyj“, Pazytnow „Poglądy ekonomiczne dekabrystów“, Michalewski napisał pracę pt. „Złoto w dobie wojen światowych“ a nadto ukazało się z inicjatywy Instytutu wiele innych cennych prac z dziedziny ekonomii i prawa, stanowiących poważny dorobek naukowy.

Wydział fizyczno-matematyczny prowadzi z kolei intensywne prace dotyczące jądra atomowego, promieni kosmicznych, kwantowej teorii pola, niskich temperatur, astrofizyki itp. Kontynuują w dalszym ciągu swe prace ekspedycje wysokogórskie w Pamirze i Alagezie dla ustalenia kosmicznej radiacji. W dziedzinie matematyki opracowuje się w wydziale zagadnienia analitycznej teorii liczb jak również praktyczny problem zastosowalności maszyn do liczenia w zagadnieniach matematycznej analizy. W dziedzinie geofizyki omawiane są tam obecnie zagadnienia struktury, termodynamiki i optyki atmosfery, powstawania trzęsień ziemi itp. W zakresie astronomii baczną uwagę poświęca się ruchowi małych planet i komet, również zagadnienia analizy spektralnej wywołują żywe zainteresowanie pracowników wydziału.

Na sesjach wydziału fizyczno-matematycznego wygłoszono nadto w tym roku szereg ciekawych referatów, jak np. Papaleskiego „Radioobserwacja w czasie całkowitego zaćmienia słonecznego 9. VII. 1945“, Lebiediewa „O sowieckim modelu elektronowego

mikroskopu", Brumberga „O ultrafioletowym mikroskopie", Rogińskiego „Elektronomikroskopowe badania katalizatorów" i szereg innych, poruszających ciekawą problematykę w zakresie współczesnej fizyki. Ciekawie przedstawiają się też prace prowadzone przez Andrejewa w zakresie akustyki i Tumermana w zakresie światła.

Wydział chemii prowadzi znowuż ożywione prace w zakresie analizy fizyko-chemicznej, geochemii rzadkich metali tudzież w zakresie chemii organicznej, gdzie wysiłki skierowane są obecnie przede wszystkim na wynalezienie nowych metod powstawania związków metalo - organicznych. Instytut chemii nieorganicznej prowadzi interesujące badania poświęcone zagadnieniom syntezy metali, prace Kurnakowa kontynuują tu Stepanow, Bergman, Rawicz, Czugajew i inni.

Wydział geologiczno-geograficzny przewiduje szereg ekspedycyj mających na celu zbadanie wulkanów Kamczatki i Kaukazu. Wydział ten prowadzi nadto szereg prac kartograficznych w zakresie gleboznawstwa, pracownicy wydziału wiele uwagi poświęcają dociekaniom nad tworzeniem się wód podziemnych, przygotowuje się tu też do druku 3 tom „Podstaw gleboznawstwa". Wydział przygotowuje materiały do wydania „Geografii ZSRR", do szeregu monografij o erozji, jak również monografij takich, jak „Jezioro Bajkał", „Jezioro Ładoga", „Limany Czarnego Morza" itd.

Interesująco przedstawiają się badania Instytutu gospodarki leśnej poświęcone zagadnieniom selekcji i aklimatyzacji, fizjologii i ekologii drzew jak również typologii lasów.

Wydział nauk biologicznych przygotowuje 24 tomową pracę pt. „Flora ZSRR" poświęcając dużą uwagę zagadnieniom lasów. Bada się tu też formy mineralnego odżywiania się roślin. W ogrodach botanicznych Akademii prowadzi się próby przyśpieszenia indywidualnego rozwoju i wegetatywnego rozmnażania się roślin zwłaszcza kok-sagizu. Opracowuje się cały szereg monografij dla obszernego wydawnictwa pt. „Fauna ZSRR". Wiele uwagi poświęca się problematyce metabolitów i mikrobiologii. W wydziale tym pracuje się również nad uzyskaniem metod biologicznych mogących mieć wpływ na bieg procesów fizjologicznych. Szczególnie badanie komórek płciowych i zagadnienie białka w biochemii stanowią ośrodek zainteresowań obecnych badań. Zagadnieniami witaminologii zajmuje się wytrwale akademik Sysakjan.

Wydział nauk technicznych skierował swe obecne dociekania przede wszystkim na dziedzinę zastosowalności wysokich temperatur i problemy hydrodynamiki. Zagadnienia energo-chemicznego zużycia ciepła posunęły się znacznie naprzód również dzięki prowadzonym w wydziale eksperymentom z opałem półkoksującym i drobnoziarnistym. Omawiany tu jest również problem termofikacji Moskwy, elektryfikacji gospodarstw wiejskich, zastosowalności powietrza wzbogaconego w tlen w czarnej i kolorowej metalurgii tudzież sprawy związane z aeromechaniką skrzydeł w lotnictwie.

Warto na zakończenie tego krótkiego przeglądu prac Akademii Nauk ZSRR podkreślić, że w listopadzie 1944 roku powołany został do życia w ramach Akademii także Instytut historii przyrodoznawstwa, którego zadaniem będzie badanie historii poszczególnych dziedzin wiedzy i stworzenie bodźców dla prac popularyzacyjnych.

Staraniem tegoż Instytutu mają w najbliższym czasie wyjść prace Wawiłowa o Newtonie, Aleksandrowa i Kagana o Łobaczewskim, Kryłowa o Czybyszewie itp. Kuźniecow pisze „Zarys historii nauki rosyjskiej", wydane zostaną tu pisma klasyków rosyjskiego przyrodoznawstwa, zbiorowa praca pt. „Koryfeusze rosyjskiej nauki", „Klasycy przyrodoznawstwa" tudzież pomoce naukowe dla szkół i szereg wydawnictw treści popularno-naukowej.

Podkreślić należy z naciskiem, że olbrzymi dorobek naukowy Akademii służy w ZSRR całemu ludowi radzieckiemu bez reszty. Uczeni radzieccy nie odcinają się od szerokich mas jakimś murem niedostępnej uczoności. Hasłem Akademii Nauk ZSRR jest nie tylko kultywować wiedzę i naukę o wysokim ciężarze gatunkowym, ale również udostępniać ją tym, którym ma służyć.

Że nie jest to czczy frazes niech świadczą takie chociażby fakty jak założenie w 1932 roku Kazachskiej filii Akademii Nauk ZSRR wyposażonej w szereg instytutów lub Azerbejdżańskiej Akademii Nauk, która w październiku 1945 odbyła swą pierwszą sesję.

Akademia Nauk ZSRR spełnia szczytną misję wznoszenia wiedzy ku najwyższym wyżynom, a równocześnie udostępniania jej masom.

Seweryn Żurawicki

# Recenzje

* * *

**„Mitologia i realizm", J. Kott, Czytelnik, 1946, str. 166.**

Henryk Sienkiewicz był już u szczytu sławy, kiedy na przełomie ubiegłego stulecia, wschodzić zaczynała wielka gwiazda angielskiej powieści Joseph Conrad. [Pierwsza powieść J. Conrada pt. „Almayer's Folly" (Fantazja Almajera) ukazała się w 1895 r.]. Mistrz powieści, zadziwiający Anglików doskonałością języka, nie był z pochodzenia Anglikiem i do końca życia mówił źle po angielsku. Wolał język francuski, na wpół rodzinny, którego uczył się w dzieciństwie od guwernantki m-lle Durand w rodzinnym dworze na Ukrainie. Bo Józef Konrad Korzeniowski urodził się w szlacheckim dworze polskim w 1867 r., jako syn poety i powstańca, Apolinarego Korzeniowskiego, a do gimnazjum chodził w Krakowie, do św. Anny. Wcześnie, bo gdzieś koło 15 roku życia wyemigrował z kraju dla „studiów morskich". Najpierw przez krótki czas był w marynarce handlowej francuskiej, a potem angielskiej. A po wielu latach służby w charakterze oficera marynarki handlowej pod angielską flagą mając już pod czterdziestkę zaczął karierę pisarską.

Recepcja Josepha Conrada przez polską literaturę przypada na lata dwudzieste; patronował jej Stefan Żeromski. Dokonywało się to w znacznej mierze pod znakiem ideologii morskiej. W drugim numerze „Przeglądu Współczesnego" (1922) pisał A. Potocki: „Wrzeszczał ongiś jakiś szlachciura na sejmie „iż prędzej łabądź nauczy się orać, nim szlachcic polski pływać po morzu".... A oto stało się: jest taki „szlachcic polski" w charakterze mistrza marynarki wielkobrytyjskiej, a i w ogóle mistrza" (A. Potocki: Józef Konrad Korzeniowski. „Przegląd Współczesny" nr. 2, 1922 r. str. 20)

Szlachcic..., Polak...

Joseph Conrad, ów szlachcic polski pisał, że „język angielski... to mowa moich najgłębszych ukochań, godzin pracy i godzin samotnych... mowa budzących się myśli i wspomnień niezapomnianych, mowa nawet moich snów... Cała ta cząstka mojego jestestwa, która nie ulegnie strupieszeniu jest tworem tej mowy". (Jan Perłowski: O Konradzie i Kiplingu, „Przegląd Współczesny" R. XVI/1937. nr 180, str. 27).

Mocno jak widać utkwił Anglik w tym Polaku, o którym R. Kipling powiedział, że „gdy mówił po angielsku... trudno było czasem go zrozumieć, ale z piórem w ręku był pierwszy między nami... Czytając go... mam zawsze wrażenie, że czytam doskonałe tłumaczenie obcego pisarza". (Tamże, str. 30).

Anglik — nie - Anglik, Polak — nie-Polak. Człowiek z pogranicza różnych kultur. I może właśnie dlatego, żeglarski

świat jego powieści lepiej niż jakikolwiek traktat naukowy wprowadza nas w duchowe podłoże nowoczesnej cywilizacji. Świat Conrada to marynarka handlowa, a marynarka handlowa to podstawa nowoczesnego kapitalistycznego systemu. Cały świat osznurowany jest morskimi szlakami, po których ciągną okręty z towarami. — Morze — to przecie podstawowy szlak całej naszej cywilizacji, od czasów klasycznych do naszych czasów. Morze Conrada — to przecie także morze Argonautów.

Morze skąpane w słońcu i turystyczna przejażdżka na luksusowym okręcie-hotelu. Nie, nie o to idzie. Brudny, okopcony, mały statek handlowy z węglem, o pojemności 400 ton. Na takim statku handlowym Conrad po raz pierwszy sprawował funkcje drugiego oficera. „Sprawował funkcje", „podróżował" — ani jedno, ani drugie określenie nie oddaje istoty rzeczy. Bo podróż na takim statku o dziesięciu ludziach załogi to straszna praca. Tu nie jest się oficerem „paniczykiem" z wielkiego pasażerskiego okrętu, lecz zwyczajnie jednym z marynarzy, tym tylko różniącym się od innych, że się odpowiada za całość. Wciąż oko w oko z żywiołem morskim, w ciężkiej harówce okrętowej, na starym pudle, które jako godło wypisało sobie na rufie: „Czyń lub giń".

Ledwo skończyły się zapasy z burzą, zapala się i wybucha ładunek węgla — statek idzie na dno. „Stary (dowódca statku) upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga, aby ocalić ze sprzętów okrętowych ile się tylko da — dla akcjonariuszów. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu, aby dostarczyć nam światła pod dostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było. Stary barometr przymocowany idiotyczną ilością śrubek kosztował mnie prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bele żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać, że stary chciał zabrać ile się tylko dało ze swego pierwszego dowództwa. Był bardzo, bardzo spokojny, tylko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy i kotwicę zapasową. Odpowiadaliśmy z szacunkiem: „Dobrze, dobrze, panie kapitanie" — i po cichu spuszczaliśmy różne przedmioty za burtę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą — wyobraźcie sobie, puszki z farbą. Całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz, aby z dwoma ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu czekając na chwilę, gdy trzeba będzie statek opuścić. (Joseph Conrad: „Młodość", str. 47—48).

„Obowiązek wymagał, aby dotrwać na nim do końca". (Tamże, str. 47).

Jak najwięcej ocalić dla akcjonariuszy, którzy w chwili tych śmiertelnych zapasów swoich marynarzy z morzem siedzieli w swoich kantorach i obliczali, a może w jakimś klubie zażywali spoczynku w zaciszu piwa i cygar. Akcjonariusze — filary nowoczesnej cywilizacji, wyrosłej z ducha kupieckiego — wszystko za pieniądze. «Heroizm głupoty — pisze autor „Mitologii i realizmu" — Heroizm osła, ciągnącego wóz po podminowanym moście. Heroizm bez słów, bez pozy, nawet bez wewnętrznej świadomości, heroizm, który jest tylko wiernością. Wiernością? Dobrze, ale komu i czemu? Właścicielom? Moralności zawodowej, która graniczy tutaj ze ślepym automatyzmem rutyny? Conrad odpowiedziałby — wierności samemu sobie. I Conrad staje po stronie kapitana, któremu huragan „czyniąc wszystko, na co mógł się zdobyć, zdołał wyrwać zaledwie słów parę". Mamy tutaj niewątpliwie świadomą degradację heroizmu, zdarcie z niego wszelkich osłonek,

odjęcie mu wszelkich uzasadnień, wszelkich — oprócz jednego: potwierdzenia wewnętrznego hartu człowieka. I żąda od nas Conrad, abyśmy uwierzyli w wielkość tego starego głupca, który „na niczyje barki nie mógł zrzucić poczucia odpowiedzialności, bo taka jest samotność dowództwa“, a kiedy zbuntował mu się i oszalał drugi oficer, zdobył się w odpowiedzi tylko na jedno zdanie: „nie jest on na służbie“. Wielkim niebezpieczeństwem heroizmu jest łatwość poklasku jaki budzi. Jeżeli nie potrafimy się oprzeć nawet heroizmowi głupoty o ile tylko świadczy o niezłomności człowieka, jakżeż potrafimy odważyć się na krytykę heroizmu, za którym przemawia poczucie honoru i wierności». (str. 152).

Gdzieś około 5 września 1939 r. pod Mińskiem Mazowieckim samoloty niemieckie bombardowały pociąg ewakuacyjny. Dwadzieścia bomb padło w pobliżu a chłop, który tuż przy pociągu orał pole ani na chwilę nie przerwał roboty. Gdy go zagadnąłem, dlaczego się nie schował — spojrzał na mnie z ukosa i odpowiedział, że tamtej wojny pod Przemyślem „antyleria“ biła niegorzej. Dlaczego się nie schował? Dlaczego nie rzucił pługa i nie przerwał roboty? Heroizm głupoty! Conradowska wierność samemu sobie.

Nie, nie, ta nasza cywilizacja nie jest taka prosta. Nie byłoby jej w ogóle, gdyby wierność człowieka dla okrętu można było kupić za pieniądze. A wierność dla okrętu jest istotnym elementem tej cywilizacji; nie mniej, jeżeli nie bardziej istotnym niż chęć zysku i pragnienie bogactwa. I nie tylko dla okrętu, także dla każdego wielkiego materialnego dzieła, które człowiek stwarza i które raz stworzone ogarnia duszę ludzką i zobowiązuje ją względem siebie.

Pewien chłop z Kurpiów opisując drugą czy trzecią podróż swoją zarobkową do Ameryki pisze, że jakaś siła pchała go z powrotem do tej samej fabryki. Nie mógł się tej sile oprzeć. Wrócil do tego swojego miasta kominów. Kominy nie dymiły. Było bezrobocie. Na ten widok dusza mu zmartwiała. Zmalał w sobie i skurczył się. Życie stanęło w nim, gdyż życie stanęło w tej fabryce, do której należał. Stary głupiec — co?

Mówi się w Ameryce o „captains of industry“, o „kapitanach przemysłu“, ponieważ kapitan okrętu to jest pierwowzór dla wielu pochodnych typów naszej cywilizacji. I aż dziwne, że „Mitologia i realizm“, książka o strukturze ideologicznej naszej epoki, książka programowo stosująca materializm dziejowy, jest tak obca genealogii naszej cywilizacji — tak beztrosko, kokieteryjnie niehistoryczna. Nie chodzi w niej chyba o historiozofię motyla jednodniowego, którego życie zaledwie wczoraj się zaczęło, a już jutro się kończy — chodzi o strukturę cywilizacji ludzkiej kilku tysięcy lat.

Bohaterem powieści Conrada jest okręt — społeczeństwo okrętu. Człowiek należy tu do okrętu. Okręt potrzebuje człowieka, zobowiązuje go, rozkazuje mu, wymaga od niego posłuchu i pracy. Okręt to rzeczywistość, od której nie wykręcisz się sianem. To nie turystyka, nie doktrynerstwo ani moralizatorstwo, nie „piana życia“ oderwanego od rzeczywistości — lecz mus obowiązku twardej i wytężonej pracy. Okręt nie da się oszukać tak samo jak nie da się oszukać fabryka i — ziemia. Nie lubisz ciężkiej pracy, to możesz odejść. Gdyś jednak raz wrósł w to społeczeństwo okrętu, to niebawem poczujesz, że stajesz się niczym. Bo tylko przez okręt czymś jesteś. Nie ma tu innej wspólności między ludźmi, jak tylko przez okręt, któremu służysz wiernie. Okręt cię zabiera dla siebie, pozbawia subiektywizmu, każe ci panować nad sobą samym w jego imieniu, czyni cię skromnym pracownikiem, daje tolerancję i humanitaryzm wobec innych, bez sentymentalizmu i roztkliwiania się nad życiem ludzkim. A przede wszystkim każe ci być niesłychanie lojalnym. Nie znam

głębszego wykładu znaczenia świata materialnego dla człowieka jak powieści Conrada. Traktowanie twórczości Conrada w jednostronnej płaszczyźnie „przygody duchowej", jak to czyni Kott — jest nieporozumieniem.

W powieściach morskich Conrada nie chodzi o romantyczne przygody morskie. „Życie moje dalekim było od tego — pisze Conrad — co się zwie życiem awanturniczym. Nawet dzisiaj, gdy myśl moja podnosi się w mą przeszłość z pewnym żalem (a któż mógłby nie żałować swej młodości) i niewątpliwą miłością, barwie jej nadaje odcień wspomnienie pracy dosyć surowej i obowiązków twardych, rzeczy, które same przez się nie pociągają za sobą poczucia romantyczności". (Cyt. St. Kołaczkowski: Józef Conrad Korzeniowski. „Przegląd Współczesny", R. IV/1925, nr 33, str. 58). „Temu kto wyrusza rozmyślnie na poszukiwanie przygód, zostają w rękach same plewy". („Tremlino", początkowe zdanie).

Czytając Conrada, czuje się, że znajdujemy się u ludzkiego podłoża nowoczesnej cywilizacji. Wszystkie konwencjonalne określenia tej epoki liberalnego kapitalizmu przestają nas zadowalać, gdyż usiłują sprowadzić proces dziejowy do jednej płaszczyzny — do jednego wymiaru. A tymczasem rzeczywistość naszej cywilizacji jest wielowymiarowa. Nie tylko konflikt pracy i kapitału cechuje tę epokę, lecz także rehabilitacja pracy wytwórczej jako wartości duchowej, nie tylko wolność — lecz i dyscyplina wewnętrzna, nie tylko zmaterializowanie życia — lecz i uduchowienie materii.

Czytając Conrada czujemy, że nie tylko człowiek uduchawia okręt, lecz i na odwrót—okręt uduchawia człowieka. *Tak jak marynarz we wszystkich swoich cechach morskiego człowieka, jako pewien typ istoty duchowej, istnieje tylko przez okręt i dla okrętu, tak samo ludzie w ogóle jako istoty duchowe, odróżniające się od zwierząt, istnieją tylko przez materialne twory długowieczne. Zabrać ludzkości wszystko, co twórcza praca utrwaliła w materii — a zniknie cała kultura ludzka a z nią człowiek jako istota duchowa.*

Naród kształtuje się w cywilizacyjnym procesie twórczej pracy, naród wyrasta ze stosunku zbiorowości do swojego materialnego dzieła — do swoich uprawnych pól, do fabryk — do okrętów. I dewiza ze stosunku zbiorowości do swojego mały statek Conrada wypisał na swojej rufie: „Czyń lub giń".

„Olbrzymi, potężny statek, pełen bezcennych tradycji i cierpień niewymownych, niskich cnót i wspaniałych występków. Wielki statek. Przez stulecia ocean bił na próżno w jego flanki pancerne, on istniał już, kiedy ziemia była szersza i bardziej mroczna, kiedy morze było większe i bardziej tajemnicze, i gdy dawało sławę w nagrodę ludziom zuchwałym. Statek macierzysty flot i narodów. Statek naczelny wielkiej rasy. Silniejszy od nawalnic, utwierdzony na środku oceanu". (Cyt. Jan Perłowski: O Konradzie i Kiplingu „Przegląd Współczesny". R. XVI/1937 nr 180, str. 29—30).

Taki hymn na cześć swej ojczyzny — Anglii wypisał Józef Konrad Korzeniowski, syn polskiego szlachcica, urodzony na ukraińskich kresach Polski. Źle mówił po angielsku, ale dochował wierności swoim okrętom.

Conrad to nie tylko miłośnik i bard okrętu, nie inteligencki marynista, lecz i autentyczny marynarz, wrośnięty w społeczeństwo żeglarzy. Stefan Żeromski szkicując sylwetkę Conrada przypomina z jego twórczości ten charakterystyczny epizod, kiedy „stary marynarz, który po latach przymusowego na lądzie pobytu, na widok portu zapełnionego kominami i masztami wydaje jeden tylko okrzyk — w nim zawiera całe życie swoje: —

„Okręty!“ (St. Żeromski: J. Conrad, „Wiadomości Literackie“ z 17 sierpnia 1924 r.).

Tego wszystkiego Kott jakby nie widział w twórczości Conrada. Nawiasem mówiąc „Mitologia i realizm“ Kotta to była pierwsza książka, która się ukazała w Polsce po wojnie w zakresie humanistyki. Książka, która dokonuje likwidacji minionej epoki i równocześnie szkicuje program dla przyszłej humanistyki.

Rewizję zainicjował Stefan Żółkiewski w artykule „O pozytywny program kulturalny“ („Odrodzenie“ z dnia 12.VIII 1945 r.). Żółkiewski pisał: „Artykuły „Odrodzenia“, „Kuźnicy“, „Życia Literackiego“, wykazujące, że przyszły ruch umysłowy Polski nie ma po co sięgać do Gide‘a i pisarzy jego typu, do Conrada, do Norwida — były potrzebne . . . Norwid czy Conrad, ich interpretatorzy: Przesmycki, Kołaczkowski lub Ujejski — należą nie tylko fizycznie ale właśnie duchowo do minionej bezpowrotnie epoki“. Rewizjonizm kontynuuje Kott traktując Conrada jako „ostatniego moralistę mieszczaństwa“. (122)

Conrad nie jest ani jedynym, ani głównym tematem tej książki. Występuje w książce obok Gide‘a i innych jako ilustracja mitologii z „okresu rozkładu i upadku myśli mieszczańskiej“ (114). Uwagi o nadrealizmie, futuryzmie zamyka autor następującymi słowami: „Ekstremistyczne ruchy artystyczne były po pierwszej wojnie światowej wyrazem powszechnej niewiary mieszczaństwa i intelektualistów Zachodu w możność, sens i pożytek racjonalnego poznania i kształtowania warunków życia społecznego. Doświadczenia drugiej wojny światowej niewierze tej położyły kres. Zwycięstwo realizmu w życiu politycznym i społecznym zadecyduje niewątpliwie o charakterze przemian literackich“. (80)

„Przywykliśmy patrzeć na Conrada — pisze Kott — jak na zjawisko artystycznie odosobnione i nie wiążące się z epoką, która je wydała. Tragiczny kształt, jaki przybierały w jego utworach sprawy ludzkie, wyodrębniał go od współczesnych, ale twórczość Conrada, tak jak i wszystkich wielkich pisarzy jego pokolenia, wyrasta z załamania się wartości, w które wierzył wiek dziewiętnasty“ (138). Zwyrodniałemu realizmowi lat międzywojennych przeciwstawia Kott wielką powieść realistyczną Balzaca i Stendhala, któremu poświęca osobny rozdział. Conrad jest dla Kotta przykładem twórcy mitu „o nieodkrytych i szczęśliwych wyspach“.

„Mit ten zagłuszony na przeciąg stu lat — pisze Kott — pojawił się z nową gwałtownością dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy „nowy, wspaniały świat“ mieszczaństwa nie tylko że zawiódł ludzkie nadzieje, ale po raz pierwszy został od wewnątrz poważnie zagrożony“. (137) „Niemożność znalezienia jakichkolwiek uzasadnień w bezsensownym biegu spraw ludzkich dla wartości moralnych, w imię których ludzie żyją, walczą i umierają, odróżnia najbardziej postawę Conrada od optymistycznych stanowisk dziewiętnastego wieku“. (str. 149). „Obraz świata pojętego jako widowisko powraca wielokrotnie w listach Conrada do przyjaciół, w przedmowach do książek, w osobistych wyznaniach, powraca jako stały i natrętny motyw“. (147).

„Czytając powieści Conrada — kontynuuje Kott — uczestniczymy w jakiejś rozpaczliwej walce o przyznanie wartościom moralnym cech rzeczywistego istnienia, wydaje się nam, jak gdyby ocalenie świata wartości zawisło od ostatniego wysiłku woli bohaterów, jak gdyby w każdej chwili pełny bezsens widowiska ukazać się mógł w całej swej rozpaczliwej nagości i pozostawić nas sam na sam z „ponurą wizją świata pogrążonego w bezładzie“. Stałe zagrożenie porządku moralnego przez mściwy i nieubłagany los, przez napór żywiołów i instynk-

tów, przez nieznane prawa widowiska jest może najbardziej istotną cechą laickiego tragizmu Conrada" (149).

W tej widowiskowej koncepcji świata Conrada naczelną wartością moralną, według Kotta, jest wierność samemu sobie — forma honoru i forma heroizmu. O tę wierność chodzi właśnie autorowi „Mitologii i realizmu". Ten heroizm wierności demaskuje Kott jako „heroizm głupoty" z „okresu rozkładu i upadku myśli mieszczańskiej".

«Conradowska wierność samemu sobie jest w rzeczywistości — pisze Kott — w konkretnej rzeczywistości społecznej, posłuszeństwem prawom świata, którymi się zewnętrznie gardzi, odrzuceniem prawa do buntu. Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość. I myślę, że dlatego pisał Zygmunt Jarosz: „Kiedy patrzę na bohaterów Corada, zaczynam rozumieć, jak trudno będzie zbudować społeczeństwo socjalistyczne". Znacznie bowiem społecznie groźniejsze od wewnętrznej pychy i duchowego samotnictwa bohaterów Conrada jest ich ślepe posłuszeństwo wielkim armatorom tego świata.

Z zawodowej moralności kapitanów okrętu nie wolno czynić kodeksu postępowania człowieka wolnego. Ani wierność, ani honor nie są same dla siebie wartościami moralnymi. Osądza je, tak jak wszystko na tym świecie, historia». (156).

Historia! H i s t o r i a odgrywa podstawową rolę w myślowej konstrukcji książki Kotta. Ostatni rozdział książki nosi wymowny tytuł „Historia miarą człowieka". „Ostateczną konsekwencją postawy laickiej musi być — czytamy — odnalezienie sensu w historii i uznanie jej wyroków za jedyną miarę życia i śmierci, za jedyną miarę czynów ludzkich". (123).

Kott usiłuje wyjaśnić, dlaczego odeszliśmy od Conrada. Wyjaśnienie widzi w afirmacji życia przez idące pokolenia — w odrzuceniu „heroizmu śmierci jako najwyższej wartości życia". (123).

«Bohaterowie Conrada — pisze Kott — działają, aby żyć, umierają, aby usprawiedliwić życie.

W czasie pierwszych lat okupacji, kiedy wróg zaczął zabierać nam bliskich, postawa ta wydawała się nam często najwyższa. Stopniowo jednak wszyscy spoufaliliśmy się ze śmiercią. Każdy z nas nie jeden raz umierał, nie jeden raz oczekiwał śmierci. Nauczyliśmy się nią gardzić. Zrozumieliśmy, że chociaż każda śmierć jest równa, nie każda śmierć jest godna szacunku. Nauczyliśmy się zamiast oceniać życie miarą śmierci, oceniać śmierć miarą życia. Wtedy odeszliśmy od Conrada. Poza heroizmem śmierci istnieje bowiem heroizm czynu i myśli: heroizm czynu, który zwycięża, który zmienia oblicze świata; heroizm myśli, która nim kieruje, która nigdy nie zgodzi się przystać na rezygnację z pełni poznania.

Wymierzenie „najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu" możliwe jest tylko wtedy, kiedy zamiast biologicznego świata narodzin i śmierci, zamiast samotnej ludzkiej jednostki poddanej niezmiennym prawom naturalnego porządku, dojrzymy świat historii—świat wartości, w którym naprawdę żyje człowiek. Świat wartości jest światem społecznym. Świat społeczny jest dostępny poznaniu. Nie rządzi nim mściwy i nieubłagany los. Stworzony został przez ludzi i od woli ludzkiej zawisł. Obrona świata wartości przestaje być wtedy heroicznym aktem arbitralnego wyboru, staje się zrozumieniem i przystaniem na prawa zbiorowości, do której należy, do której chce się należeć». (123).

Cóż można powiedzieć na tę deklarację wiary autora? Czy odeszliśmy od Conrada? Czy odeszliśmy od tragedii

greckiej? Czy na tym odejściu ma polegać nasz humanistyczny realizm? W latach okupacji, na tym okręcie polskim miotanym przez burze, zrozumieliśmy chyba Conrada głębiej i lepiej niż kiedykolwiek indziej. Likwidacja Conrada wydaje mi się sprawą osobistej „przygody duchowej" autora „Mitologii i realizmu".

Stojąc na stanowisku h i s t o r i i, a więc tej jedynej instancji, którą przyjmuje Kott, Conrada zlikwidować nie można. Przeciwstawiając się traktowaniu Conrada jako apologety „heroizmu głupoty", heroizmu niewolników, Maria Dąbrowska słusznie pisze w „Warszawie" o Conradzie, że «jego dzieło jest (prócz wielu innych rzeczy, które zawiera), artystyczną próbą dociekzenia czy i w jaki sposób możliwe jest dla człowieka ocalić śród niemoralnego świata „interesów materialnych" wierność czemuś istotnie moralnemu i wartościowemu... Czyż możliwe i dorzeczne jest przypuszczenie, że Conrad, pozbawiając swoich ludzi potężnego bodźca i hamulca moralnego w postaci religii, doktryny czy idei, postąpił sobie tak okrutnie tylko na to, by, chcąc nie chcąc, skazać ich na wierność armatorom okrętowym — jako na jedyną możliwą dla nich moralność? Tak odpowiedziałby niewątpliwie katolik i tak odpowiedziałby marksista. Nie ma bowiem — rzekłby jeden — metod ani celów moralnych poza katolickimi. Nie ma bowiem — rzekłby drugi — metod i celów moralnych poza marksistowskimi.

A jednak Conrad usiłuje wydobyć i wydobywa ze swych bohaterów wierność czemuś istotnie wartościowemu i moralnemu. Że to coś wartościowego i moralnego nie jest właśnie doktryną marksistowską i wiernością dla partii marksistowskiej, nie jest to racja do deprecjonowania postawy moralnej Conrada. Ale pytanie — czemu chce być wierny człowiek Conrada — nastręcza się oczywiście... Żródłem i celem laickiej oraz sceptycznej i dosłownej moralności humanizmu conradowskiego nie jest człowiek sam w sobie i sam dla siebie. Idzie tu natomiast o człowieka postępującego w myśl kilku prastarych, ale wiecznie żywych wyobrażeń moralnych, oznaczających pewien nie podlegający zastrzeżeniom etyczny dorobek ludzkości. Temu to szczupłemu, ale właśnie dzięki tej szczupłości — uniwersalnemu — dorobkowi moralnemu ludzkości musi być podporządkowany każdy, kto chce mieć poczucie, że żyje według honoru czy godności prawowitego człowieczeństwa. W ten tylko sposób podtrzymuje się „bliźnia więź" między poszczególnym człowiekiem a światem ludzkim i bytem. Każdy zaś, kto się temu sprzeniewierza, tym samym zrywa bliźnią więź, łączącą nas z innymi ludźmi. To jest właśnie conradowski rodzaj wyższej instancji, na którą się jego człowiek powołuje i wobec której honorem swym — odpowiada.

Czy owe conradowskie kilka prostych moralnych wyobrażeń — kontynuuje Dąbrowska — na których opiera się ludzki świat, mamy uważać za fikcję? Nic podobnego. Należałoby ostatecznie zwątpić o życiu i człowieku, gdyby wypadło nam się przekonać, że ludzkość w ciągu tylu wieków istnienia i wytężonej pracy duchowej nie wytworzyła kilku podstawowych norm postępowania uczciwego i prawowicie ludzkiego. Ten skromny, ale niewątpliwy świat moralny człowieka istnieje bez względu na to czy przyjmiemy, że myśl stwarza byt, czy na odwrót, że byt stwarza myśl. Tak się oto stało, że człowiek wypracował te kilka prawd i praw moralności, które są jego skarbem największym, pomimo że zarówno bieg rzeczy jak i bieg ludzkiej myśli chwieją tym skarbem pewności tak straszliwie. Co więcej, ten skromny, ale niewątpliwy śród bezmiaru względności świat moralny prześwieca poprzez wszystkie systemy społeczne czy to świeckie, czy religijne, pretendujące do podporządkowania norm etycznych... Bez san-

kcji, bez powinności, bez nadziei i nagród i bez obawy kar mamy być moralni z samego tylko poczucia odpowiedzialności za los własny i los drugiego człowieka. Świadomość istnienia innych ludzi i „bliźniej z nimi więzi“ musi być wystarczającym bodźcem i wskaźnikiem postępowania... Tragedią Lorda Jima jest, że się sprzeniewierzył trzem rzeczom: zadaniu pracy zawodowej, którego się podjął, „szeregowi“ to jest światu społecznemu marynarzy, do którego należał, i nieszczęsnym pielgrzymom, którzy mu zawierzyli bezpieczeństwo swojej podróży... I tak jest u Conrada zawsze. Zdrada Conrada jest z reguły zdradą albo człowieka, który nam zawierzył, albo zespołu, któryśmy jako swój wybrali, albo zadania, któregośmy się podjęli. Wierność Conrada, stanowiąca część owych „kilku prastarych wyobrażeń moralnych“, jest wiernością tym trzem rzeczom. Toteż na zarzuty o aspołeczności Conrada można z całą stanowczością powiedzieć, że skoro moralnym sprawdzianem jego „wierności“ jest stosunek człowieka do pracy i do drugiego człowieka, to moralność jego świeckiego, sceptycznego (co do utartych autorytetów), dosłownego i bohaterskiego humanizmu posiada swoiste lecz niewątpliwe oblicze społeczne». („Warszawa“, nr. 1 z dn. 19 maja 1946 r.).

Przytoczyłem ten przydługi ustęp z artykułu Dąbrowskiej nie dlatego aby dyskutować na temat literackiego problemu twórczości Conrada. Nie wiem, czy Kott słusznie umiejscowił Conrada w literackim towarzystwie z Gide'em czy nadrealistami, czy dadaistami? Chodzi o rzecz ogólniejszej i bardziej zasadniczej natury. Chodzi o zasadnicze stanowisko metodologiczne Kotta. „Historia jako miara człowieka“ nie oznacza przecie doktryny marksizmu jako miary człowieka. Sprowadzenie całej historii do marksistowskiego stanowiska, jak to czyni Kott, jest ciekawą osobistą przygodą intelektualną autora „Mitologii i realizmu“, która nie może jednak zastąpić przemyślanego stanowiska metodologicznego, niezbędnego dla socjologicznej analizy zjawisk literackich.

Dąbrowska słusznie podniosła sprawę uniwersalnego dorobku ludzkości. Albo taki dorobek istnieje i można mówić o historii ludzkości, albo takiego dorobku nie ma i odwoływanie się Kotta do „historji jako miary człowieka“ pozostanie frazesem literackim. Kto mówi „historia“ — mówi „ludzkość“. Na to nie ma rady. Tylko, że jedni kładą nacisk na l u d z k o ś ć twierdząc, że historia jest dziełem człowieka, a inni kładą nacisk na historię i twierdzą, że człowiek jest dziełem h i s t o r i i.

Zasadnicza trudność socjologicznej analizy Conrada jako zjawiska historyczno-kulturalnego polega właśnie na tym, że występuje on w wielu płaszczyznach społeczno-historycznych kulturalnej wspólnoty ludzkości, Imperium Brytyjskiego, narodu angielskiego i polskiego, kapitalizmu i klasy mieszczańskiej. Traktowanie Conrada wyłącznie w płaszczyźnie klasowej to nie jest realizm, ale właśnie mitologia i to mitologia granicząca z nonsensem historycznym. Ogólniki „Rodowodu społecznego literatury polskiej“ Ignacego Fika nie mogą być wzorem metody naukowej.

Interpretacja całej historii kultury w kategoriach klasy jest likwidacją historii. Sprawa ciągłości historycznej to chyba jeden z najbardziej zawiłych problemów nauk humanistycznych. W „Mitologii i realizmie“ mamy uproszczenia zbyt duże — w duchu racjonalizmu XVIII wieku. Zbyt wiele poświęca autor dla efektu literackiego. „Mitologia i realizm“ zaczyna się od Tacyta a kończy się na Conradzie. Tacyt realista, Conrad mito-twórca. Obaj potraktowani w pozahistorycznej płaszczyźnie sposobem racjonalizmu XVIII wieku. Tacyt, będący tematem rozdziału pt. „Przed końcem świata“, potraktowa-

ny został publicystycznie, jedynie jako źródło refleksji moralno-politycznych, aktualnych dla naszych czasów. Zasadniczy problem — ludzkości i historii — bo o to ostatecznie chodzi w tej książce — nie został nawet dotknięty. A właśnie te parę tysięcy lat od Tacyta do Conrada zamyka w sobie to, o co słusznie dopomina się Dąbrowska — cywilizowaną ludzkość i naszą historię.

„Mitologię i realizm“ zamyka autor słowami: „nie człowiek jest miarą historii, ale historia jest miarą człowieka. Historia jest miarą, jaką sądzimy życie jednostek, życie klas społecznych i życie narodów, ale historię tworzy człowiek“. (166) Oczywiście, ustęp ten pisał Jan Kott, nie idealistyczny filozof B. Croce, czołowy przedstawiciel historyzmu. Ale warto przeczytać, co na ten sam temat pisał idealista Croce (patrz B. Croce: Antyhistoryzm, „Marchołt“ T. I/1934-5, str. 592 — 603), aby przekonać się o tym, jak bardzo trudno jest czasem przeprowadzić granicę między historyzmem materialisty, a historyzmem idealisty, pomiędzy materializmem a mitem materializmu. Historyzm to ciężki orzech do zgryzienia.

Autor „Mitologii i realizmu“ nie zrobił nic, aby pomóc czytelnikowi go rozgryźć. Nie wymagajmy jednak zbyt wiele. „Mitologia i realizm“ jest programem, jest bojową deklaracją ideologiczną. I w tym charakterze jest książką bardzo interesującą i pobudzającą do myślenia.

**Józef Chałasiński**

* * *

**The Planning of Free Societies,** Ferdynand Zweig, Professor of Political Economy in the University of Cracow, 1942, Secker and Warburg, London.

Książka Ferdynanda Zweiga, byłego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, wydana w języku angielskim i przetłumaczona na szereg innych języków europejskich, jest bodaj czy nie pierwszą próbą zarysu nauki o planowaniu. Jest to nie tylko studium o planowaniu w zakresie ekonomii, lecz o planowaniu całokształtu życia ekonomicznego, w zakresie narodu, grupy narodów czy nawet całego świata.

Książka prof. Zweiga jest charakterystyczna nie tylko ze względu na ewolucję, jaką odbył sam autor, uczeń prof. Krzyżanowskiego, zwolennik klasycznego liberalizmu gospodarczego, ale również ze względu na ewolucję, jaką odbył cały liberalizm zwłaszcza w swojej ojczyźnie — Anglii. Dla autora nie ma już zagadnienia: planować czy nie planować, lecz: jaki ma być rodzaj planowania, jak dalece może ono pójść, co ma być jego przedmiotem i w jakim duchu ma być przeprowadzone. O kontynuowaniu tradycyjnej gospodarczej polityki liberalnej nie ma mowy. W teorii możliwy jest tylko powrót do tego, co było przed rokiem 1914, albo budowanie zupełnie nowej cywilizacji, opartej na zasadach gruntownej planowości. A ponieważ każdy rok wojny oddalał nas od pierwszej możliwości, wobec tego wyboru właściwie nie ma.

Studium prof. Zweiga, jak powiada autor we wstępie, nie ma charakteru politycznego. Autor nie zaleca jednych metod, ani zasadniczo nie gani innych. Stara się ograniczyć do bezstronnego wykładu i analizy tych typów planowej gospodarki jakie już istnieją, pragnie

umożliwić czytelnikowi orientację w gąszczu zagadnień tak, aby każdy mógł sobie sam znaleźć odpowiedź na trapiące go pytania i każdy sam sobie mógł dokładnie sformułować zagadnienia. Nie oznacza to jednak, żeby autor nie ujawniał, mimo że usiłuje zachować obiektywizm naukowca, swoich sympatii. Weźmy chociażby dla przykładu ustęp, w którym mowa o systemie płac w planowej gospodarce socjalistycznej i wojenno - faszystowskiej.

«W pierwszym okresie komunizmu rosyjskiego władze sowieckie usiłowały oprzeć skalę płac na zasadzie bezwzględnej równości ekonomicznej. Różnica między płacą robotnika kwalifikowanego i niewykwalifikowanego była bardzo mała. W następnych latach zróżniczkowano znacznie kategorie płac usiłując stosować zasadę wydajności i oszczędności. Kategorie płac ustalono w tym celu, by zachęcać robotników do zdobywania możliwie jak najwyższych kwalifikacyj i fachowości oraz by móc przyciągnąć do przedsiębiorstwa jak największe siły...

...W państwach faszystowskich, gdzie zasada hierarchii i autorytetu odgrywa główną rolę, stosowany jest na szeroką skalę czynnik odpowiedzialności. Zajęcia, które wymagają większego autorytetu, odpowiedzialności i społecznego prestiżu, muszą być świetnie wynagradzane, w tym celu, by utrzymać dystans między „elitą" a szerokimi masami ludności. Mamy tu zjawisko eksploatacji mas przez biurokratów i technokratów. Zjawisko to jest ściśle związane z wszelkiego rodzaju państwami biurokratycznymi, bez prawdziwej demokracji. Skala płac jest tu bardzo często zależna od narodowego czy regionalnego obszaru. Kategorie płac są utrzymywane w jednym miejscu na niskim poziomie, a w innym na wyższym poziomie, w tym celu, by móc faworyzować dany naród, względnie dany obszar, jak to się praktykuje w zakresie „Nowego ładu" Hitlera».

Przytoczyliśmy powyższy ustęp, by zilustrować zarówno metody klasyfikowania zagadnień przez autora, jak i ich kwalifikowania. Widzimy jak poprzez spokojny, chłodny obiektywizm przebijają się zdecydowane sympatie autora.

Jeśli chodzi o genezę planowej gospodarki, to Zweig wywodzi ją ze wzrostu mechanizacji życia ekonomicznego i czynników natury emocjonalnej. Mechanizacja życia ekonomicznego pociągnęła za sobą koncentrację i centralizację źródeł produkcji, co z kolei narzuciło konieczność wprowadzenia planowania jako czynnika regulującego. Gospodarka planowa wzrosła również — zdaniem autora — z wysiłku mas w kierunku wywalczenia sobie równości i prawa samorządu w dziedzinie ekonomicznej. Niepoślednią rolę odegrał też w rozwoju gospodarki planowej moment nacjonalistyczny i militarystyczny, oba zasadnicze motory faszyzmu.

Specjalny rozdział poświęca autor omówieniu wyższości gospodarki planowej nad chaotyczną, niekontrolowaną gospodarką. Gospodarka planowa jest po pierwsze bardziej wydajna, gdyż umożliwia pełne wykorzystanie wszelkich źródeł produkcji. Jest po drugie bardziej celowa niż gospodarka bezplanowa, jeśli chodzi o osiągnięcie oznaczonych celów politycznych, jak szybkie uprzemysłowienie kraju zacofanego, jak ekonomiczne scalenie różnorodnych obszarów gospodarczych czy uzyskanie pretensyj reparacyjnych. Jest pożądana dla pewnych celów społecznych, jak równość społeczna czy bezpieczeństwo i w końcu jest konieczna dla przeprowadzenia niektórych, nie cierpiących zwłoki zadań, jak przezwyciężenie kryzysu czy odbudowa krajów zniszczonych przez wojnę.

Autor nie ogranicza się do analizy mechanizmu planowania, ale ilustruje go

na szeregu przykładów. Tak więc po obszernym rozdziale, w którym omawia zagadnienie administracji w gospodarce krajowej, następują cztery treściwe szkice, w których przedstawione są po kolei: 1) amerykański eksperyment Roosevelta, 2) korporatywny system Mussoliniego, 3) planowa gospodarka hitleryzmu oraz 4) centralizm gospodarczy w systemie sowieckim.

Rozdział, w którym autor zastanawia się nad zagadnieniem, czy planowa gospodarka bardziej się nadaje dla obszarów zaawansowanych czy też zacofanych, kończy się krótką rozprawką na temat COP-u w Polsce. W eksperymencie tym Zweig widzi próbę zupełnej przebudowy gospodarki polskiej na planową. Nie wspomina jednak ani słowem o tym, że próbie tej towarzyszył kryzys, który mógł się skończyć równie wielką katastrofą jak ta, którą przyniosła wojna. Nie wspomina też, że eksperyment COP-owy nosił wszelkie znamiona gospodarki awanturniczej, nie opartej na realnych podstawach, że autorzy eksperymentu mimo szalonej propagandy nie potrafili dlań zdobyć serca Polaków, że łączył się z kolonialną eksploatacją wschodnich obszarów Rzeczypospolitej, zamieszkałych przeważnie przez ludność niepolską.

Rozważając możliwość pogodzenia kontrolowanej gospodarki z wolnością jednostki Zweig podkreśla, że pojęcie wolności zmieniło się znacznie w ciągu ostatnich lat. Do niedawna przez wolność rozumiano prawo zatrudnienia ludzi przez dwanaście i więcej godzin na dobę, swobodę w zatrudnianiu dzieci w fabrykach, swobodę głodowej płacy i żądania monopolowych cen, prawo niszczenia surowców celem utrzymania stałej ceny rynkowej i prawo bogacenia się. Na miejsce tego rodzaju „wolności" wyłania się nowe pojęcie swobody, jak głoszona w Karcie Atlantyckiej wolność od niedostatku i wolność od strachu. Najbardziej cenne rodzaje wolności, jak wolność osobista, wolność słowa i prasy, wolność stowarzyszania się nie mogą być, zdaniem autora, zawieszone w próżni, lecz muszą być zagwarantowane przez pewne instytucje społeczne i polityczne, które mają im dać stałe ramy. Wolność osobista nie może istnieć bez bezpieczeństwa społecznego i politycznego. Bez bezpieczeństwa społecznego nie ma wolności, bez wolności nie ma bezpieczeństwa społecznego. Pokój powszechny jest koniecznym warunkiem tak dla wolności, jak i dla bezpieczeństwa, a bezpieczeństwo i wolność są warunkami pokoju. Obrona wolności osobistej polega więc na planowym pogodzeniu zasad wolności, bezpieczeństwa i pokoju.

Od rozwiązania tego problemu zależy przyszłość kultury ludzkiej. Zweig wprawdzie nigdzie nie występuje jako przeciwnik socjalizmu ale wierzy, że można pogodzić planową gospodarkę z wolnością w ramach systemu kapitalistycznego.

Studium prof. Zweiga jest książką potrzebną i cenną. Potrzebną, ponieważ wprowadza ład w zagadnienia, które dotychczas były jednym wielkim chaosem i stanowi pożyteczne kompendium dla każdego, kto teoretycznie czy praktycznie ma do czynienia z problemem planowości. Jest książką cenną, ponieważ kładzie podwaliny pod nową zupełne naukę o planowaniu i zawiera bardzo obszerny materiał z doświadczeń w zakresie gospodarki planowej.

Leon Przemski

*

*

„The price of peace". William Beveridge. London, Pilot Press, 1945, str. 104.

„Kto chce organizować pokój, musi rozumieć przyczyny wojny" — znane to pouczenie Harolda Nicholsona jest punktem wyjścia rozważań książki sir Williama Beveridge'a: „The price of peace" (Cena pokoju).

Wojna totalna, ten „najgorszy produkt uprzemysłowienia", jest dziełem ludzi. Można jej uniknąć, trzeba sobie tylko uświadomić, że „glebą wojny jest międzynarodowa anarchia" (str. 11). Ale w rozumieniu Beverdige'a anarchia międzynarodowa nie oznacza tylko zaniku jakichkolwiek reguł prawnych w życiu narodów, lecz zanik moralności. Autor widocznie podziela pogląd Durkheima, że prawo i moralność ściśle są ze sobą splecione. Głównym zadaniem, jakie winny sobie postawić narody miłujące pokój, to odkrycie warunków, od których zależy odbudowa praworządności międzynarodowej. Niezgoda zwycięzców i brak szczerej chęci ugruntowania pokoju, były grzechem pierworodnym, jaki popełnili twórcy Traktatu Wersalskiego. Stąd niedostatki paktu Ligi Narodów. Jego autorzy zbytnią wagę przywiązywali albo raczej udawali, że przywiązują do siły opinii publicznej, która powinna była wstrzymać napastnika. Beveridge cytuje słowa lorda Cecila z 1919 r.: „By far the strongest weapon we hawe is the weapon of public opinion" (str. 24). Jeśli takie poglądy nadawały ton, to cóż dziwnego, że protokół genewski z 1924 r., który był najpoważniejszą próbą wyposażenia Ligi Narodów w jakąś efektywną siłę, został storpedowany przez rząd angielski, wspomagany przez rządy dominiów?

Wojna 1914—1919 wykazała, że „zbiorowe bezpieczeństwo było jedynym wyjściem z wojny, ale przyjęcie zobowiązań zbiorowego bezpieczeństwa zakładało złamanie głęboko zakorzenionych tradycyj. Rewolucyjny okres w historii świata, który wieściła pierwsza wojna totalna, wymagał radykalnych środków. Naród brytyjski miał na to otwarte oczy, ale parlament był ślepy". (str. 28).

Beveridge nie kładzie jednak kropki nad „i". W rzeczywistości bowiem Anglia n i e  d o p u ś c i ł a do stworzenia systemu zbiorowego bezpieczeństwa zmuszając Francję do zdrady podstawowej zasady jej polityki zagranicznej i przeciwstawiając się wysiłkom, podjętym przez Związek Radziecki na terenie Ligi Narodów. A na tym tle właśnie rozrosła się owa anarchia międzynarodowa, którą Beveridge słusznie nazywa „glebą wojny". Z niej wyrasta strach, główna — jak sądzi — przyczyna wojny. Z sześciu możliwych przyczyn wojny, jakimi, zdaniem Beveridge'a, są: naturalna wojowniczość rodzaju ludzkiego, system gospodarczy, specjalna złośliwość czy amoralność Niemców, ambicja władców, pragnienie rewanżu i strach, ten ostatni ma znaczenie największe.

Beveridge pisze: „Po rozpatrzeniu innych przyczyn domniemana wojowniczość rodzaju ludzkiego jest mitem, specjalna złośliwość Niemców to różnica raczej w stopniu niż w rodzaju. System ekonomiczny nie był w ostatnich czasach przyczyną większych wojen i przypisywanie ich ustrojom, a więc kapitalizmowi lub socjalizmowi jest pozbawione podstaw" (str. 40). A więc strach i tylko strach rodzi wojnę! Zdumiewający „psychologizm" u znawcy zagadnień ekonomicznych, jakim jest Beveridge. Autor „Ceny pokoju" uważa za potrzebne i aktualne rozważania na temat czy domniemana wojowniczość rodzaju ludzkiego jest mitem, czy nie jest mitem, ale poświęcenie choćby jednej strony sprawie

wpływu międzynarodowych związków kapitału monopolistycznego na wybuch wojny uważa, jak się zdaje, za zbędną stratę czasu.

Jak zatem ugruntować trwały pokój?

Zrewidowanie dotychczasowego pojęcia suwerenności, którą trzeba ograniczyć, podporządkować normom prawa narodów jest nieodzowną koniecznością. Beveridge mówi nieomal: albo suwerenność, albo praworządność. Jeżeli przez suwerenność rozumieć nie tylko decydowanie we własnych sprawach, ale i stanowienie samemu jednostronnych praw w stosunkach z innymi narodami, występowanie jako sędzia we własnej sprawie i narzucanie swoich decyzyj siłą własną i sojuszników. Ale taka suwerenność oznacza właśnie anarchię. Beveridge uważa, że państwo, które przyjmuje zasady międzynarodowej sprawiedliwości nie uszczupla w istocie swej suwerenności. Zwycięstwo bowiem praworządności w skali międzynarodowej czyni zbędnym szukanie możnych protektorów i sojuszników, a więc uszczuplenie suwerenności.

Jeśli tak pojęta praworządność nie ma być pustym dźwiękiem, na straży jej musi stać siła zbrojna, poddana międzynarodowej kontroli. Żaden naród nie może się bowiem zbroić według własnego uznania. Jako obowiązujący należałoby przyjąć system przymusowego rozjemstwa. Dobrowolne i efektywne poddanie się systemowi przymusowego rozjemstwa, co było zresztą podstawą protokółu genewskiego, jest właśnie ową ceną, którą narody muszą zapłacić za pokój. Wszelkie regionalne porozumienia, w rodzaju lippmanowskiej „wspólnoty Atlantyckiej" są według Beveridge'a jako fragmentaryczne, niezadowalające, bo dzielą to, co jest niepodzielne, mianowicie pokój.

Beveridge nie przewidział jednak, jak szybko ujawni się właściwe oblicze polityki bloków. „Dyplomacja atomowa", oparta o światowy system baz, w książce wydanej w 1945 r. nie została jeszcze uwzględniona. Jakkolwiek wiemy, jaka jest cena pokoju, nie wiadomo kiedy ją przyjdzie zapłacić.

**Stanisław Ehrlich.**

* * *

**Wojciechowski Zygmunt: Państwo Polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju.** Poznań 1945. Księgarnia Akademicka. Str. XV + 276 + 1 n l.

I

Dobrą książkę nie tylko jest przyjemnie przeczytać. Przemyśleć i przedyskutować — oto dalsze ogniwa zadowolenia a zarazem pożytku z prac twórczych, z prac naprawdę nowych.

Zarys dziejów ustroju Państwa Polskiego w wiekach średnich prof. Zygmunta Wojciechowskiego jest taką właśnie książką. Jest ona według mnie najlepszą książką w literaturze historycznej polskiej ostatnich lat dziesięciu. Znaczenie jej dla historii ustroju Polski sięga głębiej. Jedynym syntetycznym zarysem tego przedmiotu ogłoszonym drukiem był podręcznik Kutrzeby, w kilku tomach obejmujący całe dzieje, w tym tom I Koronę do rozbiorów. Od 1905 r. doczekał się siedmiu wydań (ostatnie w 1931 r.). Przerabiany głównie pod kątem doświadczeń pedagogicznych zawierał umiennie zebrany materiał szczegółowy z prac monograficznych cudzych i własnych autora a także wydobytych przez niego wprost ze źródeł. W przedmowie do pierwszego wydania

stwierdzał Kutrzeba, że „historia ustroju nie może być zlepkiem wiadomości, musi przedstawiać rozwój życia i jego form, musi ten rozwój tłumaczyć" i starał się na swój sposób zadanie to wykonać. Brakowało mu jednak tego właśnie, co nazywamy zmysłem filozoficznym, b r a k o w a ł o  m u  u m i e j ę t n o ś c i  s y n t e z y, był niewolnikiem szczegółów i układał je obok siebie próbując powiązać w ten sposób, który na tle wielkich syntez historycznych wydawał się już od lat prymitywny.

Bił go j a s n o ś c i ą  k o n c e p c j i,  p r z e j r z y s t o ś c i ą  w y k ł a d u,  z a c i ę c i e m  s y n t e t y c z n y m, klasą naukową skrypt Balzera, powielany tylko przez studentów, kursujący w ośrodku lwowskim od końca zeszłego stulecia, ostatnie wydanie pośmiertne z 1933 r. Ale był to tylko skrypt, musiał mieć niedociągnięcia stylistyczne, wykład był raczej naszkicowany niż wypracowany do ostatka, brakło mu zupełnie podbudowy bibliograficznej względnie źródłowej.

Strzegąc autorstwa własnych konstrucyj historycznych ogłosił Balcer drukiem w 1905 r. konspekt swoich wykładów (Historia ustroju Polski, Przegląd wykładów uniwersyteckich), który oczywiście nie mógł zastąpić pełnego zarysu.

Balzer, historyk i prawnik, jako historyk ustroju reprezentował tę technikę historiografii, którą wypracowała sobie nowa w czasach jego studiów dyscyplina, die Verfassungsgeschichte, usamodzielniająca się dopiero z obszerniejszej Rechtsgeschichte. P o s ł u g i w a ł a  s i ę  w y ł ą c z n i e  k a t e g o r i a m i  p r a w a,  b y ł a  h i s t o r i ą  p r a w a,  prawa publicznego, prawa politycznego. Ustrój sam stanowił dla niej pojęcia prawne, składały go elementy prawne, instytucje prawne, był f o r m ą  prawną.

Akcentując swoją niezależność od prawa prywatnego, odmienność założeń teoretycznych, przecież zapatrzona była historia ustroju w starszą siostrzycę, historię prawa, prywatnego wzgl. sądowego i na jej wzór zagospodarowała własny teren stwarzając  a r s e n a ł  d o g m a t y k i  p r a w n o - u s t r o j o w e j  pojęć i instytucyj formalnie integralnych, sprawnych elementów dyscypliny — jurydycznej w tym założeniu.

Trzeba powiedzieć, że Balzer umiał przezwyciężać te szranki i na drodze wnikliwej analizy tekstów wyprowadzać konstrukcje, które przełamywały ustrojowo-prawną sieć abstrakcji na rzecz konkretu przeszłości cywilizacyjnej, ekonomicznej i kulturalnej.

Wojciechowski jest nie tylko jednym z wielu wybitnych uczniów Balzera, on idzie po drodze Mistrza, przyjmuje trzon jego dorobku, a przede wszystkim  m e t o d ę  historii ustroju, tę, którą w nauce polskiej Balcer ugruntował, a jasnością swej myśli i swego wykładu uświetnił.

## II

Dzieje ustroju Polski średniowiecznej napisał prof. Wojciechowski częściowo przed wybuchem wojny w 1939 r., częściowo już w czasie okupacji korzystając z prywatnej biblioteki Kutrzeby.

Po klasycznej strukturze zarysu historii ustroju Balzera, po solidnie wypełnionym magazynie podręcznika Kutrzeby, u  W o j c i e c h o w s k i e g o  w s p ó ł z a w o d n i c z ą  d w a,  f o r m a l n i e  z u p e ł n i e  r ó ż n e  n u r t y:  f o r m u ł y  u s t r o j u  i  h i s t o r i a,  h i s t o r i a  p o l i t y c z n a  tamtej epoki. Ma się wrażenie, że dogmatyk nie wytrzymuje pasji historyka, że ten drugi wtrąca mu się, opowiada o swoim, przegaduje go.

Autor jednak panuje nad tokiem myśli, ulega narracji historyka, ale świadomie daje mu głos, bo wie, że tego w danym miejscu potrzeba.

Te z punktu klasycznej Rechtsgeschichte czy Verfassungsgeschichte dygresje, czasem przeciążone ilością szczegółowych faktów i naruszające proporcje problematyki, sygnalizują nadciągający nieuchronie przewrót na gruncie polskiej historiografii ustroju.

Bo czymże jest ustrój i czym powinna być historia ustroju, oraz co oznacza wtargnięcie do tej historii, historii politycznej tak silnie, jak nigdy jeszcze dotąd?

Mówi się o ustroju prawnym, o ustroju gospodarczym, o ustroju społecznym. Historia ustroju to była historia ustroju państwa, organizacji i kompetencji jego władz oraz odpowiadających im praw i obowiązków ludności. Wszystko elementy prawnicze.

Ale w okresie wielkich przemian, w jakim się znajdujemy, życie przebija ten dogmatyzm prawny całą obfitością swojej pełnej społecznej treści. Spostrzega się wówczas, że ustrój prawny nie jest wartością integralną, że sam w sobie — wbrew pozorom—nie znaczy nic, że jest „zrośnięty“ z życiem więcej, że jest jednym z jego aspektów tylko, że stanowi nic innego, jak projekcję w kategorie prawne wartości ustroju gospodarczego, społecznego, kulturalnego, cywilizacyjnego w ogóle. I znaczy przeto coś tylko wraz z nimi, jako ich aktualny wyraz.

Mogłoby się zdawać, że proporcje te musiały być już wyznaczone przez szkołę historyczną. Taki był konieczny kierunek rozwoju, ale zawładnięcie historii ustroju przez prawoznawstwo, a tendencje autonomizmu dogmatycznego w samym prawoznawstwie spowodowały, że historia ustroju w nikłym tylko stopniu wychodziła poza zagadnienia urządzeń ku ich życiowemu znaczeniu.

A więc nie historia ustroju prawnego w oderwaniu od życia. Ale także nie, zamiast niej, historia ustroju gospodarczego lub historia ustroju społecznego.

Ustrój państwa — to jego struktura we wszystkich płaszczyznach życia, ustrój prawny to wyraz tej struktury. Historia ustroju (państwa) ma za zadanie zajmować się ustrojem prawnym jako wyrazem struktury państwa, a zatem m. in. oznaczać także stopień odpowiedniości ustroju prawnego względem gospodarczego, społecznego etc., sygnalizować ewentualną nierównomierność w ich równoległym rozwoju i skutki zahamowań.

Prof. Wojciechowski nie reprezentuje jeszcze tak pojętej historiografii ustroju. Oficjalnie stoi na gruncie klasycznej szkoły prawniczej, dogmatycznej i formalizującej. I nie zdaje sobie sprawy z istotnych potrzeb przedmiotu. Ale czuje, że sam instytucjonalizm prawniczy nie wystarczy, pełen jest życia, które wciąż idzie, z historyka ustroju przedzierzga się, jak powiedzieliśmy, w historyka politycznego, albo i więcej, jest wciąż jednym i drugim.

Droga ku pogłębieniu historii ustroju rokująca pierwszorzędne rezultaty.

Niestety zjawia się tutaj zapora. Tym razem pod postacią formalizmu historii

p o l i t y c z n e j. Polityka — to kształtowanie życia, historia polityczna powinna by być historią całego tego zespołu zdarzeń. Ale jakże często jest tylko historią zmian pozycji współgrających organów państwowych, krajowych i zagranicznych, w oderwaniu od kontekstu i całego podłoża życiowego: przebieg wojen, przebieg gier dyplomatycznych, awanse i degradacje kompetencyjne poszczególnych urzędów i władz państwa. Interesująca gra polega na p r z e s u n i ę c i a c h p i o n k ó w n a s z a c h o w n i c y; emocjonuje, ale w istocie nie znaczy nic. Historiografia nasza uległa sformalizowaniu w stopniu bardzo znacznym, problematyka ekonomiczna nie ma większego dostępu do historii politycznej, problematyka społeczna — tylko w zinstytucjonalizowanych formacjach „stanów" społecznych, poza etykietką samą, pozbawionych właściwie bogatszej treści.

Ta zapora czeka na przełamanie. Stoimy już bezpośrednio przed nią.

III

W każdym większym zarysie historii czołowym problemem jest p o d z i a ł n a o k r e s y. Jest on konwencjonalny i stanowi przede wszystkim element organizacyjny samej techniki wykładu. Zarazem jednak organizuje i treść wykładu, i daje jej wymiary i znaczenie.

Podział historii ustroju Polski był przedmiotem żywego sporu między Kutrzebą a Balzerem przed 40 laty. Balzer ujmował zagadnienie to filozoficznie: u s t r ó j, według niego, t o s t o s u n e k w z a j e m n y d w u e l e m e n t ó w: s p o ł e c z n e g o i p a ń s t w o w e g o, d w u o r g a n i z a c y j: s p o ł e c z n e j i p a ń s t w o w e j. Okres obejmuje pewne, w zasadzie niezmienne, zestosunkowanie obu elementów; dwa kolejne okresy różni właśnie stosunek wzajemny tych elementów. Historię ustroju Polski dzielił na 3 okresy: o k r e s w ł a d z y k s i ą ż ę c e j — z przewagą czynnika państwowego nad społecznym (do XII/XIII w.); o k r e s s a m o r z ą d ó w s t a n o w y c h — równowagi obu czynników oraz wzajemnej równowagi między stanami (XIII — XV/XVI w.); o k r e s R z e c z y p o s p o l i t e j s z l a c h e c k i e j — przewagi czynnika społecznego, jednego stanu: szlachty, nad czynnikiem państwowym i innymi stanami.

Kutrzeba uległ z czasem temu podziałowi, przynajmniej jego terminologii, ale pod nią szedł u niego mechaniczny podział na dynastie: piastowską, jagiellońską i królów elekcyjnych.

Według Wojciechowskiego „zgodzić się trzeba z Siemieńskim, że kryteria na podstawie których wyróżniamy okresy, stanowić musi z m i a n a w p o d m i o c i e w ł a d z y p a ń s t w o w e j, ile że historia tego czynnika stanowi niewątpliwie najistotniejszą treść dziejów państwowych" (str. 18). Nie wydaje się jednak, aby w własnym podziale utrzymał to stanowisko. Zachowuje podział Balzera. Znaczy to, że nie ma na myśli podmiotu władzy formalno-prawnego, lecz faktyczny. Obok króla - księcia stały się współpodmiotem władzy publicznej od imunitetów—stany.

Gorzej z przejściem w okres następny. Podmiot właściwie nie bardzo się zmienił. Tyle że ze stanów uprzywilejowanych wykrystalizował się sejm i jeszcze obok nich i króla stał się współpodmiotem władzy. Miał słuszność Balzer, że nastąpiło przesunięcie punktu ciężkości, że zarysowała się sytuacja przewagi jednego stanu nad innym (zresztą innego prawnie a innego politycznie); zespół podmiotów władzy z poprzedniego okresu nie uległ zmianie.

Wojciechowski czuje jednakże niewystarczalność ram, jakie przyjął i, poza podziałem już, dopowiada rozwój w XVI w.

Historia ustroju Polski powinna być (moim zdaniem) podzielona cała na trzy wielkie okresy. T w o r z e n i e s i ę p a ń s t w a, kształtowanie się jego struktury i instytucyj określających ją — to okres pierwszy od X — XVI w. Okres drugi — to czas ukształtowanej już w pełni struktury tego państwa a więc „szlacheckiego" — wiek XVI — XVIII. Okres trzeci — to rozkład tej struktury datujący się od XVIII w. Okres I byłby okresem, którym zajmuje się prof. Wojciechowski. Dydaktycznie i rzeczowo wskazneby było podzielić ten okres z kolei na 3 podokresy — odpowiadające trzem wyraźnym okresom tzw. dziejów politycznych, ale mające własne rzeczowe, strukturalne uzasadnienie. Pierwszy podokres — to czas pierwszych Piastów, wiek X — XII, p a ń s t w o z e s p o l o n e. Podokres drugi — to czas p o d z i a ł ó w d z i e l n i c o w y c h, wiek XII — XIV, wreszcie trzeci — czas z j e d n o c z e n i a.

Każdy z nich ma własną odmienną a bardzo wyrazistą treść. Państwo pierwszych Piastów historycznych — to p o w s t a w a n i e n o w e g o k r ę g u p o l i t y c z n e g o o s t r u k t u r z e z a c h o d n i e j, ś r e d n i o w i e c z n e j, p o r z y m s k i e j, t o i n w a z j a s i ł s p o ł e c z n y c h, u r z ą d z e ń, p r o b l e m a t y k i, c y w i l i z a c j i k a t o l i c k i e g o ś w i a t a ó w c z e s n e g o. Zarazem jest w tym wysiłek zorganizowania, scalenia obszaru gospodarczego określonego drogą „bursztynową" — magistralą handlową Dunaj — Bałtyk. Trwałe zajęcie czeskiego Krakowa a przejściowe i innych krajów dawniejszego imperium wielkomorawskiego oznaczało dalszy kierunek parcia na starszy obszar cywilizacyjny, naddunajski. Był to teren dawniejszych oddziaływań Bizancjum, współcześnie już rugowanych przez wdzierający się i tutaj świat katolicki. Kontakty Kraków — Praga i Kraków — Kijów, niewątpliwie pochodzenia bizantyjskiego jeszcze, utrzymały się i po rozdzieleniu ich linią nowego państwa.

S t o s o w a n a p r z e z h i s t o r i ę u s t r o j u m e t o d a o b s e r w a c j i ziem p o l s k i c h j a k o i z o l o w a n e g o w y c i n k a t e r y t o r i u m E u r o p y n i e m o ż e d a ć d o b r y c h r e z u l t a t ó w.

Dla Europy zachodniej można posłużyć się konstrukcją Pirenne'a. Ekspansja Arabów dezorganizowała dotychczasowy system gospodarczy śródziemnomorski, wielki handel w krajach zachodnich został przerwany, wymianie lokalnej i gospodarce naturalnej odpowiadało zaś politycznie zatomizowane terytorium i sfeudalizowanie ustroju. Urosło znaczenie lokalnej produkcji rolnej. Konsekwencją agrarnej struktury świata zachodniego musiała być ekspansja. Na ziemiach polskich odczuta została ona u progu historii, a założenie podwalin nowego ustroju za pierwszych Piastów historycznych należałoby uważać za początek kolonizacji tych ziem.

Nie można też ignorować pozycji i roli Bizancjum.

W tym czasie kiedy kraje Europy zachodniej przechodziły ostry kryzys strukturalny Bizancjum utrzymało łączność ze wschodem i wielki handel. W jego orbicie znajdowała się Ruś. Bizancjum jako antyteza gospodarcza i polityczna zachodu miała się doczekać likwidacji w wyprawach krzyżowych.

Ruś została wyłączona z kręgu gospodarczego bizantyńskiego z końcem XI

wieku. Najpierw Połowcy, potem Tatarzy odcięli ją od Morza Czarnego i nieustannie wyniszczali. Musiało się to odbić i na szlaku handlowym Polska — Ruś. Skutki upadku wielkiego handlu w Europie wschodniej były podobne do skutków upadku wielkiego handlu w Europie zachodniej, o trzy wieki wcześniej: atomizacja terytorium, agraryzacja, feudalizacja.

Tymczasem zachód Europy odzyskał w krucjatach Morze Śródziemne i ponownie wstąpił na drogę wymiany, która go doprowadzi do kapitalizmu. Za linię dzielczą dwu tych struktur należy uważać Łabę. Zadziwia trwałość tego podziału, odczuwa się go jeszcze dzisiaj, a pełną rzeczywistością był do uwłaszczenia, a więc do XIX wieku. Po jednej stronie rozwijał się system samodzielności gospodarczej szerokiej masy ludności. Określa ten system rola miast, a na wsi gospodarka czynszowa. Struktura krajów na wschód od Łaby przypominała strukturę kolonialną: system niewoli chłopskiej, folwark pańszczyźniany, samodzielność gospodarcza i polityczna tylko panów agrarnych.

Drugi podokres historii ustroju Polski — czas rozbicia dzielnicowego — był kolejnym etapem rozwoju tego ustroju, który został założony w Polsce w pierwszym podokresie, agrarnego ustroju wielkiej własności ziemskiej. Na ten podokres przypada kolonizacja, akcja immunitetów, formowanie się stanu szlacheckiego.

Rozdrobnienie dzielnicowe stwarzało odpowiednie warunki dla wszystkich tych zjawisk.

Z kolei następny etap tej samej drogi: ekspansja. Agrarnej gospodarce musiała być zapewniona przestrzeń produkcyjna i zbyt. Z innych przyczyn niż cztery wieki wcześniej stawało się znowu potrzebne wielkie państwo. Zjednoczenie, podbój Rusi, unia z Litwą i wojna na całej granicy wschodniej — oto realizacja tego programu. Zaciążyła ona na następnym okresie historii Polski.

IV

W Rozprawie „Dwa ośrodki państwotwórcze w Polsce na przestrzeni dziejów i ich zasięg geograficzny" (Kwartalnik Historyczny 1937, przedruk w zbiorze 1946) skarżył się Wojciechowski na to, że spojrzenie naszej historiografii na nowożytne dzieje Polski jest mało syntetyczne.

Ale co w takim razie powiedzieć o historiografii naszego średniowiecza?

I w tym kierunku ma Wojciechowski niewątpliwe zasługi. W pracach poświęconych problemowi granicy zachodniej (ostatnio książka „Polska—Niemcy. Dziesięć wieków zmagania". 1945, reedycja konspiracyjnego druku w czasie okupacji) jasno i ostro nakreślił rolę tej granicy w dziejach Polski. W dziejach ustroju naszego średniowiecza poświęcił zachodnim sprawom Polski, w szczególności stosunkowi do Cesarstwa tyle miejsca, ile dotąd u nikogo nie miały i w odniesieniu do nich głównie wprowadził obfity materiał historyczno - polityczny, o którym już wspominałem.

Konstrukcja Wojciechowskiego jest konstrukcją strategiczną. Jaka linia graniczna byłaby strategicznie korzystna dla Polski, a jaka musiała być strategicznie zła i dlaczego. Rola strategiczna linii granicznych jest wielka, a obraz Wojciechowskiego przekonywający. Ale sprowadzenie całej polityki jedynie do tego zagadnienia nie może wystarczyć. Granica to nie tylko wojna, lecz i czas pokoju, i przede

wszystkim czas pokoju. A w takim razie poza zagadnieniem linii granicznej musi istnieć zagadnienie terytorium objętego granicą. Problematyka gospodarcza związana problematyką socjalną musiałaby wystąpić w tym ujęciu na pierwszy plan. Na razie w historiografii ustroju, w historiografii politycznej i także u Wojciechowskiego brak jej niemal zupełny.

Wojciechowski ma odwagę zestawić fakty **zależności Polski wobec** Cesarstwa niemieckiego oraz fakty udziału Cesarstwa w budowaniu państwa polskiego, mimo że szczególnie teraz muszą być nam one bardzo niemiłe. A więc „kooperacja" polsko-niemiecka za Mieszka I (wiernym cesarzowi nazywa go Dietmar; jego małżeństwo z córką margrabiego marchii północnej, Chrobrego z córką margrabiego Miśni), uroczystości gnieźnieńskie 1000 r., udział Chrobrego w ceremoniach dworskich w Merseburgu, podległość lenna Polski za Mieszka II, restytucja państwa przez Odnowiciela w porozumieniu z Niemcami, trwanie podległości lennej za Śmiałego, z Pomorza — za Krzywoustego, interwencja Barbarossy na rzecz synów Władysława II i deklaracja lenna krzyszkowska Kędzierzawego. „Henryk Brodaty dążąc do odnowienia królestwa zamierzał dojść do tego przez nawiązanie stosunku prawnego Polski do Cesarstwa. Podobne plany jak Henryk Brodaty podjął później Henryk IV (wrocławski) składając w r. 1280 w Wiedniu hołd lenny Rudolfowi z Habsburga".

Habsburgowie dysponowali koroną polską jako lennem na rzecz obu Wacławów czeskich, po których sami mieli wejść w posiadanie czeskiej korony. Rozgrywka dynastii cesarskich o Czechy i Polskę powiodła się. Kończyły ją rezygnacje polskie ze Śląska na rzecz Luksemburgów, a z Czech i Węgier na rzecz Habsburgów. Odtąd miały się zacząć rezygnacje polskie na północy na rzecz państwa pruskiego.

Można by dodać do tego, że Łokietek przeprowadził swoją akcję nie tylko w oparciu o Bonifacego VIII i Andegawenów węgierskich, lecz i o cesarza.

Koncepcja polityki antyniemieckiej jako ogniskowej spraw polskich sprowadza Wojciechowskiego w kilku miejscach z drogi trzeźwej oceny sytuacji.

Na pierwszym miejscu sprawa stosunku Polski do papiestwa.

Zależność Polski w średnich wiekach od Stolicy Apostolskiej traktuje Wojciechowski jako tzw. reasekurację w stosunku do Niemiec. Idzie w tym za Balzerem. Pomijam prawniczą wadliwość terminu. Można by mówić tylko o asekuracji, reasekuracja oznacza asekurację drugiego rzędu, asekurowanie się asekurującego. Ale czy są rzeczowe podstawy, aby stosunek Polski do Stolicy Apostolskiej zwłaszcza za Mieszka I ujmować jako asekurację?

Subiektywnie dla samego Mieszka chrystianizacja i poddanie Polski Rzymowi mogło mieć znaczenie próby asekuracji, ale obiektywnie były one jeszcze jedną formą rezygnacji wobec Cesarstwa. „Polityczny wzrost potęgi Niemiec w X wieku dał pobudkę do nowego naporu Misji" — stwierdza niemiecki historyk kościoła Karol Heussi. Zależność Stolicy Apostolskiej od Cesarstwa była w 966 r. zupełna. W 963 usunął Otton Wielki niewygodnego sobie papieża Jana XII, w 965 kazał wybrać papieżem Jana XIII. Również zależność Czech od Cesarstwa w tym roku

była całkowita. Brat św. Wacława, Bolesław czeski, został zmuszony przez Ottona do uznania lenna cesarskiego i chrześcijaństwa (po reakcji narodowo-pogańskiej, analogicznej do późniejszej Słowian północno-zachodnich i polskich). Za rządów tego właśnie Bolesława przybyła z Czech do Polski misja polityczna i religijna, której rezultatem był chrzest Mieszka i zaślubienie Dąbrówki.

Przyczyna zaś, dlaczego misja ta przybyła od Czech a nie wprost od Cesarstwa, jest oczywista. Droga ku Polsce wprost od zachodu była utrudniona. Teren był w przededniu rewolucji, która miał znieść tam słabe jeszcze początki chrystianizmu.

Sytuacja od południowego zachodu była zupełnie inna. Penetracja terenu polskiego przez kościół od tej właśnie strony datowała się jeszcze z poprzedniego stulecia. Wówczas została dokonana chrystianizacja państwa Wiślan (połączona z jego podbojem). Teren ten, w niedługim już czasie składowa część państwa Mieszka, w 966 r. należał jeszcze do Czech, gdzie chrześcijaństwo zostało odnowione już kilkadziesiąt lat wcześniej.

W 966 r. znajdowało się ono tam po pokonanej już rewolucji, gdy od stony Niemiec — właśnie tuż przed nią.

W tym czasie wchodziły jeszcze Czechy w skład diecezji ratyzbońskiej i podlegały arcybiskupstwu moguckiemu. Zwierzchnikiem politycznym tych jednostek kościelnych był cesarz, jak to przypomina i Wojciechowski. W innym zaś miejscu swego zarysu sam zauważa, że przyjęcie chrztu przez Mieszka dokonało się w konsekwencji układu zawartego z cesarzem Ottonem I za pośrednictwem margrabiego Gerona w 966 r. i mówi o sugestiach kontrahentów tego układu, pod wpływem których nastąpiło przyjęcie chrześcijaństwa.

Wojciechowski solidaryzuje się ze zdaniem Tyca, że „cesarstwo rzymskie królów niemieckich to w oczach Polski — zgodnie z opinią żywą przez cały ciąg wieków średnich — przede wszystkim „advocatia" („Vogtei") kościoła rzymskiego czyli obowiązek pomocy i opieki. Według Tyca miałoby to dowodzić, „że orientowano się u nas dobrze we współczesnych terminach politycznych". Czy nie więcej orientowano się w rzeczywistym układzie stosunków?

## V

Sprawa zachodnia, niemiecka, przesłania Wojciechowskiemu wagę sprawy wschodniej. W sprawie ruskiej, obok krzyżackiej, widzi wprawdzie Wojciechowski szczególną przyczynę, która skłaniała Polskę do unii z Litwą. Zaznacza też, że po śmierci Kazimierza Wielkiego w czasach Ludwika Węgierskiego ton polityce polskiej nadawali panowie małopolscy, którzy mieli na oku sprawę południowego wschodu przede wszystkim, jest zrozumiałe, że do rozwiązania sprawy krzyżackiej poszli po śmierci Ludwika drogą, która zapewniała pomyślny rozwój problemów południowo-wschodnich.

Przede wszystkim porządek obu spraw. Sprawa wschodu była sprawą przestrzeni produkcyjnej — conditio sine qua non — gospodarki agrarnej. Sprawa pomorska, bo o tę właśnie idzie na zachodzie, to tylko sprawa zbytu, tylko, gdyż w każdej sytuacji można go

jakoś zorganizować, jeżeli się ma co zbyć.

*Dlatego wschodnia polityka polska jest wyraźna, konsekwentna i popularna, mobilizuje potrzebne siły i przynosi rezultaty, polityka pomorska natomiast rwie się, jest chwiejna, zadowala się kompromisami, nie potrafi porwać „narodu“, przynosi ostatecznie klęskę.*

Sprawa Rusi zaciążyła na dziejach ustroju Polski w sposób niebywały. Właśnie *konieczność ekspansji uwarunkowała zjednoczenie państwa* w XIV w. Zajęcie Rusi jest pierwszym dziełem odnowionego państwa (przy równoczesnych rezygnacjach na zachodzie). Zajęta przez Kazimierza Wielkiego stała się z kolei Ruś Halicka główną przyczyną prób zespolenia Polski z Węgrami, które na drodze analogicznego do Polski rozwoju społecznego osiągnęły w tym samym czasie stadium ekspansji terytorialnej i roszczenia ich kierowały się również w stronę Rusi. Połączenie obu państw rozwiązywałoby spór o Ruś i stwarzało potężny organizm polityczny o podobnej strukturze socjalnej. Ten program forsowało możnowładztwo, świadoma swych interesów aktywna klasa społeczna. Tymczasem jednak konstelacja uległa zmianie. Większość ziem ruskich dostała się pod rząd książąt litewskich, a możliwość utrzymania, względnie uzyskania dalszych ziem Rusi przez Polskę, zwłaszcza Podola i Wołynia otwierała się przez kontakty już nie z Węgrami, wchodzącymi teraz stopniowo w orbitę Cesarstwa (przez Luksemburgów), ale z Litwą. Niższość cywilizacyjna Litwy z punktu widzenia rzymskiego i polskiego stwa- rzymskiego i polskiego stwarzała ponęt- rzała ponętne perspektywy dla misyj i kolonizatorów. Po Rusi Halickiej przyszła kolej na Podole i Wołyń. Podole zajęli Polacy ostatecznie po śmierci Witolda w 1430 r. W 1434 r. rozszerzono na te ziemie prawo polskie, za Kazimierza Jagiellończyka żądano już Wołynia, a w 1569 r. przyłączono do Korony nie tylko Wołyń, ale i Podlasie, i Ukrainę bracławską, i kijowską. Stanowiło to włączenie połowy Obszaru Wielkiego Księstwa Litewskiego do Korony, która w ten sposób podwoiła swoje terytorium.

Już Balcer zwrócił uwagę na następstwa przeniesienia stolicy państwa do Krakowa. Polityka północno-zachodnia ustąpiła miejsca południowo-wschodniej.

Do sprawy tej powraca Wojciechowski w cytowanej już rozprawie pt. „Dwa ośrodki państwotwórcze w Polsce“ i na efektownej mapce uzmysławia wielkość przestrzennego sukcesu polityki małopolskiej przy rezygnacjach na zachodzie i północy. Wojciechowskiego interesuje jednakże prawie wyłącznie sprawa tych rezygnacji a nie ekspansji na wschód. W zarysie dziejów ustroju zaś — omawiając te zagadnienia nie wychodzi poza tradycyjne ujęcia: etapy unii z Litwą zreferowane są według tenoru tekstów prawnych, od strony formy związku dwu państw. Inkorporacja, unia personalna, podporządkowanie na podobieństwo lennego, unia realna etc. O niektórych z nich rozstrzyga słownictwo aktu, inne są etykietą formalno - prawnego stanowiska panującego, unia realna etc., sygnalizuje wspólność pewnych władz. O związkach gospodarczych i ich wyrazie prawnym, o oddziaływaniu socjalnym obu państw na siebie, o postępach rzeczywistej inkorporacji czy asymilacji nie dowiadujemy się nic. Problematyka społeczna i ekonomiczna „unii“ nie dochodzi do gło-

su. Pod postacią „roli cywilizacyjnej“ Polski na nowych ziemiach nie sposób jej bowiem odcyfrować.

VI

Sugestie nauki niemieckiej oraz szlacheckiej doktryny postępowej z okresu 1750 — 1860 wykrzywiły zupełnie obraz dziejów wsi w Polsce. Dogmatyzm prawnoustrojowy, uleganie tenorowi tekstów prawnych dały w rezultacie aprobatę kolonizacji niemieckiej (względnie na prawie niemieckim) w Polsce. Kolonizacja ta rzekomo przyniosła chłopom i wolność, i dobrobyt.

Wojciechowski uważa, że kolonizacja dopełniła procesu tworzenia się wielkiej własności ziemskiej. Wspomina też o tym, że powinności uiszczane przez wsi na prawie niemieckim i przez wsi nie na prawie wzajemnie się do siebie asymilowały. A przecież powtarza oceny tradycyjne.

W rzeczywistości kolonizacja przez konstrukcję emfiteuzy — dzierżawy poderwała prawa chłopów do ziemi. Wedle Wojciechowskiego „wolny osadnik za cenę podległości władzy patrymonialnej pana gruntowego, występującej zrazu, w postaci łagodnej — dzięki instytucji sołtysów i samorządowi wsi — otrzymał stałe prawo do gruntu“. Tylko pierwsza część tego twierdzenia jest słuszna. Prawo niemieckie — jako odmiana immunitetu stwarzało chłopom niewolę jurysdykcyjną, warunkującą już i wszystkie inne odmiany niewoli. Prawo do gruntu — emfiteutyczne — otrzymywał nowy osadnik; chłop polski przenoszony na prawo niemieckie tracił lepsze swoje prawo do ziemi — prawo własności chłopskiej. Wojciechowski uważa jednakże w odniesieniu do okresu przed kolonizacją, że „mówić trzeba o zaniku prawa własności u ludzi, którzy stali się włościanami, a raczej ściślej — o wyłonieniu się warstwy wolnych włościan z tych, którzy własność ziemską utracili“. Taka konstrukcja wynika u niego z tezy, wedle której „do warstwy rycerskiej, a później szlacheckiej weszły te z elementów, które posiadając ziemię były w stanie pełnić służbę wojskową jako rycerze — milites“.

Ale koncepcja, że chłopi przed kolonizacją nie mieli prawa do ziemi — pozbawiona jest wszelkiej podstawy źródłowej! Nad ich posiadaniem rozciągnęły się prawa własności wielkiej, nie znaczy to, aby musieli utracić swoje prawa — własności „małej“ — w obrębie wielkiej. Prof. Grodecki przyznaje z rezygnacją, że nie znane są okoliczności, w jakich chłop utracił prawa własności ziemi. Bo też okoliczności takich wcale nie było — poza powstawaniem wielkiej własności, co pomniejszało prawa chłopskie stopniowo w miarę wzrostu praw dworskich, ale od razu tych praw chłopskich całkowicie nie przekreślało. T z w. k o l o n i z a c j a b y ł a j e d n y m z c z y n n i k ó w r o z w o j u w i e l k i e j w ł a s n o ś c i (nie dopełniła go jeszcze! jak o tym Wojciechowski) i r ó w n o c z e ś n i e b y ł a j e d n y m z c z y n n i k ó w p o m n i e j s z a n i a p r a w c h ł o p s k i c h d o z i e m i. N i e m o g ł o b y ć i n a c z e j!

VII

W porównaniu z poprzednikami Wojciechowski w z b o g a c a o b r a z h i s t o r i i u s t r o j u P o l s k i p r z e z u w y d a t n i e n i e r o l i s z e r e g u c z y n n i k ó w o b c y c h w j e g o k s z t a ł t o w a n i u s i ę. Przede wszystkim wyznacza się donioślejszą rolę kościołowi. Nie zaciera jego przodującej pozycji w formowaniu się wielkiej własności ziemskiej, w powstaniu warstwy ludności przypisanej do gruntu, w akcji immunitetowej; uwydatnia rolę kościoła w

walkach Piastowiczów o tron, systematyczne popieranie juniorów (młodszych książąt) celem korzystnego dla siebie osłabienia władzy książęcej. Identyczna była polityka cesarstwa.

„Wiadomo — pisze Wojciechowski— że po upadku państwowości rzymskiej biskupi w poszczególnych diecezjach w danych civitates stali się ostoją porządku i ładu, a zarazem wyrazem ciągłości pomiędzy dawnym i nowotworzącym się porządkiem rzeczy. Z tego punktu widzenia organizacja kościelna w Polsce jest łącznikiem pomiędzy światem rzymskim, który na ziemie polskie bezpośrednio nie sięgał, a Polską". Wojciechowski chciałby przeciwstawić ten świat rzymski (kraje dawnego imperium, południowo-zachodnie Niemcy) wrogowi Polski —Cesarstwu, ale materiał faktyczny, jaki wprowadza do swojej książki, przemawia całkowicie przeciwko tej tezie.

Wojciechowski uwydatnia w ustroju polskim tzw. wpływy obce, zapożyczenia, przejęcie obcych wzorów, naśladowanie ich. Obszar rzeczowy tych „wpływów" jest ogromny. Cała niemal organizacja urzędów państwowych, system skarbowy (monopole, cła, mennica), akcja immunitetowa, kształtowanie się stanów w Polsce, kolonizacja, szereg treściowych elementów feudalizmu; na pierwszym miejscu należałoby uzupełniająco wymienić podstawowe pojęcia społeczne i gospodarczo - prawne dotyczące wielkiej własności ziemskiej.

Wchodziły tu w grę „wzory" frankońskie wzgl. karolińskie, wpływy czeskie, węgierskie i niemieckie, oraz rzymskie. Ogrom tych wpływów i wzorów w całości ustroju polskiego poważnie świadczy o jego kolonialnym charakterze. Trzeba tylko przestąpić zaczarowany krąg formalistyki i dogmatyki prawno-ustrojowej i stanąć na realnym gruncie życia i jego rozstrzygających sił. Wzory ustrojowe — to nie oderwane i integralne szablony - kompozycje — ale konkretne sploty sytuacyjne, elementy pewnej rzeczywistej struktury społecznej. Wpływy, zapożyczania, naśladownictwo form ustrojowych oznaczają przede wszystkim oddziaływanie rzeczowych elementów struktury społecznej jednego kręgu cywilizacyjnego na drugi. „Wpływy" w zakresie ustroju, to nie wpływy literackie, ale polityczny wpływ silniejszej formacji socjalnej na słabszą.

## VIII

Metody, jakie się utarły w naszej historiografii, muszą poważnie niepokoić. Biorę kilka przykładów z pracy Wojciechowskiego. Tam gdzie ponosiliśmy klęski, Wojciechowski próbuje stanąć na realnym gruncie. „Utrata Śląska przez Polskę, pisze, nie da się wytłumaczyć tylko brakiem znajomości w Polsce urządzeń lennych. Dokonała się przede wszystkim pod naciskiem zbrojnym". Natomiast tam, gdzie nie działa alarmowy dzwonek naszych niepowodzeń, posługuje się tradycyjnym słownictwem: polskie nabytki są z reguły — gdyby wierzyć terminom historii ustroju—nabytkami nie pod naciskiem, nabytkami, z prawa, z układu — umowy, a w każdym razie z prawa słuszności.

A znowu w innym miejscu czytamy: „Przemyślidzi starali się na tej drodze (lenna cesarskiego) umocnić swoje słabe tytuły do ziem polskich idąc przy tym po tradycyjnej linii panujących czeskich, w sposób najbardziej sprzeczny z zasadą suwerenności państwa polskiego w stosunku do Cesarstwa, przestrzeganą z reguły i z uporem przez Piastów". Ależ je-

go własny regestr piastowskich hołdów lennych wyraźnie przeczy temu!

Zarys Wojciechowskiego przynosi obfitość faktów uderzających w niewzruszony staw formalistycznych konstrukcji dotychczasowej historiografii ustroju Polski, wzburza go pierwszą falą faktów — niestety tylko „politycznych", a jeszcze nie ekonomicznych i socjalnych.

Stanisław Śreniowski

* * *

**Zajączkowski Stanisław, Dzieje Zakonu Krzyżackiego.** Biblioteka popularno-naukowa Spółdz. Wydz. „Książka", Łódź — 1946.

Tytuł pracy Stanisława Zajączkowskiego wymagałby drobnego uzupełnienia, a to: Dzieje polityczne Zakonu Krzyżackiego. Rozprawka popularna, dająca doskonałe ujęcie syntetyczne tego tematu, przeznaczona jest dla szerokich rzesz czytelników. Synteza daje jasny obraz sytuacji ówczesnej, podnosi momenty nie dość akcentowane w dotychczasowej nauce polskiej. A to np. zasięg terytorialny Zakonu (rozrzucenie dóbr jego na Wschodzie, w Grecji, w Niemczech etc.) a przede wszystkim okrążenie Litwy przez jego dwa człony, pruski i inflancki. Próby opanowania Pskowa, miasta handlowego będącego wówczas bramą wypadową do Rusi i Moskwy, itp.

Przedstawienie dziejów Zakonu na szerokim tle dziejowym, doskonałe powiązanie splotu wydarzeń stwarza jasny obraz całości tego zagadnienia, a aktualność tematu i dobre ujęcie stylistyczne dają wiele zadowolenia z tej lektury.

**Górski Karol. Państwo Krzyżackie w Prusach.** Gdańsk—Bydgoszcz, 1946, Instytut Bałtycki, str. 295.

Instytut Bałtycki zamierzał wydać przed wojną trzytomowe dzieje Prus Wschodnich — pracę zbiorową. Zamierzenie to zrealizował tylko częściowo. Drukiem ukazały się prawie wszystkie rozprawki tomu pierwszego (Prusy Krzyżackie) oraz pierwsze rozprawki dalszych tomów. Wojna przeszkodziła kontynuowaniu wydawnictwa. Obecnie Instytut wznowił swoją działalność, a wśród kilku pierwszych prac wydał pracę K. Górskiego, autora szeregu rozprawek monograficznych z dziejów Prus Wschodnich. W nowej swojej pracy dał nam autor całokształt dziejów Prus pod panowaniem krzyżackim. Synteza K. Górskiego jest pierwszą tego rodzaju pracą w literaturze historycznej polskiej — pracą bardzo na czasie. Autor oparł się na literaturze, a przede wszystkim na aktach Stanów pruskich (Acten der Ständetage), oraz na skąpo cytowanych materiałach Archiwum Królewieckiego, Gdańskiego i Toruńskiego. Główne zainteresowanie autora skupia się na dziejach politycznych Prus, tło społeczno-gospodarcze i ustrojowe jest istotnie zaledwie tłem lekko zarysowanym. Punkt ciężkości pracy to szczegółowe przedstawienie tzw. Związku Jaszczurczego szlachty pruskiej a później Związku Stanów Pruskich tj. miast i szlachty, i ich walki z Zakonem. Ta część pracy jest szczególnie rozbudowana.

Autor solidnie przepracował materiał, stworzył całość drobiazgową i sumienną. Brak tu jednakże czytelnikowi tła porównawczego, brak szerszego oddechu, wejrzenia w przemiany gospodarcze i spo-

łeczno-ustrojowe Europy współczesnej. Ledwie zaznaczone kontakty z Hanzą nie pozwalają domyślić się, że rola Hanzy w rozwoju gospodarczym Zakonu musiała być znacznie poważniejsza. Wszak oba jego człony, pruski i inflancki leżały na drodze do ówczesnych źródeł surowca (drzewo budulcowe, zboże, skóry etc), do Polski, Rusi i Moskwy. To były szlaki handlowe Hanzy i ta okoliczność musiała być jedną z głównych przyczyn osiedlenia się Zakonu tam właśnie. Zakon spełniał rolę gospodarczego Drang nach Osten i dzieje Zakonu należałoby rozpatrywać jako jedną z form kolonizacji niemieckiej w średniowieczu.

Drugą sprawą, którą tu przykładowo poruszamy, to rewolucja Stanów pruskich przeciwko Zakonowi. Nie była to jedyna rewolucja stanowa we współczesnej Europie; wyrastanie stanów, tworzenie się przedstawicielstw stanowych było wówczas zjawiskiem powszechnym.

Wiele zastrzeżeń budzą uogólnienia historiozoficzne autora i jego górny ton w ocenie zjawisk historycznych „Polska jako sędzia i oskarżyciel". „Państwo krzyżackie pełne tragizmu i ciężaru zbrodni, prób wyzwolenia się z kajdan materii i popadania w sprzeczność z samym sobą". A dalej „sens dziejów (Zakonu) fałszywym tonem dźwięczący w poczynaniach pruskich, zrodzony z podłości i rozpaczy, zbrodni i przemocy — spiętrzonych jak zwały kamienia murów zamku krzyżackiego". Ów patos autora, któremu się nie dziwimy, jest nim bowiem przesiąknięta cała nasza historiografia (choć nie brak jej także rzeczowo-krytycznego tonu) — razi dzisiejszego czytelnika. Stać nas już na to, by ocenę zjawisk dziejowych podawać w tonie rzeczowym i spokojnym, porzucić wreszcie ton wieszczy, który dziś już do nikogo nie przemawia.

Końcowe ustępy książki są dosłownym (sic!) powtórzeniem poglądów autora, wypowiedzianych przezeń w pracy pt. „Ustrój państwa i Zakonu Krzyżackiego" wydanej w 1938 r. Mimo zastrzeżeń, praca K. Górskiego jest poważną pozycją w naszej najnowszej historiografii.

Krystyna Śreniowska

* * *

**Tadeusz Czeżowski. Główne zasady nauk filozoficznych.** Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Toruń, 1946 r. str. 198.

W życiu powojennym obserwujemy ciągle jeszcze ogromny brak podręczników tak szkolnych jak i uniwersyteckich. Wydania przedwojenne przeważnie znikły z półek księgarskich, a wydań nowych brak w dostatecznej ilości. Utrudnia to pracę tak nauczycielstwu, jak uczącej się młodzieży. Dlatego każde nowe wydawnictwo podręcznikowe witamy ze zrozumiałą radością i zainteresowaniem. Takim właśnie nowym wydawnictwem jest drugie wydanie szkolnego podręcznika propedeutyki filozofii prof. Tadeusza Czeżowskiego. Autor w usprawiedliwionej dążności oddania dobrej pomocy naukowej w ręce jak najszerszych rzesz zainteresowanych, wydał swą książkę pod zmienionym tytułem, informując we wstępie, że zmieniony i uzupełniony podręcznik szkolny ma służyć teraz również młodzieży akademickiej, ma być podstawą do egzaminu z „Głównych zasad nauk filozoficznych", obowiązującego na wydziałach humanistycznych i matematyczno-przyrodniczych uniwersytetów. Niepokój czytelnika, czy taka wszechstronność podręcznika jest możliwa, uspokaja autor

stwierdzeniem, że rozszerzenie i pogłębienie wiadomości można uzyskać przez skorzystanie ze wskazówek dla lektury umieszczonych w książce.

Układ książki odpowiada obowiązującemu programowi licealnemu. Pracę podzielono na dwie części — część pierwszą — O poznaniu, część drugą — O postępowaniu. Książkę zaopatrzono w krótki indeks najważniejszych nazwisk i w obszerniejszy indeks rzeczowy. Część pierwsza obejmuje więcej niż trzy czwarte całości. Nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę, że mieści ona psychologię poznania, logikę i metodologię. Staranne wydanie, niewielka ilość błędów drukarskich tworzą miłą i estetyczną całość.

Przejdźmy teraz do omówienia kwestii, jak może spełnić swe zadanie książka po pierwsze — jako podręcznik licealny, po drugie — jako podręcznik uniwersytecki.

1) W porównaniu z przedwojennymi podręcznikami propedeutyki filozofii praca prof. Czeżowskiego jest poważnym krokiem naprzód w stosunku np. do książki H. Lelesz, nie ustępuje np. bardzo dobremu podręcznikowi Bolesława Gaweckiego. Na pewno spełni swe zadanie dając możność uczniowi liceum utrwalenia wiadomości, rozszerzenia horyzontów. Jako źródło pierwszych uporządkowanych wiadomości zaznajomi go z przebogatą problematyką przedmiotu. Dla ucznia zdolniejszego będzie podnietą do pogłębienia wiedzy przez wykorzystanie wskazówek o lekturze uzupełniającej.

2) Jako podręcznik uniwersytecki natomiast ma praca prof. Czeżowskiego poważne braki. Nie usunie ich podana literatura dodatkowa. W stosunku do używanych przed wojną książek Ajdukiewicza, Kotarbińskiego praca prof. Czeżowskiego jest wyraźnym i wydatnym obniżeniem poziomu wymagań. W szczególności dotyczy to działu logicznego i metodologicznego. Cóż bowiem będzie wiedział o semantyce student, który w całej książce przeczyta o niej tyle tylko, że: „Stosunkiem rzeczy do myśli zajmuje się nauka zwana semantyką (z grec.)" — (na str. 59) oraz na str. 69 w rozdziale zatytułowanym „Właściwości semantyczne nazw" przeczyta o rozróżnianiu „trojakiej funkcji semantycznej nazwy: wyrażaniu, znaczeniu i nazwaniu", choćby nawet potem zrozumiał sens tych trzech terminów? Cóż będzie wiedział student wydziału matematyczno-przyrodniczego o logice matematycznej, znalazłszy w całej książce słowa „logika matematyczna" raz tylko w takim kontekście: „Definicja zdania bywa nazywana definicją matematyczną, bo w matematyce (i w logice matematycznej) głównie jest stosowana". Cóż będzie się wiedziało o rachunku zdań, jeżeli w rozdziale zatytułowanym „Teoria dedukcji (rachunek zdań)" znajduje się tylko podanie zapisu i rozumienia podstawowych funktorów i krótką listę 13 tez rachunku? Z drugiej strony, czy ośmiostronicowe informacje o definiowaniu, rozróżnieniu definicji nominalnej, realnej, analitycznej, syntetycznej, matematycznej, równościowej, aksjomatycznej, przez abstrakcję — jest usprawiedliwione w książce, w której nie ma słowa o metodzie sprawdzań zerowo-jedynkowych, czy o wymaganiach stawianych aksjomatyce systemu? Czy w nowoczesnym podręczniku, w związku z tryumfalnym rozwojem polskich badań logicznych, nie warto wspomnieć o współczesnym rachunku zdań czy relacji, o istnieniu sławnej na całym świecie Szkoły Warszawskiej? I to wtedy, gdy 13 stron poświęca się klasycznej logice Arystotelesa? Czy rzeczywiście student, który chciałby swe wiadomości z logiki nowoczesnej rozszerzyć i pogłębić ma poprzestać na podanej w „Lekturze" przestarzałej „Algebrze logiki" Couturata i na książeczkach wydawanych dla zdolniejszych uczniów szkolnych przez tzw. „Bibliotekę Filozoficzną" i „Biblioteczkę Matematyczną"? Czy nie warto było umieścić w tej lekturze świet-

nych polskich podręczników uniwersyteckich Kotarbińskiego czy Łukasiewicza? Czy student humanista nie powinien znaleźć w lekturze ani jednej książki w języku obcym? Te i wiele innych pytań narzucają się podczas czytania rozdziału o logice i metodologii. I dlatego wydaje się, że lepiej by było, gdyby autor nie umieścił w przedmowie do swej książki zdania: „Podręcznik niniejszy ukazuje się w drugim wydaniu pod zmienionym tytułem, ponieważ ma obecnie służyć także studentom uniwersytetu na wydziale humanistycznym i na wydziale matematyczno-przyrodniczym dla przygotowania się do egzaminu, noszącego tę nazwę“ (tzn. do egzaminu z „Głównych zasad“). Nie byłoby wtedy nieporozumień i wszyscy mogliby być wdzięczni prof. Czeżowskiemu za oddanie w ręce młodzieży licealnej dobrego podręcznika.

Jan Kalicki

---

## KOMUNIKAT INSTYTUTU POLSKIEGO W RUMUNII

*„Dnia 16 lipca odbyło się w Bukareszcie otwarcie konstytucyjne Instytutu Polskiego w Rumunii z udziałem wybitnych przedstawicieli życia społecznego i kulturalnego. Celem Instytutu jest zacieśnienie i pogłębienie współpracy polsko-rumuńskiej we wszystkich dziedzinach życia społecznego.*

*Instytut będzie prowadził dla słuchaczy rumuńskich kursy języka, historii i kultury polskiej oraz kursy zagadnień społeczno-gospodarczych Polski współczesnej. Niezależnie od tego rozpocznie się wkrótce cykl wykładów wybitnych przedstawicieli rumuńskiego świata nauki i sztuki na tematy polskie.*

*Instytut wydaje tygodnik dla Polaków w Rumunii „Nowiny Polskie" i biuletyn miesięczny w języku rumuńskim, pod nazwą „Polonia". Planowane jest urządzenie występów artystów polskich i wystaw sztuki polskiej w Rumunii.*

*Ważnym dziełem pracy Instytutu jest ułatwianie bezpośredniego kontaktu między przedstawicielami nauki, literatury, sztuki i prasy w Polsce i w Rumunii.*

Instytut Polski
Romania, Bucuresti
Strada Episcopul Radau 15

# KOMUNIKAT KONWERSATORIUM NAUKOZNAWCZEGO

*Konwersatorium Naukoznawcze przy Tow. Asystentów U. J. i Redakcja „Życia Nauki" podjęły inicjatywę założenia kartoteki uczonych polskich oraz towarzystw i instytucyj naukowych, która ma być podstawą rocznika nauki polskiej, wzorowanego na podobnych wydawnictwach obcych w rodzaju Minerva Jahrbuch lub Index Generalis. Inicjatywa ta znalazła uznanie i poparcie Polskiej Akademii Umiejętności i Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Redakcję rocznika objął dr Bolesław Olszewicz, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Kartotek podobnych ma Wielka Brytania dwie, jeśli nie więcej: Scientific Research Register i Uniwersities Register. Mają je również Stany Zjednoczone A. P. i inne kraje. W Polsce kartoteki pracowników naukowych, stanowiącej nieocenioną podstawę do wszelkich zestawień personalnego stanu nauki polskiej we wszystkich dziedzinach oraz do opracowań naukowych, dotychczas nie ma. Trudności związane z zorganizowaniem tego przedsięwzięcia i zebraniem materiałów, są ogromne, lecz mamy nadzieję, że działalność nasza spotka się ze zrozumieniem całego polskiego świata naukowego, który nie odmówi nam swego poparcia i ułatwi pracę. Już w najbliższym czasie rozpoczniemy rozsyłanie kwestionariuszy do wykładowców i sił pomocniczych szkół wyższych, gdyż zebranie pewnych wiadomości personalnych możliwe jest jedynie przez ankietę.*

*Wszystkie towarzystwa naukowe, instytuty badawcze, archiwa, biblioteki, muzea oraz naukowe instytucje wydawnicze prosimy o nadsyłanie nam swych adresów, abyśmy mogli w swoim czasie rozesłać im kwestionariusze do wypełnienia. Instytucje naukowe, zatrudniające pracowników naukowych nie pracujących na żadnej uczelni wyższej, prosimy o podawanie ich nazwisk. Jest rzeczą zrozumiałą, że projektowane przez nas kartoteki i wydawnictwa, których celowość i użyteczność nie ulega najmniejszej wątpliwości, mogą być szczegółowe i wyczerpujące jedynie przy czynnej współpracy wszystkich polskich uczonych i instytucyj naukowych. Toteż o współpracę tę najmocniej prosimy.*

KONWERSATORIUM NAUKOZNAWCZE
I REDAKCJA „ŻYCIA NAUKI"

# SPIS TREŚCI

ZAKŁADY
GRAFICZNE
„KSIĄŻKA"
ŁÓDŹ
D-06414

Prenumerata kwartalna zł. 150 — roczna zł. 600
Prenumerata ulgowa dla pracowników naukowych i nauczycieli, kwartalna zł. 75 — roczna zł. 300 (Konto PKO VII/995 Myśl Współczesna)

Cena ogłoszeń: za całą stronę zł. 7000, za 1/2 str. zł. 3500, za 1/4 str. zł. 2000

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 86, tel. 254-20

CENA NUMERU ZŁ. 55